

JAMES BARWICK

CIEŃ WILKA

Tytuł oryginału: THE SHADOW OF WOLF

Wiadomość autoryzowana przez pana Duffa Coopera, Ministra Informacji Wielkiej Brytanii, która nadeszła z Downing Street 10 w nocy z 12 na 13.maja 1941 roku:

RUDOLF HESS, ZASTĘPCA FUHRERA RZESZY NIEMIECKIEJ, I WICEPRZEWODNICZĄCY NARODOWOSOCJALISTYCZNEJ NIEMIECKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ, WYLĄDOWAŁ W SZKOCJI.

W NOCY 10 BM. ZOSTAŁ PRZECHWYCONY PRZEZ JEDEN Z NASZYCH PATROLI MESSERSCHMITT-110, KTÓRY PRZEKROCZYŁ WYBRZEŻE I KIEROWAŁ SIĘ W STRONĘ GLASGOW.

RAPORT PATROLU NIE ZOSTAŁ UZNANY W PIERWSZEJ CHWILI ZA WIARYGODNY, PONIEWAŻ Me-110 NIE MIAŁBY PALIWA NA POWRÓT, ZALECIAWSZY TAK DALEKO. JEDNAKŻE PO PEWNYM CZASIE SAMOLOT TEN ROZBIŁ SIĘ W POBLIŻU GLASGOW. STWIERDZONO BRAK UZBROJENIA NA POKŁADZIE. NIEDŁUGO POTEM ZOSTAŁ ODNALEZIONY NIEMIECKI OFICER, KTÓRY RATOWAŁ SIĘ SKOKIEM NA SPADOCHRONIE. W TRAKCIE LĄDOWANIA DOZNAŁ CIĘŻKIEJ KONTUZJI KOSTKI.

ZOSTAŁ ODTRANSPORTOWANY DO SZPITALA, GDZIE NAJPIERW POWIEDZIAŁ, ŻE NAZYWA SIĘ HORN, JEDNAKŻE PÓŹNIEJ STWIERDZIŁ, ŻE JEST RUDOLFEM HESSEM.

PROLOG

Drugi października 1917 roku. Flandria. Północ. Przy drewnianym koźle, podtrzymującym drut kolczasty, zawisł nad jego głową strzęp płaszcza z mosiężnym guzikiem. Bezsukcesywnie wyteżał oczy w ciemnościach próbując odgadnąć, czy jest w kolorze brytyjskiego khaki czy niemieckiego feldgrau. Oczywiście, nie miało to żadnego znaczenia, ale koncentracja i wysiłek umysłowy pomagały opanać drzenie mięśni. Nauczył się tego sposobu dawno temu, właśnie tutaj, „na ziemi niczyjej”, gdy angielski patrol powoli zbliżał się do jego kryjówki.

Teraz też mógł słyszeć ich ciche szepty oraz mlaskanie flandryjskiego błota. Gdy księżyc zaświecił jaśniej, przebiwszy się przez zasłonę chmur, skoncentrował wzrok na mosiężnym guziku. Kątem oka dostrzegał rząd przygarbionych figur w długich płaszczach i płaskich, stalowych hełmach, ściskających niespokojnie drewniane kolby trzymanyh w pogotowiu karabinów, doskonałych w walce w okopach. Kilka sekund wcześniej padł na ziemię po ich dostrzeżeniu i odczołgał się w poszukiwaniu ukrycia, kierując się zwierzęcym instynktem zmieszonym ze strachem przed śmiercią, który znają wszyscy frontowcy - wszyscy, którzy żyją dłużej niż kilka dni...

Oblepiony ziemią but opadł w błoto tuż przed jego twarzą, a skraj płaszcza otarł się o policzek. Obcy głos nad nim zaklął cicho po angielsku i patrol powoli oddalił się. Po kilku minutach wstał i uwolnił z fałd swego płaszcza małego, białego teriera. Potem, trzymając go na rękach, wygramolił się z leja pa pocisku i rozejrzał się dokoła po zniszczonej ziemi, poprzecinanej rozległymi systemami okopów. Poczuł, że lubi ten krajobraz, te pościanane odłamkami kikuty drzew, owe kraterki po wybuchach, wypełnione brudną wodą, połamane koła armatnich ławet, niekończące się zwoje kolczastego drutu... W takich chwilach jak teraz chciało mu się wędrować ze swoim psem i karabinem jak jakiś niemiecki dziedzic, obchodzący swoje włości. Podczas takich nocy, gdy wszystkie patrole powróciły już do swoich kwater, a październikowa mgła zwijała się i parowała przed nim czuł, że ta ziemia jest jego ojczyzną - szorstka, brzydka, brutalna, ale nie odpychająca.

*

W wejściu do przykrytego grubą warstwą ziemi bunkra, w którym znajdowało się wysunięte stanowisko dowodzenia Szesnastego Bawarskiego Pułku Piechoty, dwóch oficerów obserwowało błyski wystrzałów armatnich, rozjaśniające niebo po ich prawej stronie. Niski grzmot przetaczał się nad ziemią.

- Brytyjskie dwudziestki piątki z drugiej strony rzeki - powiedział major, opuszczając oblepiony błotem koc, wiszący w otworze wejściowym.

Porucznik Rudolf Hess podążył za nim. Olejowa lampa trzeszczała na półce, rzucając żółte światło na proste stoły i chłopski piec do wypalania garnków. Major wziął ze stołu kubek z kawą, zrobiony z puszki po konserwach.

- Czy są już raporty z kompanii? - zapytał swego adiutanta.

- Oprócz kompanii rezerwowych, a do pierwszoliniowych zerwano linie. Pchnąłem tam gońca.

Major skinął głową i uśmiechnął się na widok białego teriera, który prześlizgnął się pod kocem i podbiegł do ciepłego pieca. Po chwili koc uniósł się i wszedł goniec.

- Nocny raport kompanii pierwszoliniowych, panie poruczniku.

Przekazał raport Hessowi i stał teraz nieprzepisowo, pochyliwszy lekko głowę i podkręcając swe długie wasy.

- Na piecu jest trochę kawy - powiedział major. - Rozgrzeje was trochę, zanim wyjdziecie.

- Dziękuję, panie majorze, nie.

Major uśmiechnął się nieznacznie i odwrócił - wiedział, że odpowiedź będzie właśnie taka.

- Jak chcecie - powiedział. - Jesteście wolni.

Człowiek o pociągłej twarzy odwrócił się do Hessa, energicznie skinął głową i strzelił palcami, na co leżący przy piecu terier warknął niechętnie, po czym opuścił bunkier.

- Dziwny człowiek... - w zadumie powiedział Hess.

- Trochę zwariowany - zgodził się major.

Hess nie słuchał go; spoglądał ciągle na kołyszący się koc, który odsunął przy wyjściu kapral Adolf Hitler.

*

Dwudziesty lipca 1936 roku. Olimpia, Grecja. Gdy jutrzienka rozjaśniła cichą dolinę Aphioa na Peloponezie, piętnaście greckich dziewcząt w peplosach przepasanych wzorzystymi pasami, z długimi włosami, związanymi w grube warkocze, opadające na plecy, stało nieruchomo przy marmurowym postumencie, wyznaczającym linię startu Sztafety Olimpijskiej - tak, jak trzy tysiące lat temu.

W przenikliwej ciszy greckiego poranka przewodniczka dotknęła polerowanego metalowego pucharu ozdobną pałeczką. Przez góry przebiegł głos rogów. Kiedy okręcony słomą koniec pochodni zaczął trzeszczeć i w blasku słońca uniósł się dym, młody człowiek w tunice i sandałach ukląkł przed zniczem. Gdy ujął srebrny cylinder, pochodnia rozblęła płomieniem Ognia Olimpijskiego. Podniósł się i odwrócił, a potem zaczął biec - obok potrzaskanych posągów bogów, wysmukłych kolumn świątyni Zeusa starą drogą do Aten, pamiętającą dawne wieki - w pierwszy etap liczącej trzy tysiące kilometrów trasy na stadion olimpijski w Berlinie.

Poprzez górzysty Peloponez, przez spalone słońcem pustkowiec północnej Grecji biegacze będą nieśli pochodnię, każdy przez jeden kilometr. Potem przez Kule ognia przejdzie na tereny Bułgarii, a stamtąd - w dwustu trzydziestu ośmiu jednokilometrowych odcinkach - dotrze do Jugosławii, potem przez Węgry do Austrii i o zmroku srebrna pochodnia będzie już w udekorowanym flagami narodowymi i kołami olimpijskimi Wiedniu, skąd przez Czechosłowację dotrze do Niemiec. Grecki ogień wkroczy na zlecenie Rzeszy w miejscowości Hellendorf.

To już kraj jego przeznaczenia. Pozdrawiany przez dzwony wiekowych katedr, witany przez ozdobione swastykami wille i obsypane kwiatami pomniki, eskortowany na każdym kilometrze swojej drogi przez oddziały Wehrmachtu i kompanie Hitler-jugend płomień zdąży do Berlina. Przy kamieniu milowym w starym Kaiserdamm pochodnię przejął ostatni biegacz. Szpalarem czterdziestu tysięcy esesmanów w pełnej gali Otto Schilgen, ubrany na biało wysoki, szczupły, o jasnych nordyckich włosach skręcił w Reichssportsfeld i wbiegł na stadion olimpijski.

Wysoko, za szybą łoży, ponad tłumem widzów, kanclerz Adolf Hitler pierwszy dojrzał srebrną pochodnię w świetle zachodzącego słońca. Zabrzmiały fanfary, dwadzieścia tysięcy białych gołębi wyfrunęło w powietrze, olimpijskie flagi z nazistowskimi orłami załopotwały dokoła stadionu, a sto tysięcy głosów zaczęło skandować: „Heil!”

Stojący obok ubranego w brązowy mundur Hitlera Rudolf Hess drżał z podniecenia triumfem swojego Fuhrera. Ponad wszystkimi, którzy zdobędą olimpijskie laury w przeciągu najbliższych tygodni stanie on, największy zwycięzca tej olimpiady. Adolf Hitler uczynił te igrzyska swoimi, jak niegdyś rzymscy cesarze, świat nie może już dłużej wątpić w potęgę faszyzmu i jego przywódców. Kiedy pochodnia dotknęła brązowego znicza, zapalając w nim płomień, Fuhrer ogłosił XI Igrzyska Olimpijskie za otwarte.

*

W słoneczny poranek dziesiątego sierpnia w kasztanowych lasach koło berlińskiej dzielnicy Wannsee czterdziestu dwóch uczestników pięcioboju nowoczesnego przebiegło już ponad połowę leśnej trasy i powoli zbliżało się do mety biegu terenowego na cztery tysiące metrów. Na czele stawki szczupły Amerykanin, porucznik Charles Leonard i muskularny Włoch, kapitan Silvano Abba, wyczerali wszystkie siły, by uzyskać jak najwięcej punktów; tuż za nimi biegł trzeci główny rywal, Handrick, niemiecki faworyt i kandydat do złotego medalu.

W połowie opadającej łączki Max Bishop, prowadzący w łącznej punktacji Brytyjczyk, dostrzegł kłodę drzewa w poprzek błotnistej ścieżki i przeskoczył przez nią; tuż za sobą słyszał ciężki oddech drugiego liczącego się w klasyfikacji Niemca, Alfreda Horna. Cztery czy pięć razy zmieniali się już między sobą miejscami. Zmęczeni, pochłapani błotem, nie zwracając uwagi na ból w piersiach i ołowiane nogi walczyli, bo dla obu był to moment decydujący - po szermierce, jeździe konnej, strzelaniu i pływaniu mieli taką samą ilość punktów, dlatego ten bieg miał zadecydować, który z nich będzie ósmy, a który dopiero dziewiąty.

Przeskakując przez kłodę Horn dostrzegł białą chorągiewkę, oznaczającą trzy tysiące metrów. Wiedział, że jeśli chce wyprzedzić Anglika, to musi zrobić to teraz. Ostre powietrze raniło mu płuca, ciężkie nogi nie chciały reagować na nakazy woli, ale przyspieszył, wpatrując się w tył głowy Bishopa.

Anglik przeprowadził się właśnie przez głęboki strumień i poślizgnął się niebezpiecznie, wskakując na błotnisty brzeg. Krok za krokiem, klucząc wśród powalonych kłód, dwaj mężczyźni zdążyli do mety. Nagle Anglik potknął się i upadł. W tym czasie czerwony z wysiłku Horn wspinał się na błotniste wzniesienie. Gdy zbiegał w dół, omijając zwalone drzewo, ze zdumieniem ujrzał przed sobą nogi Bishopa. Choć łatwo mógł teraz zdobyć przewagę, zatrzymał się i podszedł do rywala.

Za sobą słyszał już tupot wielu nóg, ale stał nadal niezdecydowany. Zawodnik w czerwonej koszulce przebiegł obok niego, a dwóch następnych wspinało się już na czubek wzniesienia. Bishop popchnął go na ścieżkę.

- Biegnij... - wyszeptał. - Na miłość boską, biegnij!

Na moment ich oczy spotkały się. Horn odwrócił się i pobiegł. Gdy dobiegł do mety i uspokoił już oddech, wezwał ambulans wojskowy i powiadomił organizatorów o wypadku, wskazując miejsce. Spotkał już raz Maxa Bishopa na przyjęciu lekkoatletów po ceremonii otwarcia, ale zamienili ze sobą najwyżej kilka słów i uściśliły dłonie. A teraz głupio zakończył swoją olimpiadę... Ten moment przekreślił dwa lata ciężkiego treningu, zniweczył wiele lat marzeń i ambicji. Horn postanowił zajść do szpitala i dowiedzieć się o stan Bishopa.

*

Siedzieli razem na tarasie Aldonu; zagipsowana noga Bishopa sterczała pod stołem.

- Zrobiłbyś mi przyjemność, zostając na kilka dni u mojego ojca - powiedział Horn. - Zobaczyłbyś tam prawdziwe Niemcy.

- A to nie są prawdziwe Niemcy? - Bishop wskazał na obwieszoną swastykami Kurfurstendamm.

Horn spojrzał mu w oczy.

- Nie. To tylko liche przedstawienie - władza chce pokazać światu, że wszystko jest w porządku.

Bishop pokiwał głową.

- Hasz rację. Wielu ludzi w moim kraju myśli, że wszystko to, to tylko lichy show.

- Teraz to jest przedstawienie - odpowiedział Horn twardo. - Sądzę, że igrzyska są punktem zwrotnym, zwycięstwo nadejdzie potem. Myślę, że Niemcy po prostu potrzebują dowodu swojej wielkości.

1

Piąty kwietnia 1941 roku. Pięć tysięcy stóp nad duńską wyspą Terschelling przelatywał czarny, dwusilnikowy Me-110S, kierując się na południowy wschód, by przez Wadden See dostać się do swojej bazy w Friesland. Szary, jakby jeszcze marcowy dzień szybko ustępował nocy i białe pasma mgły zaczęły unosić się nad stalowymi wodami.

Siedzący za sterami samolotu kapitan Alfred Horn włączył interkom i zagadnął strzelca-nawigatora, porucznika Mariusa Brinkmanna:

- Co byś powiedział na chwilę muzyki?

- Nic nie wprawi mnie dzisiaj w dobry nastrój - gorzko odparł Brinkmann. - Czy my zawsze będziemy musieli zwracać przed walką?

Horn nastawił odbiornik na BBC. Mantovani miał własny godzinny program z muzyką taneczną i to w dodatku nagrałą w berlińskim hotelu Adlon. Właśnie leciało „*A nightingale song in Berkeley Square*”.

Berekeley Square... Tak, był tam raz przed wojną ze swoją matką. To były ostatnie wakacje przed jej śmiercią. Majestatyczna, niemiecko-amerykańska lady nie znosiła Brytyjczyków, ale zawsze odwiedzała ich wyspę, gdy chciała zrobić poważniejsze zakupy. Berkeley Square. Teraz, kiedy bombowce zrzucały tam swój śmiercionośny ładunek, była to tylko nazwa: Berkeley Square, Picadilly, Fleet Street, doki East Endu...

- Zostawiliśmy ich bezbronnych - powiedział Brinkmann.

- Tamci muszą o tym dobrze wiedzieć...

Alfred Horn skinął głową w kierunku pancерnej płyty, rozdzielającej ich miejsca. W pełni z nim się zgadzał. Całe skrzydło Me-110z Berlikum, trzydzieści sześć myśliwców eskortowało dziesięć dywizjonów bombowców poprzez Morze Północne. Gdy dotarli do ostatniego punktu, skąd mogli jeszcze bezpiecznie zawrócić, by dotrzeć do bazy na resztkach paliwa, zostawili bombowce. Zostały na pastwę czekających już Spitfire'ów i Hurricane'ów, czekających jednakże dwadzieścia kilometrów poza ich maksymalnym zasięgiem. Ile bombowców zdoła dziś powrócić na duńskie wybrzeże?

Horn skorygował lot w kierunku Berlikum. Pomyślał, że wiele by dał za rozmowę z Goeringiem unter vier Rugen, w cztery oczy, by rzucić mu w twarz to, co myśli o takich idiotycznych lotach za dnia. Luftflotte III, najpotężniejsza flota powietrzna na świecie, zaczęła szybko topnieć z powodu braku myśliwców dalekiego zasięgu.

Plaskie wybrzeże Frieslandu ukazało się w dole, kiedy obniżył lot do dwóch tysięcy metrów. Strzelista szczyt kościoła w Berlikum wyłonił się z mroku. Opuścił podwozie, wytracił ostatnie sto metrów wysokości i, gdy przeskoczyli nad kanałem, koła samolotu dotknęły pasa. Po wylądowaniu podkołował pod hangar numer pięć. Kapitan Alfred Horn, kawaler Krzyża Rycerskiego, był w skrzydle z Berlikum jednym z najlepszych pilotów.

Po takiej operacji jak dzisiejsza, bez kontaktu z samolotami przeciwnika, tylko dowódca skrzydła, major Hans Thalmann spotykał się z Hansem Forsterem, oficerem wywiadu. Reszta pilotów ruszyła do klubu oficerskiego w swoich czarnych, skórzanych kurtkach i białych szalach, gdzie spędzali wolny czas do jutrzejszego wieczora.

- Gdzieś tam, być może teraz... - mamrotał Brinkmann.

- Niech w tym piekle Bóg sprzyja chłopakom z bombowców!

Ale Horn myślał już o czym innym. W małym miasteczku Leuwarden, kilka kilometrów na wschód od Berlikum, miał dziś spotkanie z młodą duńską wdową. Lotte Meering była ładną blondynką, jedyną z kilku dziewcząt, z którymi utrzymywał stałe kontakty, która go nieustannie podniecała. Zdecydował już tam wysoko, nad Morzem Północnym, że strzeli sobie kilka schnapsów i weźmie jeden z motocykli, by jechać do Leuwarden. Teraz, gdy byli beczynni i źli, każdy z pilotów potrzebował towarzystwa kobiety.

W klubie on i Brinkmann pierwsi podeszli do baru. Gdy barman Hans postawił przed nimi dwa kieliszki, do Horna podeszedł oficer wywiadu, kapitan Forster.

- Alfred... - Forster dotknął jego ramienia.

- Czego chcesz, do diabła?! - Horn odwrócił się ze złością. - Powtórz mi tę samą starą historię? Dwa dywizjony Tommych czekało tuż poza naszym zasięgiem!

Forster potrząsnął głową.

- Czekałem na ciebie. Komendant chce cię natychmiast zobaczyć. Jest u niego jakiś inny oficer, Pintsch. Alfred, tak często mówisz o tej naszej taktyce... Czy przypadkowo nie usłyszał tego ktoś... no, powiedzmy z Duńczyków?

Spojrzenie Forstera pełne było szczerego niepokoju, a Horn odstawił schnapsa i wyciągnął papierosa ze srebrnej papierošnicy.

- Kto wygaduje takie rzeczy?

- Ten facet wypytywał szczegółowo o ciebie. Potraktował naszego starego jak równego sobie albo nawet niższego rangą, a teraz chce zobaczyć ciebie osobiście.

- Myślisz, że jest z... - Horn nerwowo zduł papierosa w popielniczkę.

- Możliwe.

- Z SS?

- Nie, raczej z Abwehry.

Horn nieco odetchnął - w porównaniu z rzeźnikami z SS wywiad wojskowy to gentelmeni.

- Idę, niech się dowiem, czego ode mnie chcą.

Horn przecisnął się przez tłum młodych pilotów; był już zupełnie spokojny. Nie jest już przecież tym młodym chłopakiem, który siadem czy osiem lat temu zarywał noce, trenując do olimpiady w 1936 roku. Według kalendarza minęło tylko kilka lat, ale on czuł, że minęły wieki.

*

Adiutant zapukał i otworzył drzwi gabinetu dowódcy.

- Hauptmann Horn, Herr Oberst.

Popchnął Horna po przyjacielsku.

- Wejdz, Alfred.

Dowódca już dawno nie latał. Stracił stopę w pierwszych dniach wojny w Polsce i teraz tył, nie odmawiając sobie dobrego jedzenia i wspominając dobre, stare czasy. Dziś jego twarz była poważna, a na czole pojawiły się od dawna nie widziane zmarszczki.

- Alfred, przedstawiam ci kapitana Pintscha...

Kiedy obaj oficerowie uścisnęli sobie dłonie, pułkownik kontynuował:

- Kapitan Pintsch przekazał mi polecenia ze sztabu. Choć nie mogę ich ci pokazać, proszę jednak o udzielenie odpowiedzi na wszystkie jego pytania.

- Pan jest kawalerem, kapitanie Horn? - zapytał Pintsch, nie czekając, aż dowódca skończy.

Horn dostrzegł, że Forster się skrzywił.

- Tak, jestem kawalerem.

- Oboje rodzice nie żyją?
- Tak.
- Pańska matka była Amerykanką?
- Niemko-Amerykanką, ale przede wszystkim Niemką.
- Mówi pan po angielsku?
- Oczywiście.
- Jak dobrze?
- Tak, jak po niemiecku.

W gabinecie zapadła cisza. Pułkownik podszedł do włącznika i zapalił światło, bo było już ciemno, i szybko zaciągnął rolety. Pintsch spoglądał uważnie na siedzącego przed nim człowieka. Szukał pilota myśliwskiego, ciemnowłosego, o twarzy budzącej zaufanie... Jednakże wszyscy oficerowie tego dywizjonu nie byli zbyt zdyscyplinowani i to poczynając od dowódcy... Jednakże w sprawie, w której przybywał, nie będzie miał nigdy zbyt dużego wyboru, a ten mężczyzna ma sporo plusów: mówi po angielsku, był za granicą, zbliża się do trzydziestki, oddałby życie za Niemcy i jest posiadaczem Rycerskiego Krzyża... Pintsch skinął w zamyśleniu głową. Tak, ten Alfred Horn może być tym, kogo szuka.

- Będę musiał zabrać panu jednego z najlepszych pilotów - powiedział do dowódcy dywizjonu.
- Czy mogę wiedzieć, o co tu chodzi? - Horn był lekko poirytowany.
- Niestety, moje rozkazy nie pozwalają na to - Pintsch znów spojrzał na niego uważnie. - Mam dostarczyć pana do Munich, a potem do Augsburga. Nowa służba nie będzie na pewno bezpieczna, ale ryzyko - jak mi się wydaje - tkwi w pana naturze. Tym niemniej proszę się jeszcze zastanowić, może się pan wycofać...

Nagle Hornowi wydawało się, że zrozumiał - w Augsburgu, w najściślejszej tajemnicy profesor Willy Messerschmidt pracował nad nowymi myśliwcami. Piloci-oblatywacze mieli styczność z takimi rzeczami, o jakich nie śniło się innym lotnikom, ale była to praca bardzo niebezpieczna. Horn uśmiechnął się.

- Augsburg... Trzydzieści kilometrów od Munich i od kilku najbardziej seksownych dziewczyn na świecie! Zgadzam się!

Kapitan Pintsch uśmiechnął się również.

- Tak, najlepsze na świecie. Słyszałem, kapitanie, że i tutaj miał pan powodzenie!

*

Rozpląkała się, gdy powiedział jej o swoim wyjeździe - nie na długo jednak, a lzy szybko wyschły gdy oznajmił, że jego przyjaciel Hans Forster, który wiele o niej słyszał, chciałby się z nią spotkać. Kiedyś już na którejś zabawie Lotte widziała Hansa i była przekonana, że jest najprzystojniejszym mężczyzną zaraz po Alfredzie.

Kiedy jechał już autem Pintscha do Augsburga, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wdepnął w coś więcej, niż mu się do tej pory wydawało. Ten samochód był potężnym Mercedesem z silnikiem o pojemności pięciu litrów, błyszczącym nieskazitelnym, brązowym lakierem. Całe pięć litrów! Teraz, gdy paliwo było ściśle reglamentowane, a w całych Niemczech wszystkie samochody, nawet wysokich urzędników, jeździły na gazie drzewnym... jednakże wszystkie próby nawiązania rozmowy na ten temat od chwili, gdy ordynans załadował walizki Horna do przepastnego bagażnika spełżyły na niczym. Podczas całej tej podróży Pintsch nie odzywał się prawie wcale, patrząc tylko na wstęgę szosy, prowadzącej na południe.

Z kilku skąpych zdań Horn wywnioskował, że był świetnie poinformowany o obecnym stanie działań wojennych. W obecnej chwili największym problemem był, o czym nie miało pojęcia wielu oficerów, stosunek Stanów Zjednoczonych do toczącej się wojny. Teraz, w kwietniu 1941 roku, Amerykanie wysyłali pewne ilości zaopatrzenia jako pomoc dla Wielkiej Brytanii, ale nie było to bezpośrednie włączenie się do działań. Pintsch powiedział, że jeśli Ameryka włączy się do wojny, to Niemcy zostaną pokonane w ciągu dwóch lat. Alfred Horn, który jako dziecko podróżował do USA, był w niekończących się halach samochodowych zakładów w Detroit, które widział wieże szybów naftowych w Teksasie, przyznawał mu całkowitą rację.

Gdy dojechali do Munich, Horn zatrzymał się w małym hotelu przy Leopoldstrasse. Dostał przepustkę, umożliwiającą poruszanie się w obrębie stu kilometrów od miasta, ale Pintsch w formie przyjacielskiej prośby polecił mu, by za każdym razem meldował mu cel i miejsce wyjazdu.

Przez kilka następnych tygodni rozkoszował się nieoczekiwanym urlopem. Regularnie przesiadywał w klubie oficerskim. W małym zakładzie krawieckim w dzielnicy Geitendorf, poleconym mu przez Pintscha, zamówił sobie nowy płaszcz, bo wiosna tego roku była dość zimna. W hotelu czytał Shakespeare'a i Goethego, a czasami zastanawiał się, jakie to tajemnice ukrywa przed nim Pintsch.

*

W piątek, dziewiątego maja 1941 roku podczas powrotu do hotelu Horn czuł na twarzy delikatny powiew ciepłego wiatru. Dziś po raz pierwszy poczuł ciepło nadchodzącej wiosny. Dziewczęta chodziły już w lekkich sukienkach, a przechodzący ulicami żołnierze mieli czerwone twarze i pocili się w grubych, szarych mundurach.

Samotnemu i od tygodni pogrążonemu w beczynności Alfredowi brakowało wiadomości o wojnie. Nie tych z gazet w rodzaju: LUFTWAFFE PRZEPROWADZIŁA CIĘŻKIE BOMBARDOWANIA LONDYNU BEZ ŻADNICH STRAT WŁASNYCH lub ZNÓW ZESTRZELILIŚMY TRZYDZIEŚCI SIEDEM SAMOLOTÓW NIEPRZYJACIELA czy ANGLIA RZUCONA NA KOLANA PRZEZ BOHATERÓW GOERINGA - była to propaganda, zwykle mało mająca wspólnego ze stanem faktycznym.

Gdy przechodził przed wejściem głównym do Peldherrnhalle poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Odwrócił się i ujrzał Hansa Forstera, oficera wywiadu z Berlimum, wesoło wyciągającego ku niemu rękę.

- Hans! - Horn serdecznie uściśnął przyjaciela.

- Alfred! Próbowałem cię odszukać już od kilku dni!

- Dobrze, że cię widzę. Co robisz w Munich?

- Mam kilka dni wolnego, więc przyjechałem do staruszków.

Horn przypomniał sobie, że przecież rodzice Forstera mieszkają tu niedaleko, przy Forstenried Park.

- Ile czasu ci jeszcze zostało?

- Dwadzieścia cztery godziny. Jutro muszę być w bazie.

- No, to możemy pogadać i napić się czegoś.

Kiedy kelner podawał im trzecie piwo i drugi talerz kielbasy z kapustą w małej piwiarni nad rzeką Isar, Horn uważnie obserwował przyjaciela. Wyglądał starzej, twarz miał zmęczoną, a jego oczy, zwykle tak żywe, teraz były jakby wyblakłe.

- Co w dywizjonie? Jak tam stary Wallner? - zagadnął go przyjaźnie.

- Jest grubszy niż był. Myślę, że przytył z pięć kilogramów od czasu twojego wyjazdu...

- A Lotte?

- W porządku, przesyła ci pocałunki. Jest wspaniała, mówię ci, Alfred!

- Widać to po twoich podkrążonych oczach, ty stary byku!

Pociągnęli po łyku piwa.

- A co z Mariusem? - zapytał Horn, ocierając usta. - Kto z nim teraz lata?

- Brinkmannem?

Horst przytaknął; zauważył, że Forster zwleka z odpowiedzią.

- Co się stało?

- Zestrzelili go nad Morzem Północnym.

Zapadła cisza, Forster wyciągnął metalową papierośnicę, podsunął ją Hornowi, a potem sam wyciągnął papierosa.

- Jest coraz gorzej, Alfred. Latamy pięć, sześć razy na dzień... Służba schodzi na psy, większość załóg to nowi rekruci. Morale spada...

- Aż tak źle? Czy nie przesadzasz, Hans? - zaproponował po chwili Horn, spoglądając na nerwowo uderzające w papierośnicę palce Forstera.

Hans zaprzeczył ruchem głowy.

- Mój ojciec jest jeszcze bardziej zaniepokojony - powiedział po dłuższej chwili. - Przez ostatnie dni dużo rozmawialiśmy na ten temat...

Horn wiedział, że ojciec Forstera jest generałem w sztabie wywiadu armii i jest na pewno lepiej zorientowany w takich sprawach od niego.

- Większość ludzi w Sztabie Generalnym jest zdania, że coś się teraz stanie - ostrożnie zaczął Forster.

- Rozejm?

- Raczej czasowe zawieszenie broni z wieloma warunkami. Lista naszych wrogów ciągle się powiększa, Alfred...

- Nikt prócz Anglii teraz z nami nie walczy.

- Wszystko może się zmienić - Forster przytknął oczy.

Horn spojrział bystro znad kufła.

- Ojciec ci coś powiedział?

Forster przytaknął w milczeniu - powiedział już i tak zbyt dużo.

- Myślisz, że będzie gorzej? - zapytał ostrożnie Horn.

- Niektórzy uważają, że nie wygramy tej wojny...

Forster odwrócił się i spojrzął na ogrody po drugiej stronie rzeki. Horn uniósł kufel do ust.

- Wydaje mi się, że się dziś upiję...

Siedzieli w klubie MARIGOLD przy Ringelblume. Przy stoliku było mroczno i głośno - usiedli tak, by widzieć scenę, oświetloną kolorowymi światłami. Zmęczeni aktorzy pokazywali skecz, usiłując wykrzesać iskrę dawnej świetności, pamiętającej dawne kluby i teatry, w których wystawiano ostre satyry, gdzie spotykała się śmietanka towarzyska, złota młodzież, posepni degeneraci i umalowani zboczeńcy. Potem naziści je pozamykali, a niejednokrotnie także artystów i ich gości. Wielu przeniosło aię na prowincję, zarabiając na życie w nędznych Imitacjach naprawdę wielkich klubów, takich jak na Kingelblume. Aktorzy zbliżali się do końca skeczu, skomplikowanej sprzeczki pomiędzy mężem, żoną i najlepszym kolegą męża. Ciężki humor w ciężkim dialogu o tym, że mąż jest idiotą, żona lesbijką a przyjaciel transwescytą i wreszcie kulminacja w postaci latających garnków, talerzy i innych kuchennych sprzętów.

Horn był pełen niesmaku. Spojrzał na salę znad baterii butelek po szampanie. Prócz grupy mężczyzn w średnia wieku przy barze i kilku pijanych kadetów z Wehrmachtu w przeciwnym kącie reszta sali była właściwie pusta. Z ciężkim dymem tytoniowym dolatywały do niego przekleństwa, wymieniane w rozmowie, prowadzonej przy sąsiednim stoliku. Była już druga rano i czuł, że ma dosyć. Forster, spity prawie do nieprzytomności, płacząco próbował od nowa opowiadać historię swojego życia do ucha postawnej blondynki z wcale ładną twarzą i grubo umalowanymi ustami. Spoglądała na Horna znad czupryny Forstera, złożywszy usta w ciup.

- Zrobiło się późno - powiedział, szarpiąc Forstera za ramię.

- Co? - zapytał Hans, starając się skupić wzrok na przyjacielu. - Co jest?

- Lepiej zabiorę cię do domu.

- Dooo...mm... Kto chce iść...ć... do domu?...

- No, chodź stąd.

- Eee, nie bądź głupi... Nam potrzeba więcej szampana!

Dziewczyna, siedząca na kolanach Forstera, podniosła rękę do góry i zawołała:

- Herr Ober!

Kelner, który podawał właśnie kadetom nową porcję piwa skinął głową potwierdzając, że słyszał.

- Chodźmy, Hans!

Forster, od dłuższej chwili próbujący znów szukać zapomnienia w alkoholu poderwał się, kierując się w stronę drzwi, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i wsparł twarz w obfity biust swojej partnerki.

Aktorzy zmienili charakterystycę i powrócili na scenę. Zaczęli teraz śpiewać smętną piosenkę, do której po chwili przyłączyli się przepitymi głosami kadeci ze swojego kąta.

Tysiąc mil od Hamburga

samotny chłopiec w mundurze

śpi, marząc o Reeperbahn

i o wszystkich dziewczynach,

które go kochały...

Horn uśmiechnął się smutno; do tej znanej melodii ułożono w Luftwaffe inne słowa. Marius Brinkmann śpiewał ją zawsze w kantynie, gdy sznapsy rozgrzali ich po locie. Brinkmann, dwudziestodwulatek... Wylatali razem tyle godzin, a teraz leży gdzieś na dnie, pod falami Morza Północnego. Przeklęta wojna... Przy stole stanął kelner.

- Panowie zamawiali jeszcze szampana?

- Czemu nie? - odpowiedział w zamyśleniu.

*

Świtało już, gdy wracał do hotelu. Udało mu się nareszcie dostarczyć Forstera do domu jego rodziców, wlać ze dwa kubki czarnej kawy, pomóc mu przebrać się w świeży mundur i odwieźć taksówką na Munich Bahnhof.

Kiedy czekał na tramwaj z lekkim bólem głowy dostrzegł w pewnym momencie, że drżą mu ręce. Całe to dzisiejsze pijaństwo nie zdało się na nic - po tej pierwszej rozmowie w piwiarni był cały czas zdenerwowany, choć alkohol nieco przytłumił jego odczucia.

W hotelowym pokoju czekał na niego Pintsch, nerwowo postukując palcami w oparcie krzesła.

- Mówiłem ci, żebyś zawsze zostawiał wiadomość, gdzie jesteś!

Horn patrzył na niego przez chwilę, po czym wybuchnął:

- Do cholery, Pintsch, skończ z tymi szkolnymi uwagami! Nie jestem w nastroju. Miałem być pilotem u Messerschmitta, a nawet nie widziałem Augsburga. Wymyśl szybko coś sensownego, bo wyłączam się ze sprawy i wracam!

Pintsch wstał i ostrożnie strzepnął jakiś pyłek z munduru.

- Pojedziesz do Augsburga dziś wieczorem - wycedził. - Rozkazy, dotyczące ciebie, zostały już wydane.

Horn skinął głową z satysfakcją.

- Nareszcie!

- Bądź gotowy za piętnaście czwarta.

Rozentuzjasmowany Horn nie zwrócił uwagi na to, że ostatnie słowa Pintsch wypowiedział w smutnym zamyśleniu.

*

O czwartej piętnaście wieczorem ciemnozielony volkswagen z wojskowym numerem dystryktu Munich zjechał powoli z głównej szosy do Rugsburga na wąską drogę, prowadzącą do kompleksu Messerschmitta. Był sobotni wieczór i poza kilkoma patrolami, które ich nawet nie kontrolowały, na drogach nie było nikogo. Ale był rok 1941... Dwa lata później przemysł niemiecki pracował pełną parą zarówno w niedzielę, jak i nocami, by prześcignąć wielką maszynę o nazwie United States.

Kilka metrów dalej droga kończyła się przy czarno-białym szlabanie, zamykającym wjazd na małe lotnisko profesora Messerschmitta. Kierowca zatrzymał wóz i skinął na jednego z wartowników, który zasalutował po podejściu do samochodu, widząc obok kierowcę kapitana z Ritterkreuz. Podniesiono szlaban i volkswagen przez asfaltowy pas podjechał pod drewniany budynek administracji, stojący na uboczu lotniska. Pojedyncze Me-110 stał na betonie przed hangarami i nawet z odległości kilkuset metrów Horn zauważył pękate banie dodatkowych zbiorników na paliwo, podwieszane pod jego skrzydłami. Przez otwarte drzwi hangaru mógł też dostrzec brytyjski Spitfire Mark II. Szansa na lot Spitfire'em lub nowym Me-110 dalekiego zasięgu - uznał, że długie czekanie w Munich opłaciło się.

Przy budynku administracyjnym czekał na niego Pintsch i, kiedy wysiadał z samochodu zauważył, jak niespokojnie poprawia wydymany przez wiatr płaszcz. Horn zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do niego; uściśnęli sobie dłonie. Pintsch poprowadził go przez kremowo-zielone korytarze, aż znaleźli się w małym pokoju pilotów. Człowiekiem, który włączył światło po ich wejściu, był krawiec z Geltendorf. Odwrócił się do Horna z zakłopotanym uśmiechem.

- Herr Wirkner pomoże ci się przebrać - powiedział szybko Pintsch. - Ja będę w pokoju naprzeciwko...

- Jak pan kapitan sobie życzy...

Krawiec wyciągnął rękę, by wziąć od Horna jego kurtkę. Rozpinając ją powoli Horn słyszał, jak Pintsch zamknął drzwi. Podał kurtkę krawcowi nie mogąc się zdecydować, czy zapytać go, co to za tajemnice. Krawiec powiesił kurtkę na krześle i ponownie wyciągnął rękę.

- Pański Ritterkreuz, Herr Hauptmann.

Horn powoli odpiął Krzyż Rycerski i położył na stole.

- Pańska koszula i krawat.

- Mam zrobić striptiz? - zapytał Horn z uśmiechem, ale krawiec tylko skinął głową i odwrócił się do swej torby.

Rozebrawszy się do spodni, Horn wyjął z kurtki papierosy. Zapalił jednego i odwróciwszy się zobaczył, jak krawiec podaje mu bladobrazową koszulę. W takich koszulach chodził Sturm Abteilung, najpotężniejsze oddziały szturmowe partii nazistowskiej do czasu, gdy Hitler - po rozwinięciu skrzydeł - utworzył czarne szereg SS. Horn założył koszulę i zawiązał ciemnobrazowy krawat. Był teraz pewny swego - brąz był kolorem członków NSDAP, a on nigdy nie był członkiem partii, nawet się o to nie ubiegał.

- Ale przecież ja nie jestem z NSDAP! - zaprotestował. - Jestem oficerem lotnictwa!

- Dostałem takie polecenie, Herr Hauptmann - krawiec uśmiechnął się przepraszająco.

Horn postanowił zaczekać, aż Pintsch powie mu wreszcie, o co tu chodzi. Zirytowany przeszedł przez korytarz do wskazanego pokoju, ubrany w brązową koszulę i jasne, cywilne spodnie. Na rękę niósł wyłożoną futerkiem, czarną, skórzaną kurtkę pilota. Otworzył gwałtownie drzwi, zmuszając bezwiednie Pintacha i jakiegoś cywila do szybkiego odwrócenia się w swoją stronę.

- Chyba nadszedł już czas, Pintsch! - ostro powiedział Horn, całkowicie ignorując cywila. - Powinienem się wreszcie dowiedzieć, o co tu chodzi, do diabła!

- Przedstawiam Herr Piela - odpowiedział Pintsch spokojnie. - Jest tutaj kierownikiem.

Horn obojętnie skinął mu głową i ponownie odwrócił się w stronę Pintacha.

- Dobra, Pintsch. Po pierwsze: co to za dziwaczne przebranie? Nie jestem członkiem partii, o czym dobrze wiesz i w ogóle nie mieszam się do polityki...

- Kapitanie Horn! - powiedział Pintsch ostrym tonem.

- Dowódca dywizjonu z Berlina przekazał pana pod moje dowództwo, więc obietnice nie mają żadnego znaczenia. Poza tym poleciłem wykonywać rozkazy bez zadawania pytań!

Horn spojrział na niego spod łba.

- Zatem jakie rozkazy mam wykonywać?

Pintsch gniewnie parsknął, ale jego wzburzenie powoli mijało.

- Hauptmann Alfred Horn, muszę przyjąć od pana przysięgę na wierność Fuhrerowi.

Horn zbladł i potrząsnął głową.

- Składałem przysięgę na wierność Fuhrerowi, kiedy zostałem zmobilizowany. Nie składa się jej dwa razy. Co to ma być, Pintsch?

- Proszę podnieść prawą dłoń.

Powoli, z jakąś wewnętrzną obawą, Horn podniósł rękę.

- Uroczyście przysięgam całkowitą wierność i posłuszeństwo Adolfowi Hitlerowi, Fuhrerowi Rzeszy i Narodu Niemieckiego oraz przywódcom Narodowosocjalistycznej Partii Robotniczej, wybranym przez niego.

Horn raptownie opuścił dłoń.

- Oficerowie składają tę przysięgę Fuhrerowi jako Naczelnemu Dowódcy, nie jako przewodniczącemu partii.

- Odmawia pan złożenia przysięgi? - zapytał Pintsch.

Horn zobaczył, że Piel zeszywniał.

- Do diabła, Pintsch! - powiedział. - To nie o to chodzi. Mam złożyć przysięgę w innej formie, niż ona brzmi, mam przysięgę wierność nie armii, ale partii...

- Takie mam rozkazy.

- Od kogo?

- Horn, pytam po raz ostatni - odmawiasz złożenia przysięgi?

Nagle przez plecy Horna przebiegł zimny dreszcz. Zdał sobie sprawę z tego, że ten niepozorny cywil, Herr Piel, może nie być żadnym kierownikiem od Messerschmitta, może być członkiem Sicherheitdienst, a gestapo było jeszcze okrutniejsze od SS. W owych czasach w Niemczech ci, którzy uważani byli za niepewnych politycznie, szybko znikali w kazamatach tej formacji.

- Nie odmawiam - powiedział powoli. - Jako oficer Luftwaffe protestuję przeciw jej formie.

- Dobrze - zgodził się Pintsch. - Podnieś rękę...

Horn jeszcze raz uniósł dłoń i teraz powtórzył już za Pintschem formułę przysięgi. Pintsch odetchnął z ulgą i uściśnął mu dłoń.

- Przepraszam za te tajemnice, Horn, ale uwierz mi, że było to konieczne.

Horn spodziewał się teraz wyjaśnień, ale został tylko przyjacielsko poklepany po plecach.

- Włóż kurtkę. Herr Piel zaprowadzi cię do samolotu. Auf, wiederaehen, Alfredi

Pintsch odwrócił się i szybko wyszedł. Oficerowie mówili sobie po imieniu tylko wtedy, gdy byli bliskimi sobie przyjaciółmi; Alfred Horn poczuł, jak przez plecy przebiegły mu mrówki - Pintsch odnosił się do niego w taki sposób, jakby miało się coś stać. Może ten Me-110 został przebudowany do granic bezpieczeństwa? Ale w takim razie dlaczego kazano mu się przebrać w ten mundur NSDAP i dlaczego - uświadomił to sobie dopiero teraz. I nie było na nim żadnych insygniów i oznaczenia stopnia? Dlaczego zabrano mu Krzyż Rycerski?

- Może pójdziemy do samolotu, Herr Hauptmann - przerwał mu rozmyślenia Piel.

Założył i zapiął skórzaną kurtkę, po czym omijając krzesło wyszedł za Pielem. Wyszli na zewnątrz; nie było już samochodu, którym tu przyjechał. Zamiast niego czekał wojskowy Kubelwagen. Wskoczywszy do ciężarówki, Alfred Horn sprawdził swój zegarek: była za dziesięć piąta wczesnego wieczoru dziesiątego maja 1941 roku. Samochód szybko podjechał do szarego Me-110 i obaj mężczyźni wysiedli. Horn odwrócił się do gramolącego się za nim mężczyzny.

- Herr Piel, nie mam żadnych rozkazów, map, instrukcji i nie mam zielonego pojęcia, co ja mam robić...

- Jeśli będzie pan tak uprzejmy i zechce zająć miejsca strzelca...

Horn chwycił silnie za owiewkę i, opierając nogę na skrzydle wspiął się w górę i zajął wskazane miejsce. Latał już jako nawigator-instruktor chyba ze sto razy. Gdy Piel podał mu skórzany hełmofon, Horn zauważył znanego, brązowego Mercedesa, który skręcił z drogi i podjechał do samolotu, zatrzymując się kilkanaście metrów poza polem widzenia Horna.

*

Pintsch uniósł się szybko z siedzenia i, obszedłszy wóz dookoła, otworzył drugie drzwiczki. Wysoki mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce wysiadł i rozejrzył się wokoło. Stał przez chwilę, badając wzrokiem pędzone silnym wiatrem chmury. Pintsch wyjął z kieszeni niebieski formularz meteorologiczny Luftwaffe i czekał w milczeniu, a po kilku sekundach wysoki mężczyzna wyjął dwie koperty z wewnętrznej kieszeni swej kurtki i podał je adiutantowi.

- Na pierwszej kopercie jest twoje nazwisko, Pintsch, a kiedy już wystartuję, otworzysz ją i przeczytasz list. Są tam instrukcje dotyczące tej drugiej, bez napisów.

- Rozumiem, Herr Stellvertreter - odpowiedział Pintsch.

Wysoki mężczyzna odebrał od niego formularz meteo i podszedł do Messerschmitta, uśmiechając się pod nosem. Alfred Horn poczuł, że jakiś ciężar sadowi się w fotelu pilota, powiedział więc w kierunku stalowej grodzi:

- Zdaje się, że pan wie więcej o tym locie niż ja i pan będzie tu dowodził.

- Tak - odpowiedział mu nieznamy głos. - Wiem cokolwiek więcej.

Horn uniósł brwi - ton głosu pilota nie dopuszczał już żadnych pytań. Wpatrując się w ogon samolotu słyszał znane sobie słowa, wymieniane przez pilota z mechanikami. Wreszcie zagrzmiały dwa silniki Daimler-Benz i poczuł, że samolot nabiera prędkości na pasie startowym, a po jakichś piętnastu sekundach odrywa koła od ziemi i zaczyna się wznosić.

*

Stojąc obok wielkiego Mercedesa Pintsch obserwował z uwagą, jak Messerschmitt wspina się ku niskim chmurom. Po chwili wsiadł do samochodu i wyciągnął dwie koperty. Pierwsza była zaadresowana: HAUPTMANN KARLHEINZ PINTSCH. Rozdarł ją i wyciągnął złożoną kartkę papieru.

Po kilku sekundach opadł bezwładnie na siedzenie i po chwili jęknął, aż szofer obejrzał się do tyłu i przyjrzał mu się uważnie. Pintsch jeszcze raz przeleciał oczyma wielkie, okrągłe litery odręcznego pisma. Dla niego, Karlaheinz Pintscha, mógł być to wyrok śmierci. Powoli czytał jeszcze raz:

DRUGI LIST ZAWIERA WYJAŚNIENIA CELU MOJEJ MISJI ORAZ PRZEPROSINY DLA ADOLFA HITLEEA. CZEKAJ CZTERY GODZINY OD STARTU I, JEŚLI NIE WRÓCĘ, PRZEKAŻ NIEZAADRESCWANĄ KOPERTĘ OSOBIŚCIE DO RĄK FUHRERA W BERCHTESGADEN.

*

W Me-110 pilot powiedział przez radio do lotniska w Rugsburg:

- Mam pozycję na jednym tysiącu metrów.

Dla Alfreda Horna słowa te zabrzmiały po staroświecku i zdziwiło go to: cóż to za słownictwo z okresu I wojny światowej? Z trudem uniósł się z siedzenia i wyjrzał poza stalową płytę. Człowiek przy sterach właśnie na moment odwrócił głowę, patrząc na ziemię w dole. Alfred Horn nigdy nie widział go z bliska, ale twarz tę poznałby wszędzie: był to człowiek, noszący zaszczytne miano STELLYELTRETER, członek Komitetu Obrony, właściciel legitymacji NSDAP z numerem 7, drugi człowiek po Adolfie Hitlerze w Rzeszy Niemieckiej, zastępca Fuhrera, Rudolf Hess.

2

Dziesiąty maja 1941 roku. Ciężko obciążony setkami dodatkowych litrów paliwa Messerschmitt 110, rycząc swoimi dwoma dwutysiącconnymi silnikami, powoli i niechętnie wspinał się na wysokość sześciu tysięcy metrów. Rudolf Hess uważał się za doświadczonego pilota, w czasie I wojny światowej latał na dwupłatowcach, a potem dodawał nowe kilometry w powietrzu, kiedy tylko nadarzała się okazja. W swoim czasie przeleciał samotnie, tylko w odwrotną stronę, znaną trasę Lindbergha nad Atlantykiem. Teraz sprawdził kompas i ustawił kurs na Frankfurt.

Przez głowę siedzącego za nim Alfreda Horna przelatywały niespokojne myśli. Ciągle wracała mu przed oczy ta chwila, gdy rozpoznał zastępcę Fuhrera. Hess poczuł wtedy jego wzrok i odwrócił się w jego stronę, uśmiechając się spokojnie. Horn widział te przenikająca na wskroś oczy setki razy na okładkach gazet. Wstrząsnął nim mimowolny dreszcz.

- Wszystko w porządku? - zapytał spokojny głos z interkomu.

- Tak jest, Stellvertreter - Horn czuł suchość w gardle.

- Pytał pan o naszą misję...

Hess był spokojny i najwyraźniej w dobrym humorze; Horn wyobraził sobie jego wargi, rozciągnięte w uśmiechu.

- Tak jest, Stellvertreter.

- Oto plan lotu.

Hess podał do tyłu swój mapnik; Horn, odbierając go, zauważył ciężką, złotą bransoletkę na przegubie prawej dłoni, mocne palce i przedramię, porośnięte czarnym włosiem. Otworzył mapnik. Trasa lotu narysowana była czerwonym ołówkiem i prowadziła na północny zachód przez Frankfurt i Dortmund, wybiegając nad Holandię. Być może znalazł wyjaśnienie - chyba to będzie lot doświadczalny, bądź co bądź ten Me-110 był poważnie przebudowany, miał wymontowane uzbrojenie, podwieszane dodatkowe zbiorniki paliwa. To mógł być lot, testujący jego zasięg... Ale w takim razie dlaczego wszystko odbywało się w takiej tajemnicy, dlaczego musiał złożyć przysięgę, dlaczego kazano mu zmienić mundur i dlaczego Rudolf Hess był przy sterach?

Czerwona linia przechodziła przez krawędź mapy. Horn wyjął mapę z mapnika i odwrócił. Trasa lotu przeskakiwała Morze Północne, potem przy pięćdziesiątym szóstym równoleżniku skręcała na zachód i, przekroczywszy brzegi Szkocji na wysokości Holy Island kończyła się w Ayrshire.

Szkocja! Hornowi natychmiast nasunęły się nowe pytania bez odpowiedzi. Nawigacja w tych warunkach, nawet przy silnym, przeciwnym wietrze była trudna, ale wykonalna. Tylko paliwo... to był poważniejszy problem. Utrzymanie właściwego kursu przy takim wietrze spowoduje duże zużycie paliwa... Ile mogą go mieć w tych baniach pod skrzydłami? A może będą lądować gdzieś na wybrzeżu Danii, by uzupełnić zapas, nim polecą dalej? Ponadto Alfred nie miał pojęcia, jakie modyfikacje wprowadził Willy Messerschmitt, by ograniczyć zużycie paliwa i właściwie wiedzieć nie musiał. Był teraz tylko nawigatorem i musiało mu to wystarczyć.

- Jakież problemy? - usłyszał w słuchawkach głos zastępcy Fuhrera.

- Nie, Stellvertreter.

Niebo było bezchmurne. W świetle wczesnego wieczoru widać było ziemię, dzięki czemu Horn miał ułatwioną nawigację. Gdy dolecieli nad granicę niemiecko-duńską, udało mu się dostrzec znajome punkty i stwierdził, że w stosunku do planowanej trasy zbczyli tylko o kilka kilometrów. Ostatnie pół godziny upłynęło w milczeniu, bowiem Horn czuł, że nie powinien teraz pytać czy mówić w ogóle cokolwiek. Gdy w dole dostrzegł zielone depresje Holandii, Hess podał mu termos z czarną kawą.

- Jest pan żonaty? - zapytał.

- Nie, Stellvertreter.

- Powinien się pan ożenić. Człowiek zawsze potrzebuje rodziny, ciepła i zrozumienia najbliższych.

- Tak jest, Stellvertreter.

Upłynęło dziesięć minut. Zastępca Fuhrera odezwał się ponownie, i tym razem czuć było w jego głosie napięcie.

- Nasza misja jest sprawą życia i śmierci dla Niemiec i chciałbym, żeby pan to zrozumiał.

Pierwszy raz od chwili startu zmęczony ostatnimi wydarzeniami, umysł Horna zaczął działać normalnie.

- Wierzę w to, Herr Stellvertreter, ale zrozumieć na razie nie potrafię.

Po dłuższej pauzie Hess zapytał:

- Słyszał pan o Orderze Marii Teresy?

- Nie, nie przypominam sobie...

- To austriackie odznaczenie, bardzo wysokie. Może być nadane tylko za wykazanie największej odwagi w akcji podjętej bez wiedzy przełożonych. Czy pan rozumie?

- Bez zgody przełożonych? - upewnił się Horn.

- Właśnie tak. Zdobędziemy je obaj, Hauptmann Horn, a Fuhrer osobiście przypnie je panu na piersi.

W tym momencie Horn spojrział w dół - przekraczali wybrzeże. A więc nie będą tu tankować... Sześć tysięcy metrów niżej zimna, szara płaszczyzna Morza Północnego dochodziła do horyzontu. Horn znał ten widok, podziwiał go już kilkaset razy. W kabinie było zimno i ciemno. Byli w powietrzu od półtorej godziny. Horn zdrętwiał na swoim fotelu, nogi miał jak dwie kłody drewna, czuł ból karku, ale nie to było teraz jego największym problemem. Każdy nerw Horna czekał na spotkanie z nieprzyjacielem. To było już pole walki i w każdej chwili jakiś zabłąkany Hurricane czy Spitfire mógł wyłonić się z chmur. Przez ostatni rok Horn i jego koledzy z Luftwaffe latali w wir bitwy, atakując i zarazem wrywając się przeciwnikowi w szalonych manewrach. Wiedział, że wystarczy jedna pomyłka, a samolot spadnie w płomieniach w szarą wodę i pogrąży się w zimnych odmętach. Wpatrywał się w niebo, po raz kolejny już czując ciarki na grzbiecie. Me-110 nie był uzbrojony i leciał w samo serce wroga, a za sterami siedział człowiek, który nie walczył już od dwudziestu pięciu lat...

Bez punktów odniesienia nawigacja była utrudniona. Po chwili namysłu Horn użył potężnego odbiornika, w jaki wyposażono samolot, odszukał sygnał Luftwaffe z Paryża i jakąś stację z Borgelund w Danii, potem namierzył ich azymuty i wyznaczył obecną pozycję samolotu. Chwila pracy pozwoliła mu na oderwanie się od niespokojnych myśli, a potem podał Hessowi małą zmianę kursu. Pilot ustawił nos Messerschmitta bardziej na północ...

- No, Horn, stąd już nie możemy zawrócić...

Horn przeżył wiele wstrząsów przez ostatnich kilka godzin, ale to było co innego. Zdawał sobie sprawę, że nie lecieli na wycieczkę, ale to była granica zasięgu, o której często myślał w czasie poprzednich lotów, w tej jednej chwili Horn zrozumiał wspomniane przez Pintscha niebezpieczeństwa, jego pytania o znajomość angielskiego, miesiąc czekania w Munich nie wiadomo na co, rozmowę o Orderze Marii Teresy... Ten Messerschmitt wcale nie był przystosowany do dalekich tras, po prostu podwieszono dwa dodatkowe zbiorniki - wystarczyło to do Szkocji, ale nie można było już wrócić.

Horn spojrział na oddalające się z prędkością dwustu kilometrów na godzinę wybrzeże Danii. Człowiek w fotelu pilota prowadził samolot wprost w objęcia wroga, ale nie to było najgorsze - jeśli Hess wspomniał o Orderze Marii Teresy, to mogło to tylko oznaczać, że leci bez wiedzy Adolfa Hitlera. A on, - Alfred Horn, leci wraz z nim...

Była dwudziesta trzydziści, gdy Horn zawiadomił zastępcę Fuhrera o przekroczeniu szerokości północnej pięćdziesiąt pięć stopni i sześćdziesiąt cztery sekundy, a Hess po potwierdzeniu wprowadził Me-110 na nowy Kurs zachodni i obniżył wysokość do stu metrów, obawiając się brytyjskich radarów. Morze burzyło się pod nimi, a huk białych grzyw fal dochodził aż do nich mimo warkotu silników. Horn niespokojnie kręcił się w swoim fotelu - podana przez SD Goeringa prognoza pogody zapowiadała chmury, ale niebo było idealnie czyste.

Spitfire był już tysiąc metrów nad nimi, kiedy Horn go dostrzegł. Zobaczył przez moment odbłysek światła i metalu i poczuł, że zbliżają się kłopoty.

- Spitfire! - rzucił w interkom.

Normalnie Me-110 miał przewagę szybkości i mógłby uciec Anglikowi, ale ten Spitfire zyskał dodatkową prędkość, lecąc z góry i nie było już takiej szansy. Szybko przeanalizował wszystkie czynniki niefortunnego spotkania, ale nie widział żadnej możliwości ucieczki. Odkąd zauważył Spitfire'a, automatycznie przekazywał pilotowi wszystkie jego manewry.

- Zbliża się... Tysiąc pięćset metrów... Tysiąc...

Hess, mimo swych czterdziestu ośmiu lat, momentalnie zareagował na niebezpieczeństwo. Odczepił oba dodatkowe zbiorniki, zyskując nieco na szybkości, a potem obniżył się tak, że Me-110 prawie dotykał brzuchem wody. Teraz Spitfire musiał manewrować ostrożniej. Nad Messerschmittem przeleciał rój pocisków z dwudziestomilimetrowych działek przeciwnika. W każdej chwili któryś z samolotów mógł rozbić się o powierzchnię morza.

Horn czuł strużki potu, spływające mu z czoła na brwi i oczy, ale nie podniósł ręki, by je obetrzeć.

- Uwaga, atakuje! - krzyknął w interkom zapominając zupełnie, że zwraca się do zastępcy Fuhrera.

Spitfire prowadził ostrzał z doskonałej pozycji - może pilot zauważył brak tylnich działek. Angielski myśliwiec, napędzany potężnym silnikiem Merlina, trzymał się czterysta metrów za Messerschmittem, celując dziobem w twarz Horna, który mógł tylko patrzeć na sylwetkę pilota w błękitnym kombinezonie i czekać na najgorsze.

Nową feerię rozblysków u wylotu luf Spitfire'a uprzedził ostrzegawczy okrzyk Horna. To była gra, ale pilot RAF-u twardo trzymał się ogona nieprzyjaciela. Musiał być doskonałym pilotem, takim samym doświadczonym asem, jak Horn.

Hess próbował kluczyć. Końce skrzydeł Me-110 prawie dotykały powierzchni morza w nagłych przechyłach samolotu. Angielski pilot powtarzał te manewry z sekundowym opóźnieniem, które jednak wystarczało, by serie z działek nie trafiały w cel. Ale nieprzyjacielskiemu pilotowi nie brakowało doświadczenia - w pewnym momencie Horn aż zamknął oczy pewien, że wbije się w fale.

Pięć pocisków eksplodowało, wyrывая w kadłubie Messerschmitta poszarpane dziury. Hornowi wydawało się, że nie wyrządziły żadnych szkód, gdy poczuł silny zapach paliwa. Przez pięć sekund, gdy Spitfire manewrował do kolejnego ataku, Horn czekał na eksplozję, jednak automatyczne zawory zadziały i paliwo przestało wypływać.

W fotelu pilota Hess rozglądał się dokoła w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki. Jakaś ciemna masa wyłoniła się z mroku, oddalona zaledwie o kilometr. Mgła lub wybrzeże - w momencie, gdy Hess zastanawiał się nad tym, z interkomu dobiegł okrzyk Horna:

- Na lewo, Stellvertreter! Na lewo!

Usłyszał jeszcze, jak pojedynczy pocisk eksplodował gdzieś pod jego stopami i ciemna masa zamieniła się w opar. Za jego plecami Horn z rozszerzonymi oczyma obserwował, jak pochłania ich mgła. Spitfire zniknął z pola widzenia.

Mgła, która ich ocaliła, nie rozciągała się szeroko. Szybko się rozjaśniło i znów błysnęło zachodzące słońce. Hess dojrzał powyginaną linię nadbrzeżnych skał w odległości nie większej niż dwieście metrów. Z całych sił przyciągnął drążek do siebie. Me-110 poderwał się w górę i przeleciał nad granitowymi blokami z zapasem zaledwie kilku centymetrów. Horn nie zdążył sobie nawet zdać z tego sprawy, gdy byli już bezpieczni. Lecieli teraz nisko nad polami, lasami, zabudowaniami i drogami. Dwóch ludzi, stojących przy bramie, zastępyło w bezruchu. Horn wypatrzył parę, dziewczynę i chłopaka, jak trzymając się za ręce patrzyli ze zdumieniem na czarne krzyże, zdobiące skrzydła i ogon Messerschmitta.

- To już blisko, Horn, bardzo blisko - miękko oderwał się Hess.

Horn nie odczuł żadnego odprężenia na wiadomość o osiągnięciu celu podróży.

- Przeznaczenie, Horn, czuję w tym dłoń przeznaczenia...

Horn badał wzrokiem formujące się nad nimi chmury. Jak Rudolf Hess może czuć tu rękę przeznaczenia. Na pewno nie było łatwo człowiekowi, który wyrósł w Niemczech na jedną z najważniejszych figur w rządzie, zdobyć się na taką eskapadę. Tym niemniej perspektywa zostania jeńcem wojennym odganiała od Alfreda Horna wszelkie myśli interwencji mocy wyższych.

Pierwszą oznaką nowych, kłopotów była zmiana tonu silników. Hess spojrzął na przyrządy i dostrzegł jaśniejące światelko alarmowe.

- Ciśnienie oleju szybko spada! Jeden z silników zaczął dymić.

- To ten ostatni pocisk - powiedział Horn. - Co z temperaturą silników?

- Obie wskazówki na czerwonych polach...

Hess był idealnie spokojny. Horn potrafił docenić opanowanie w takiej sytuacji, ale trzeba było znaleźć jakieś wyjście. Alfred Horn nie miał zamiaru ginąć w płomieniach.

- Niech pan wejdzie wyżej! - powiedział szybko.

- Zlokalizują nas na radarze.

- Wnieśmy się, dopóki działają silniki! To nasza ostatnia szansa!

Hess posłusznie ściągnął drążek. Uszkodzony Messerschmitt powoli wspiął się na dwa tysiące metrów.

- Proszę otworzyć owiewkę, musimy skakać.

- Nie!

Hess poczuł przesywający go strach - nigdy nie skakał na spadochronie i bał się tego panicznie. Horn zwolnił już zamki po swojej stronie.

- Nie mogę - skakać... - Hess opanował się, ale głos drżał mu wyraźnie.

- Nie mamy wyboru, silniki zaraz się zapalą.

Oba silniki dogorywały, ciągnąc za sobą smugi niebieskiego dymu. Horn usiłował wypchnąć owiewkę, trzymały jednak jeszcze zamki w przedniej części.

- Niech pan przekreśli dźwignie w zamkach!

Horn musiał krzyżeć ponad pancerną grodzia, bo odłączył już helmfon i nie miał bezpośredniej łączności i pilotem. Hess nie zwrócił uwagi na jego krzyk; siedział bez ruchu. Horn ponownie podłączył interkom.

- Pan nas zabije! Przekreśl te dźwignie!

Wreszcie wywołało to jakiś efekt. Hess w ostatnim momencie wziął się w garść. Odpiął pasy, podał Hornowi dużą torbę, otworzył zamki owiewki i drżącymi rękoma przesunął drążek, odwracając samolot na plecy.

Horn uspokoił się. Gdy samolot się odwrócił i owiewka poleciała w dół czekał spokojnie, aż ciśnienie wyrzuci go z kabiny. Lecąc już w powietrzu zobaczył, jak jeden z silników staje w płomieniach, rozrzucając wokół płonące części. Spadochron otworzył się z cichym trzaskiem.

W przeciwieństwie do niego, zastępca Fuhrera cały się trząsł, gdy Me-110 zmieniał pozycję. W panice kurczowo trzymał się fotela, aż wreszcie nie mógł już utrzymać swojego ciężaru i wypadł na zewnątrz. Ucichło wycie silników, błysnął ogień. Po chwili słychać już było tylko świst powietrza. Okaleczony kadłub samolotu odleciał w swoją ostatnią drogę. Wszystkie mięśnie Hessa sprężyły się, krew odpłynęła mu z głowy i drugi najpotężniejszy człowiek Niemiec zemdlął, ale ocalał swoje życie, bo otworzył się jego spadochron. Powiew zimnego powietrza ocucił Hessa. Rozejrzał się i w porwywie hysterii wybuchnął gwałtownym śmiechem. Pierwszy i ostatni raz w życiu skakał ze spadochronem - był to dla niego szok.

Horn wylądował bezpiecznie w wysokiej trawie. Szybko zgasił spadochron i rozpiął uprząż. Rozejrzał się wokół, szukając Hessa. Wielki, jasnoniebieski grzyb spadochronu opadał dobre pół kilometra na zachód od niego. Nawet z tej odległości widać było, że zastępca Fuhrera ma kłopoty. Uprząż była źle założona, główne linki poplątane, a sylwetka skoczka groteskowo wykrzywiona, doświadczony skoczek mógłby jeszcze jakoś rozplatać linki i odzyskać kontrolę nad spadochronem, Horn widział jednak, że Hess nie podejmuje żadnych wysiłków w tym kierunku i opada zupełnie bezwładnie. Będzie miał dużo szczęścia, jeśli nie połamie sobie wszystkich kości. Horn zaczął biec. Wspiął się na niewielkie wzniesienie i przebiegł drogą przez niewielki mostek, a po ominięciu niewielkiego lasku zobaczył jakieś trzysta czy czterysta metrów dalej niebieski spadochron Hessa, przewieszony przez kamienny murek. Samego Hessa znalazł leżącego obok, przyciskającego kurczowo do piersi czarną aktówkę. Twarz Hessa była wykrzywiona cierpieniem.

- Stellvertreter...

Horn dyszał ciężko po biegu przez pola. Zobaczył, jak Hess ostrożnie obmacuje swoją nogę.

- Złamał pan nogę?

- Tak - głos zastępcy Fuhrera był znów ostry i nieprzystępny.

- Musimy iść, Anglicy na pewno widzieli spadochrony.

- Nie, niech pan ucieka sam.

Horn przyklęknął przy Hessie.

- Niech mi pan poda swoją torbę - powiedział Hess. - Nie mamy zbyt wiele czasu...

Horn zdjął z ramienia pasek i podał mu torbę. Wstał i stojąc w swoich jasnych spodniach i brązowej koszuli patrzył, jak Hess rozpina zamek.

- Uda się pan na lotnisko w Prestwick - powiedział Hess.

- Będą tam na pana czekać!

Otworzył torbę, wyciągnął z wnętrza wojskową, ciemnobrązową kurtkę i rzucił ją Hornowi. Alfred dostrzegł insygnia kapitana US Air Force i wreszcie zrozumiał, po co była ta koszula i spodnie i dlatego ten dziwny krawiec z Munich tak dokładnie obmierzył go przy pierwszym spotkaniu. Jednakże nie rozumiał wszystkiego.

- Herr Stellvertreter... - zaczął biorąc kurtkę. - Jestem oficerem Luftwaffe, a w tym mundurze mogę zostać po prostu rozstrzelany jako szpieg...

Cichy głos Hessa przepełniony był cierpieniem.

- Jest pan teraz kapitanem Johnem Vincentem - zignorował jego obiekcje. - Ma pan godzinę czasu. Musi pan być w Prestwick przed dziesiątą trzydzieści. - Amerykański generał, generał Walker, niecierpliwie nas oczekuje...

Z trudem podał Hornowi swoją aktówkę.

- Niech pan to odda generałowi... zamknięte... Powtarzam - zamknięte. Myślę, że pamięta pan swoją przysięgę?

Horn wyczuł nacisk w jego słowach. Naraz obaj drgnęli i obejrzeni się, słysząc krzyki i nawoływania, dobiegające z lasku po ich prawej stronie. Hess wyciągnął portfel z kieszeni kurtki i podał go Hornowi.

- Będzie pan potrzebował pieniędzy - powiedział. - Niech pan już idzie.

- Zamkną pana w obozie...

- To nie ma znaczenia. Wojna skończy się w przeciągu tego miesiąca...

Hess wydał się raptem Hornowi wyższy i potężniejszy niż kiedykolwiek.

- Hauptmann, musi pan dostarczyć te akta, do Prestwick przed dziesiątą trzydzieści. Ma pan los Niemiec w swoich rękach...

- Czołem, Herr Stellvertreter - Horn odwrócił się.

- Hauptmann... - głos Hessa zabrzmiał mocniej; podniósł prawą dłoń. - Heil Hitler!

Horn zawahał się - Jako oficer Wehrmachtu nigdy nie oddawał tak honorów. Poważne oczy badały jego twarz. Teraz Horn podniósł rękę.

- Heil Hitler! - odpowiedział i odwróciwszy się, zaczął biec wzdłuż kamiennego muru.

Gdy oddalił się już na mniej więcej dwieście metrów, Hess ukląkł na zdrowej nodze i, zamachnąwszy się mocno, odrzucił torbę z ubraniami tak daleko, jak tylko mógł. Potem bez pośpiechu zaczął ściągać złotą bransoletkę z lewego nadgarstka. Były na niej pięknie wygrawerowane inicjały RH. Położył ją na dłoni, wpatrując się w inskrypcję na drugiej stronie. Wrócił w myślach do odległych czasów. Tak, będą blisko siebie, choć on będzie w więzieniu. Jak bracia... Uśmiechnął się i rzucił bransoletkę na drugą stronę muru. Przez moment światło zachodzącego słońca błysnęło na niej, ukazując inskrypcję: Z CAŁEGO SERCA DLA R.H. OD WILKA.

*

Alex McLean spacerował właśnie z psem, gdy Messerschmitt przeleciał nad nim z rykiem silników. Podnosząc wyżej głowę dostrzegł, że jedno skrzydło samolotu płonie i pojedynczy spadochron, który opadał powoli pół mili od niego w kierunku Eaglesham. Zaczął biec w tamtym kierunku, ciągnąc za sobą psa.

John Augus kopał w ogrodzie, gdy Messerschmitt spadał na pole. Widział dokładnie niemieckie, czarne krzyże na srebrnych płatach i opadającego powoli skoczka ze spadochronem. Rzucił szpadel i zaczął biec w stronę Eaglesham za Alexem McLeanem.

Billy Wilson, tutejszy strażak, też widział spadochron. Położył rower w trawie i, chwyciwszy pompkę, biegł przez pole do dwóch innych mężczyzn, zmierzających ku skoczki.

Gdy przeskoczyli strumień i przebiegli drogę do Eaglesham, McLean spostrzegł niebieskie zwoje spadochronu i wysokiego mężczyznę, stojącego przy kamiennym murze. Podeszli bliżej. Wilson mocniej zacisnął w dłoni pompkę. Kilka metrów od muru zatrzymali się.

Stojąc naprzeciw trójki mężczyzn, Hess obserwował ich bez lęku. Wreszcie McLean zapytał cicho:

- Kim pan jest?

Hess oparł się o mur bez słowa.

- Może on nie rozumie po angielsku? - zastanawiał się głośno Augus.

Hess odwrócił się w jego stronę.

- Mówię po angielsku...

Wilson uniósł nieco swoją broń.

- Kim jesteś? - zapytał.

Oczy zastępcy Fuhrera badały twarze stojących przed nim ludzi. Kiedy odpowiedział, jego głos był niski i powolny.

- Jestem Hauptmann Alfred Horn.

3

Dziesiąty maja 1941 roku. Zaczął wiać silny wiatr i od zachodu nasunęły się zapowiadane chmury. Pod ich ciemną masą zaszło słońce. Horn przebiegł przez pole, przeskoczył kamienny mur i biegł teraz drugim polem, jakiś kilometr od miejsca, gdzie zostawił Stellvertretera.

Zatrzymał się, dysząc ciężko. Nie był już w takiej kondycji jak w 1936 roku. Przeszedł ostrożnie przez wysokie krzaki, starając się nie pobrudzić swoich jasnych spodni, po czym znalazł się na drodze. Na prawo na horyzoncie widać było zarys lasu, a z lewej strony nie kończące się, pofalowane pola. Horn zdecydował, że pójdzie w lewo. Choć nie mógł iść dokładnie na zachód, jak powinien, to jednak Prestwick leżało, zdaje się, gdzieś w tym kierunku.

Kilometr dalej droga rozdzielała się. Na poboczu stał biały, drewniany słup, ale - jak obecnie w całej Wielkiej Brytanii - tablice były zdjęte. Znowu wyniknął problem, w którą stronę iść. Horn starał się przypomnieć sobie mapę lotniczą, którą posługiwał się w samolocie. To Prestwick leżało na zachodnim wybrzeżu, około trzydziestu kilometrów stąd, nie pamiętał jednak żadnych szczegółów, dotyczących drogi. Zegarek wskazywał dziesiątą dwadzieścia, miał więc trochę więcej czasu niż godzinę. Było już ciemno i zaczął padać deszcz. Sytuacja była niewesoła.

*

Pod wzgórze piął się na dużej prędkości biały samochód. Stary jaguar dawno już przeżył swoją młodość, tak samo zresztą, jak jego właściciel, który kupił tego grata Standard Avon Special w 1933 roku. Doktor Cross zawsze lubił szybkie samochody, to była jego pasja. Swoim białym wozem przejechał już wiele tysięcy mil. Powinien sprawić sobie nowy, ale czuł do tej sterty żelastwa dziwną sympatię. Pięćdziesięcioletni Cross lubił pędzić przed siebie, czując siłę wszystkich sześciu cylindrów swego jaguara. Ściemniało się szybko i w szyby uderzył deszcz. Kierowca włączył wielkie, ośmiocalowe reflektory, normalnie rozświetlające drogę na dobrą milę, teraz jednak przesłonięte zgodnie z obowiązującymi przepisami o zaciemnieniu czarnymi nakładkami z wąską szczeliną. W pewnej chwili padający na drogę, wąski strumień światła ukazał ludzką sylwetkę, stojącą na poboczu drogi. Doktor zatrzymał wóz i opuścił boczną szybę.

- Jadę do Tarbolton - zaferował.

Przez moment Horn chciał szarpnąć drzwi, wyciągnąć z samochodu tego człowieka i odjechać, ale zrezygnował z tego zamiaru, gdy podszedł do wozu i dostrzegł, za kierownicą szczupłego człowieka z siwymi bokobrodami. Doktor Cross otworzył drzwi.

- Pan pewnie na lotnisko w Prestwick?

- Tak - potwierdził szybko Horn, po raz pierwszy w swej podróży miał dobrą passę.

Jadąc dobrze sobie znaną drogą, doktor raz po raz patrzył ciekawie na swojego pasażera. Włączył ogrzewanie wozu i zapalił fajkę.

- Miał pan szczęście... Okropna pogoda, a poza tym tutaj rzadko kto jeździ - spróbował rozpocząć rozmowę, nie otrzymawszy odpowiedzi, wypuścił z ust kłęb aromatycznego dymu.

Horn dotknął kieszeni, szukając papierosów, ale poza portfelem nie miał nic przy sobie. Samochód pędził, rozpryskując kałuże przez ciemne drogi hrabstwa Cumnock Ochiltree.

- Nazywam się Cross, jestem tutejszym lekarzem.

- Alfred Horn.

Poza szybkimi samochodami doktor amatorsko zajmował się genealogią. Upewnił się co do nazwiska pasażera.

- Czy może Horne przez e na końcu?

- Nie, po proou H-O-R-N.

Horn zmusił się do czujności. Spokój i ciepło kabiny samochodu wprowadziły go w błogie rozmarzenie i przez to popełnił błąd: dokumenty miał przecież na nazwisko Vincent. A poza tym ten ojcowski głos należał do wroga i o tym nie wolno było zapomnieć.

Doktor pomyślał, że nazwiska Amerykanów zawsze były dziwne. Wiele z nich zostało przekreślonych przez urzędników w dawnych czasach, gdy przodkowie tych, którzy je teraz noszą wyemigrowali z Europy w poszukiwaniu fortuny w Nowym świecie. HORN mogło pochodzić skądkolwiek, poczynając od tych polskich nazwisk nie do wymówienia, a kończąc na rodach koptyjskich. Postanowił nie myśleć już o tym więcej. Skręcił na Ayr, by przez Prestwick dojechać do Tarbolton - nadkładał w ten sposób nieco drogi, ale postanowił podwieźć Horna jak najbliższej lotniska, by nie musiał daleko chodzić. Deszcz już ustał i szosa szybko wyschła. Na następnej krzyżówce należało skrócić do Tarbolton - stąd jego małowówny pasażer miał już tylko kawałek drogi do przejścia pieszo.

- Wyszadź pana na następnym skrzyżowaniu, jeśli odpowiada to panu.

- Doskonale - kiwnął Horn głową.

- Podwiózłbym pana pod samą bramę, ale bardzo się spieszę. Zostałem wezwany do rodzajej.

Była to prawda, choć niezupełnie. Przyszła matka, żona jego dobrego przyjaciela, na pewno nie będzie jeszcze długo potrzebowała pomocy. Doktor chciał jednak przedtem lyknać co nieco i trochę się zdrzemnąć. Dziecko nie urodzi się wcześniej niż nad ranem, więc na pewno zdoła odpocząć w domu tych sympatycznych Szkotów. Zatrzymał wóz na poboczu i pokazał, jak można dojść na lotnisko Skrótem. Horn wysiadł.

- Stałbym teraz ciągle na drodze do Ayr. Dzięki panu zaoszczędziłem masę czasu - dziękował Horn, ściskając serdecznie dłoń Crossa; błogosławił w duszy to spotkanie.

Gdy jaguar odjechał z głośnym warkotem, Horn zaczął powoli iść w kierunku Prestwick. Wiatr odgonił już deszczowe chmury na wschód, ale jego ubranie było wciąż mokre pomimo ciepła, jakie panowało w samochodzie. Szybko poczuł chłód. Zerknął na zegarek: była za piętnaście dziesiąta. Miał szczęście, powinien spokojnie dotrzeć na miejsce przez pół godziny.

*

Wiatr hulał po pustym pasie startowym na lotnisku w Prestwick. W oddali fale Kanału Północnego waliły o skały. Przy zamkniętej bramie głównej Albert Howard tęsknił za końcem służby i ciepłem domowego łóżka. Jeszcze w zeszłym miesiącu lotnisko spokojnie drzemało na uboczu tej wojny, od czasu do czasu tylko lądowały tutaj prywatne samoloty, dowożące businessmanów na jakieś spotkania, teraz zaś wszystko się zmieniło.

Gdy Amerykanie po raz trzeci wybrali Franklina Roosevelta na urząd prezydenta, złamał on w grudniu tego roku zwolenników izolacji i koalicję antybrytyjską. Ogłosił, że Amerykanie przekształcą Stany Zjednoczone w WIELKI ARSENAŁ DEMOKRACJI. Odpowiadając na to wezwanie, Kongres uchwalił ustawę Lend-lease o pomocy dla koalicji antyhitlerowskiej. Ósmego lutego 1941 roku

została ona zaakceptowana przez Izbę Reprezentantów i od kwietnia wielkie transporty transatlantyckie zaczęły podążać do Wielkiej Brytanii morzem i powietrzem. Z tego to właśnie powodu Albert Howard tkwił dziś w swojej budce.

Prestwick było jednym z lotnisk przyjmujących transporty. Niedawno jeszcze stało tu pełno czterosilnikowych Latających Fortec, ale dziś wieczorem wszystkie odleciały. Albert Howard zatarł zdrtwiałe z zimna ręce i oparłszy się o ścianę budki, patrzył w noc.

Kiedy Howard wypatrzył Horna, ten wspinał się na niski wał ziemny, otaczający lotnisko. Po chwili wartownik zorientował się, że ciemna sylwetka wyraźnie zbliża się do bramy. Albert Howard chwycił w dłonie swój karabin i wyszedł z budki; coś w ruchach Horna spowodowało, że odczuł niepokój.

- Ej, ty!

Horn zdrtwiał, słysząc ten głos i przez chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować ucieczki. Strażnik zbliżył się do niego, Horn widział więc wymierzoną w siebie broń. Błysnęła latarka.

- O, przepraszam, sir!

Howard rozpoznał kapitańskie naszywki na mundurze i zarzucił na ramię swego starego Lee-Enfieldea 303, relikw z I wojny światowej, z którego na pewno nie oddano żadnego strzału przez ostatnie dwadzieścia lat, po czym otworzył bramę.

Było to dla Horna pierwsze spotkanie z żołnierzem angielskim i to w dodatku z tak bliska, przyglądał mu się więc z ciekawością. Anglik miał chyba już ponad pięćdziesiąt lat, chudą i pomarszczoną twarz, a siwe włosy wystawały w nieładzie spod płaskiego, metalowego hełmu. Kurtka jego battle-dressu była co najmniej o dwa numery za duża, ale pomyslowy właściciel włożył pod nią kilka swetrów, nie robiąc sobie teraz nic z zimna. Na lewym ramieniu nosił opaskę, która opadła mu teraz prawie na dłoń; widać było na niej duże litery LDV. Horn nie mógł wiedzieć, że oznacza to Local Defence Volunteer, organizację wywodzącą się z Home Guard, czyli angielskiego pospolitego ruszenia. Całości stroju dopełniały szerokie, cywilne spodnie i para brudnych butów.

- Przepraszam, sir, ale musimy być czujni przede wszystkim z powodu palaczy. Byle kto rzuci niedopałek i wylecimy w powietrze. Bądź co bądź tu wszędzie benzyna...

Wytarł rękawem czerwony nos i spojrzał wyczekująco na Horna.

- Ja na szczęście nie palę - Horn starał się mówić z naturalnym akcentem amerykańskim; po chwili dodał: - Czy wiecie może, gdzie mógłbym znaleźć generała Walkera?

- Generał Walker? Nie słyszałem o nim, zresztą wielu odleciało dziś wieczorem. Wszyscy pozostali oficerowie będą pewnie w baraku numer trzy, tam musi pan pójść.

Wyciągniętą ręką wskazał na prawo i Horn dostrzegł w ciemnościach grupę niskich baraków.

- Dziękuję - powiedział, ruszając w ich stronę.

- Cholerne pętaki, wszyscy palą - - mamrotał Howard, idąc w stronę swojej budki.

Kiedy Horn wszedł do metalowego baraku, głos zza stołu ryknął:

- Zamknij te cholerne drzwi!

Sierżant USAF siedział na przechylonym krześle tyłem do drzwi i, opierając nogi o ścianę, oglądał roznieglizowane panienki w jakimś magazynie. Gdy Horn powoli zamknął drzwi, sierżant zerknął do tyłu i, przewracając wygodne krzesło poderwał się na baczność, patrząc ze zdumieniem na oficera.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział skonfundowany.

- Myślałem, że to ten przekłety fircyk...

- Fircyk? - zapytał ciekawie Horn.

- Cywil, kapitan promu. Cholera wie, czego on tu szuka, na terenie wojskowym.

Horn rozejrzał się dokoła. Aluminium ścian niedawno pomalowano na szary kolor, używany na okrętach marynarki wojennej. Jedna strona pomieszczenia odgradzona była potężnym biurkiem, a wokół stały metalowe szafki. W jednej ze ścian wycięto dziurę, z której wystawały kolorowe kable... czekające na podłączenie do otwartej w tej chwili i rozbebeszonej tablicy rozdzielczej. W przeciwnym kącie stał potężny aparat nadawczo-odbiorczy, nastawiony w tej chwili na jakąś odległą stację, nadającą muzykę.

Sierżant odprężył się, patrząc teraz na Horna z nikłym uśmiechem. Jego szczęki zaczęły się miarowo poruszać przy żuciu gumy.

- Co mogę dla pana zrobić, kapitanie?

- Szukam generała Walkera.

- To nie ma pan szczęścia, sir. Generał odleciał ostatnim B-17 tego wieczoru.

Horn, dobity tą wiadomością, czując w kościach wypadki całego dnia i mając za sobą nieprzespaną noc po prostu oklapł. Sierżant spojrzał na niego z przyjazną uwagą.

- Czy w czymś pomóc, kapitanie? Generał Walker zostawił tu kogoś od siebie... Porucznik Hampton, drugie drzwi z prawej strony korytarza.

Horn znów wziął się w garść.

- Dziękuję.

Wszedł w krótki korytarz, oświetlony odsłoniętymi żarówkami; czuł się nieszczególnie. Zapukał do drugich drzwi po prawej stronie. Kobiety głos krzyknął, by wchodzić.

Siedziała na polowym łóżku, nalewając z elektrycznego czajnika kawę do szklanki. Wyglądała na około trzydzieści lat i była blondynką o ładnej, regularnej twarzy.

- Przepraszam, szukam porucznika Hamptona - powiedział.

- To ja.

Dostrzegła jego zdziwienie i roześmiała się cicho.

- Korpus pielęgniarek polowych, asystentka generała Walkera. Chce pan kawy?

- O, dobrze by mi to zrobiło. Dziękuję, pani.

Wstała i z małego stolika w roku pokoju wzięła drugą szklankę. Była szczupła i w dobrze skrojonym mundurze wyglądała doskonale.

- Jaką pan pije?

- Mocną bez cukru.

Podala mu szklankę i, uśmiechając się lekko, nalala mu zgodnie z życzeniem.

- Miałem się tu spotkać z generałem Walkerem - gorąca kawa przyjemnie rozgrzewała go od wewnątrz.

- Pan jest kapitanem Vincentem?

Horn przytaknął.

- Co się stało, że nie przybył pan z pułkownikiem?

- Jego samochód wpadł w poślizg i uderzył w drzewo.

- Jest poważnie ranny?

- Nie, ale nie zjawi się dziś.

- Bardzo mi przykro, ale nie tylko pan został sam. Generał Walker odleciał godzinę temu.

- Godzinę temu?...

Hess powiedział mu wyraźnie, że będą na nich czekać do dziesiątej trzydzieści, a on przecież się nie spóźnił - nie mogło być teraz później niż piętnaście po dziesiątej.

- Mieliście spotkać się o dziesiątej trzydzieści. Którą ma pan teraz godzinę? - zapytała.

Sprawdził zegarek.

- Dopiero dziesięć po.

Potrząsnęła głową.

- No tak, kapitanie... U pana jest dziesięć po dziesiątej?

Przytaknął zdenerwowany.

- Nie przestawił go pan przed przyjazdem tutaj?

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Brytyjski czas letni, kapitanie, godzina różnicy. Nowy Jork dostał tę informację, widocznie w sztabie znowu zawalił sprawę. Oni zawsze wszystko popsują...

W ostrożny plan zastępcy Fuhrera wkraść się drobny błąd. W Niemczech w marcu przesuwano zegarki o godzinę w przód, jednak w tym samym czasie w Wielkiej Brytanii był wprowadzony podwójny czas letni, o dwie godziny naprzód: w stosunku do Greenwich i jedną godzinę w stosunku do Niemiec.

Horn w rozterce popijał kawę, a porucznik rzuciła na niego zaniepokojone spojrzenie.

- Powinien pan zadzwonić do pułkownika Barkera... Gdzie on teraz jest?

- Na rentgenie. Muszą zrobić badania, zanim go stamtąd wypuszczą.

- To niedobrze... Myśli pan, że zdąży do poniedziałku?

- Do poniedziałku?

- Następnego konwoju lotniczego będzie tu w poniedziałek wieczorem, a odleci z powrotem gdzieś po północy.

Horn starał się szybko przeanalizować sytuację. Jeśli porucznik Hampton oferuje załatwienie przelotu do Ameryki, kraju neutralnego, to może jednak ma trochę szczęścia.

- Smakuje panu kawa? - zapytała.

- Doskonale. Mam rozkaz, by w razie czego lecieć samemu. Mam wszystkie dokumenty przy sobie, no i, oczywiście, w tym przypadku wskazany jest pośpiech.

- W takim razie, jak już mówiłam, najwcześniej w nocy z poniedziałku na wtorek.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon. Sierżant krzyknął przez ścianę:

- To dla pani, pani porucznik!

- Proszę wybaczyć - przeprosiła Horna i wyszła.

Kiedy został sam, zaczęły prześladować go nowe, natarczywe myśli. Co ona wie? Wydawać by się mogło, że raczej niewiele... Kto to jest generał Walker? Czy Hess na pewno chciał lecieć do Ameryki? I co jest w tej aktówce, którą mu przekazał? Poczł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Jeśli w Anglii jest tak samo jak w Niemczech, to musi panować i tu niesamowita podejrzliwość. O każdym, kto wydaje się podejrzany, powiadomiony zostanie na pewno tutejszy odpowiednik gestapo. Jeśli doktor t jaguar* zauważył coś, jeśli on sam popełnił jakąś pomyłkę, to w tej chwili z pewnością Cross jest już na policji. A taki amator w sztuce wywiadowczej zawsze może łatwo popaść w kłopoty...

Kiedy wróciła porucznik Hampton, spojrzła na nią uważnie zastanawiając się, czy stało się już najgorsze. Zatrzymała się w drzwiach.

- Co się stało, kapitanie? Pan tak na mnie patrzy...

- Nie, nic... - powiedział, zaciskając dłonie na szklance. - Ten telefon... Pomyślałem przez chwilę, że to moje jakaś wiadomość od pułkownika Barkera.

Spojrzła na niego uważnie i potrząsnęła głową.

- Nie, to zwykły raport radarów z Północnej Irlandii... Wszystkie B-i? lecą bezpiecznie wyznaczonym kursem.

Usiadł ciężko na krześle. Spozstrzegł, że szklanka drży mu w dłoniach. Czekał w napięciu, aż posypią się pytania. Dokumenty? Gdzie przechodził szkolenie szpiegowskie? Kiedy dostał się do Anglii? jak? Kiedy, do licha, zacznie go wreszcie o to pytać?! Spojrzła na nią uważnie.

- Doskonała kawa - pochwalił.

- Chce pan jeszcze?

- Nie, dziękuję pani. Przepraszam za moje dziwaczne zachowanie, ale jestem okropnie zmęczony...

- To prawda, wygląda na to, że przydałby się panu spokojny sen.

Pokiwał głową.

- Czy znajdzie się gdzieś miejsce, gdzie mógłbym się położyć?

Przetarł zaczerwienione oczy.

- Nawet lepiej. Generał wynajmuje domek dla swojego personelu. jeśli tylko pan chce, będzie pan mile widziany.

Przeszła przez pokój i zdjęła z wieszaka swoją kurtkę mundurową.

- Proponuję najpierw zjeść jakąś kolację w klubie i warto by coś wypić za naszą znajomość.

- Ależ, poruczniku, przecież wypiliśmy! - wskazał z ul miechem trzymaną w dłoni szklankę.

Roześmiała się, a Horn pomógł jej założyć płaszcz.

- Mam na imię Kay - powiedziała. - Kay Hampton.

- Alfred Horn - odpowiedział i natychmiast się zorientował, jaką popełnił omyłkę.

Popatrzyła mu w oczy.

- Od kiedy generał mnie tu zostawił, nie rozumiem kilka spraw... - powiedziała powoli. - Może nie chciał, bym j< rozumiała...

- To zupełnie możliwe.

Zacisnęła usta.

- A przecież jestem asystentką generała od tak dawna...!

Przez chwilę stała nieruchomo pośrodku pokoju.

- W porządku, kapitanie - powiedziała wreszcie. - Chodźmy coś wypić.

Poprowadziła go przez ciemności lotniska. Baraki już się skończyły i przechodzili właśnie koło angielskiego myśliwca.

- Długo jest pan w Anglii? - zapytała.

- Bardzo krótko.

- Widział pan Londyn?

- Niestety, miałem tyle spraw...

- Ja też nie. Próbowałam kiedyś, ale stąd to kawał drogi. Może kiedyś...

- Życzę tego pani z całego serca.

Skręciła w stronę dwóch baraków, przyświecając sobie latarką. Na drzwiach jednego z nich wisiał duży napis US PERSONNEL ONLY. Pchnęła drzwi i znaleźli się w dużym nastrojowo oświetlonym pomieszczeniu. Naprzeciw drzwi znajdował się nikłowany bar. Nie było tu nikogo poza ubranym na białą barmanem, stojącym przed rzędem imponującej kolekcji butelek.

- Dobry wieczór pani, dobry wieczór, panie kapitanie

- barman wymawiał słowa u miękim, szkockim akcentem.
- Na co ma pan ochotę? - Kay usiadła na jednym z wysokich stołków barowych.
- Szkocką z wodą - Horn przysiadł na sąsiednim.

Przed barmanem pojawiło się sześć rodzajów whisky.

- Może coś specjalnego, kapitanie? - zapytał barman. - To jedyne miejsce na wyspach, gdzie wszystko jest jak za dawnych, dobrych czasów.

Horn oglądał nalepki.. w takim razie BLACK AND WHITE.

- A pani?

- To samo - powiedziała Kay Hampton.

Odwróciła się do Horna i, otworzywszy paczkę papierosów LUCKY STRIKE, wyciągnęła je ku niemu.

- No i mamy problem z pułkownikiem... Mówi pan, że nie będzie go do poniedziałku?

- Nie sądzę - Horn zapalił papierosa od ognia, podanego mu przez barmana. - Sądzę, że generał Walker będzie musiał pogodzić się z tym, że będę sam.

Skrzywiła się.

- Nie wiem, o co tu chodzi, kapitanie - i nie pytam - ale mówię panu, generał podskoczy do sufitu, gdy się o tym dowie.

- Cóż, nic nie możemy na to poradzić - Horn wzruszył ramionami.

Patrzyła na niego, wyczuwając jakieś napięcie w szarych oczach i ściągniętych ciemnych łukach brwi. Barman podsunął dwie pełne szklanki w ich stronę i włożył kilka kawałków lodu do whisky Kay.

- No, to w górę! - powiedziała i spostrzegła, że ten dziwny kapitan podniósł szklankę do ust nie czekając na lód.

Po pierwszym łyku whisky Horn poczuł miłe ciepło i odprężenie. Rozejrzał się po wnętrzu baru i dostrzegł naraz postać mężczyzny w długim, czarnym płaszczu, siedzącego w rogu baraku przy jednym ze stolików. Kay spojrzała w tym samym kierunku, obracając się na stołku.

- To stary Mr Frank - powiedziała. - On nie kradnie klubowych sreber, nie bój się.

Horn spostrzegł, że z torby stojącej obok tego mężczyzny wystają srebrne świeczniki i sztucce w rogowej oprawie.

- To domokrążca, sprzedaje i kupuje różne antyki - zaczęła opowiadać Kay zadowolona, że może podtrzymać rozmowę. - W ostatnich dniach kapitan promu z Nowego Jorku, cywil, nakupił u Mr Franka staroci za kilkaset dolarów. Komendant lotniska powiedział coś wtedy o wariatach, wyrzucających w błoto pieniądze, ale mnie mówiono, że ten kapitan zarobi na tym dwa razy tyle w kraju.

Trzymając w jednym ręku kapelusz, a w drugim torbę - stary człowiek, na którego patrzyli wstał i zaczął iść w ich kierunku. Miał koło sześćdziesiątki i był średniego wzrostu, ale garbił się, jakby jego torba była niespotykanie ciężka. Jego twarz dowodziła, że był typowym Żydem.

- Dobry wieczór, pani porucznik - zatrzymał się przed nimi - mówił z silnym, obcym akcentem. - Czy państwo nie będą mieli nic przeciw temu, bym się przysiadł?

Uśmiechnęła się.

- Może będzie coś ekstra dla pana - wskazała na Horna.

- To kapitan Vincent, Mr Frank. Wraca niedługo do Stanów!

Frank uniósł brwi do góry, nieco jakby dziecinny spojrzeniem badając twarz Horna.

- Sprzedaję srebro, kapitanie, ale nie jestem właściwie dobrym kupcem. Jeżeli jednak interesuje to pana, to proszę zajść do mojego sklepu na osiedlu.

Wyciągnął z kieszeni, portfel.

- Czy zechce pani przyjąć drinka od starego człowieka?

- Dziękuję, już mam - odpowiedziała. - Proszę wziąć go dla siebie.

Stary człowiek skinął głową.

- Szklaneczkę whisky, jeśli można prosić - zwrócił się do barmana.

- Od dawna jest pan w Anglii, Mr Frank? - zapytał Horn, po chwili; poczuł jakąś sympatię do tego człowieka.

- Przybyłem tu w 1934 roku, kapitanie, z Niemiec - powiedział Frank. - W Rzeszy Hitlera nie było miejsca dla żydowskiego kupca. Poznałem kiedyś kilku Brytyjczyków w latach mojej młodości. Teraz udało, mi się tutaj dostać i w pewnym sensie walczę w ich armii. To wszystko jest idiotyczne... W czasie pierwszej wojny światowej cztery lata byłem w okopach, walcząc przeciwko nim, a teraz jestem z nimi przeciw memu krajowi...

Chwycił szklaneczkę i uniósł ją do ust.

- Może, gdy Hitler zostanie pokonany, będę mógł wrócić...

Horn zmarszczył brwi.

- Chciałby pan tam wrócić?

- Jestem Niemcem - powiedział po prostu starzec. - I zawsze nim zostanę. Któregoś dnia moi rodacy znów staną się zwykłymi ludźmi...

*

Była już północ, gdy jechali drogą, oświetloną przyćmionymi reflektorami jeepa Kay. Mr Frank pożegnał ich przy drzwiach klubu.

- Czuję, że jest pan ciężko wpłątany w tę cholerną wojnę - powiedział, potrząsając ręką Horna. - Pierwszy raz widzę Amerykanina, który myśli tak, jak moi rodacy.

W ciemności nie zauważył, jak smutnie Horn się uśmiechnął

- Dobranoc, kapitanie, dobranoc, pani porucznik.

Odwrócił się i wszedł z powrotem do baraku. Kay Hampton usiadła za kierownicą, ale nie włączyła jeszcze silnika. W skąpym świetle księżycy, wychodzącego właśnie zza chmur Horn zauważył spojrzenie, skierowane w jego stronę.

- Co się stało? - zapytał zdziwiony.

- Powiedz mi...

- Co mam powiedzieć?

- Kapitan John Vincent czy kapitan Alfred Horn?

- Alfred Horn - odpowiedział zmęczonym głosem.

- Kapitan?

- Kapitan - potwierdził,

- A John Vincent?

- Są pewne powody...

- Ale jak mam to rozumieć?

- Twój generał Walker to zrozumie...

- On oczekiwał kapitana Vincenta i pułkownika Barkera.

- Formalnie. Jestem kapitanem Vincentem. Jeżeli nie jestem tym człowiekiem, o którego chodzi generałowi, to niech to wszystko diabli wezmą!

Milczała.

- Pani ruch, poruczniku.

Włączyła silnik.

- Teraz potrzebny panu sen - powiedziała. - Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Zaparkowała jeepa na drodze przy małym budyneczku. Widać było blask światła, przesączający się przez szczeliny w roletach, przesłaniających okno na parterze. Horn szedł za nią długą, ogrodową ścieżką, porośniętą od dawna nie strzyżoną trawą. Wreszcie stanęli przed ciężkimi drzwiami. Przystanęła, by je otworzyć i weszli do ciemnego hallu...

- Hej! - przywitał ich niski głos, dobiegający z pokoju obok.

Drzwi otworzyły się i Horn stanął przed niesamowicie wysoką postacią, śmiesznie pochylającą głowę, by nie uderzyć nią w futrynę. Uśmiechnął się serdecznie, ukazując nieskazitelnie białe zęby.

- Ralph! - Kay podeszła do nich. - To John Vincent, jeden z tych oficerów, na których czekał generał Walker. Powiedziałam, że może przespać się u nas, zanim jutro wymyślimy, co z nim zrobić.

- No pewnie! - Ralph wyciągnął do Horna potężną dłoń. - To dobry pomysł. Ralph Hampton.

Horn dostrzegł jego ciemnoniebieskie spodnie i oznaki US Navy na błękitnej koszuli.

- Kuchnia jest sterówką na tym statku, kapitanie. - Ralph śmiesznym gestem wskazał na dom. - Zacznijmy od niej. Tutaj, proszę...

Pochylił się znów przed drzwiami. Horn, przepuścił Kay przed sobą, wszedł do małej kuchni; zauważył, jak uśmiechnęła się wesoło na słowa wielkoluda. Ralph wskazał im krzesła przy niewielkim stoliku pośrodku kuchni.

- Szkocja staje się przez nas powoli Ameryką.

Nalał wszystkim po szklaneczce whisky.

- To zresztą tylko początek, kapitanie - powiedział. - Gdy Ameryka przystąpi do wojny, na tej wyspie będzie więcej Teksaszczyków niż w Teksasie.

- Myślisz, że Ameryka... że przystąpimy teraz do wojny.

- No pewnie! Ale kiedy to się stanie, to wiedzą jedynie ważniaki z rządu.

Kay dołała wody do swojej szklanki i upiła trochę.

- Nie mówmy o wojnie, Ralph, daj spokój. Już po północy.

- Okay - mrugnął do Horna. - Wcale nie chcę w tej chwili przystępować do tej wojny, Kay. Ona zupełnie inaczej podchodzi do tego - chciałyby, żeby wszyscy się kochali i żyli w pokoju.

Kay szybko wypila whisky.

- Ralph, nie zatrzymuj kapitana, niech się trochę prześpi.

- No, ja też powinienem - odpowiedział Ralph. - jutro po południu muszę być w Liverpool. Wypływam swoim niszczycielem już wieczorem.

- To już całkowicie pewne? - poderwała się Kay.

- No, cóż, zdarza się...

Ralph uśmiechnął się i lknął whisky, zerkając to na nią, to na Horna.

- Muszę powiedzieć ci do widzenia, złotko - powiedział i wstał. - Mam pociąg z Glasgow o ósmej rano.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Uważaj na siebie, Ralph. Zobaczymy się znów w Waszyngtonie.

Horn z zakłopotaniem przyglądał się tej scenie pożegnania, wreszcie Kay odwróciła się do niego.

- W living-roomie jest sofa, na pewno będzie tam panu wygodnie. Zaraz przyniosę pościel i koce.

- Wspaniale - odparł Horn. - I jeszcze raz dziękuję.

Uśmiechnęła się i zamknęła za sobą drzwi.

- No, to w górę serca, kapitanie! - Ralph Hampton uniósł szklanę.

Horn pomyślał, że ten toast wznosi w ręce dowódcy okrętu, który prawdopodobnie niedługo będzie walczył z jego kolegami, nie jednak nie powiedział i wypił do dna.

- Co niszczyciel US Navy robi w Liverpoolu? - zapytał obojętnie, wyciągając papierosa.

Ralph spojrział tajemniczo i wyszczerzył zęby.

- Właściwie nikt nie powinien o tym wiedzieć, ale diabła tam! - powiedział. - Mamy przejść Atlantyk na pełnych obrotach. Cztery dni na drogę i jeszcze będą nam deptać po piętach brytyjskie i nasze okręty podwodne.

- Nie widzę w tym sensu - powiedział Horn.

- Sens jest w tym, kapitanie, że to samo mają zrobić dwa angielskie liniowce - dwie królowe. Kiedy rozpoczniemy już wojnę, będą transportować wojsko, dwadzieścia tysięcy piechoty w jednym, samotnym rejsie. Według teorii żaden niemiecki U-boot nie zdoła ich dogonić i zaatakować, a jutro zaczniemy sprawdzać tę teorię.

- Życzę panu szczęścia - Horn wstał i uściśnął wielkie łapsko kapitana okrętu. - Nie wie pan, gdzie mam się położyć?

- Tędy proszę...

Ralph wyprowadził go do hallu i otworzył któreś drzwi i włączył, światło, spoglądając uważnie na pokój.

- Raz, dwa i są już koce i pościel. Na pewno dobrze pan tu wypocznie.

Życzyli sobie jeszcze dobrej nocy, aż wreszcie drzwi się zamknęły i Horn został sam. Usiadł na brzegu sofy, po czym zaczął przygotowywać się do snu, rozmyślając o tym wesołym olbrzymie z sąsiedniego pokoju, który tak niefrasobliwie zdradzał tajemnice służbowe. We wszystkich urzędach w Niemczech wisiały plakaty z czarną sylwetką szpiega i pojedynczym, ostrzegawczym PSSST! W Anglii widział podobne, z wielkim uchem przysłuchującym się rozmowie dwóch oficerów i napisem: NIEOSTROŻNA ROZMOWA MOŻE KOSZTOWAĆ ŻYCIE! Zdjął spodnie i powoli rozpiął koszulę. Tak, Ralph Hampton może wpaść kiedyś w nieliczne kłopoty...

Potem zaczął zastanawiać się nad własną sytuacją. Jaka ona właściwie jest? Wiedział, że nawet jeśli nie da się złapać nigdzie przez dwa dni, to przecież teraz mogą go tu łatwo zaskoczyć. Być może nagonka już się zaczęła... Poszukiwano dwóch skoczków. Zakładając nawet, że Hess nic im nie powie, to policja i wojsko będą przeszukiwać okolicę.

Zgasił światło i odsłonił story. I tak ma szczęście, bo może uda mu się odlecieć stąd w poniedziałkową noc. Spoglądał na ciemne wzgórze, wypatrując w napięciu błysków latarek żołnierzy, poszukujących drugiego skoczka, ale nic tam nie było. Księżyc powoli wychodził zza chmur. Opuścił z powrotem zasłonę i położył się na sofie. W obcym mundurze mogli go rozstrzelać jako szpiega... Ciekawe, co mogli by mu zrobić, gdyby znaleźli go rozebranego w łóżku? Uśmiechnął się do siebie i naciągnął koc, ale nie mógł zasnąć. Zwidowały mu się światła na wzgórzach, słyszał ujadanie psów, aż wreszcie, tuż przed wpadnięciem w głęboki sen zobaczył wyraźnie sierżanta w mundurze khaki z wykrzywioną brutalnie twarzą, sięgającego do kabury z triumfem w czerwonych oczach.

*

Tysiąc kilometrów od tego miejsca Karlheinz Pintsch na dworcu Augsburg przyglądał się jak lokomotywa wjeżdża powoli na trzeci peron. Podezpięto właśnie do składu prywatną salonkę Rudolfa Hessa.

Stojący obok hauptmanna Pintscha Bannofmeister Gottman wyprężył się dumnie w swym ciemnozielonym uniformie. Był mile podniecony spotkaniem z tak bliskim współpracownikiem przewodniczącego NSDAP.

Pintsch był w złym humorze. Spotkał się już z Führerem sześć razy i - tak, jak dawniej - bał się jego zmiennych nastrojów i skrzekliwego głosu. Nie pocieszał się myślą o braterstwie Hitlera z Hessem, bo znał historię sprzed poprzedniej wojny, kiedy to przyszły wódz Rzeszy żył w Wiedniu. Mieszkał wtedy w hotelu robotniczym i malował akwarele sławnych budynków miasta. Akwarele te sprzedawał później jego jedyny przyjaciel w tamtych czasach, Reinhold Hanisch. Ale Adolf Hitler dowiedział się - nie wiadomo nawet, skąd - że jeden z obrazków Hanisch sprzedał za więcej, niż mu później oddał. Sprawa trafiła do sądu, chodziło o niecałe dziesięć dolarów, Hanisch spędził kilka dni w więzieniu, ale niczego mu nie udowodniono. Nigdy jednakże nie przestał czuć się przyjacielem Hitlera. Kiedy ten po wielu latach stał się wodzem olbrzymiej potęgi, przypomniał sobie o Reinholdzie Hanischu. Czterech morderców z Gestapo załatwiło sprawę szybko i skutecznie, a Reinhold Hanisch zniknął z kart historii, zamęczony w kazamatach wiedeńskiego Prinz Clausgasse.

Pintsch spieszył się - wiedział, że Führer nie będzie na niego czekał. Gdy pociąg ruszył już do Obersalzberg, podrzemał trochę, a potem poszedł do wagonu restauracyjnego by zjeść śniadanie. Przypomniał sobie wtedy pewne zdarzenie, kiedy to w tym samym wagonie jadł obiad ze zwycięskimi generałami kampanii francuskiej. Był tam wtedy Himmler i Reinhard Heydrich, jego zastępca i prawa ręka. Po obiedzie rozmawiał z Hessem w salonce. Szef powiedział wtedy: „Jeśli kiedykolwiek będziesz miał kłopoty z SS, Pintsch /Rudolf Hess nie znosił się wprost z Himmlerem i Heydrichem/, to powiem ci, co wtedy masz zrobić. Ta informacja jest tak tajna, że może tak samo łatwo zabić cię, jak i uratować - zależy to tylko od ciebie. Reinhard Heydrich Obergruppenführer SS, ma matkę Żydówkę. Wystarczy, że mu przekażesz jej imię Sarah wraz z jego inicjałami. Himmler wie o tym, Hitler jeszcze nie...”

Pintsch, samotny w pustej salonce Stellvertreter, zastanawiał się nad tą informacją. Dlaczego jego szef, Brat Fuhrera, Brot herr - Brat Krwi - przekazał mu tę informację? W każdym razie niedługo może być mu potrzebna...

4

Niedziela, jedenasty maja, godzina ósma czterdzieści. Alfred Horn powoli budził się z głębokiego, pełnego majaków snu. Gdy umysł zaczął mu już pracować, zerwał się w przerażeniu i rozejrzał dokoła, szukając wymierzonych luf, jednakże był sam w salonie małej willi.

Był w Anglii! Opadł na poduszkę. Ostatnią noc pamiętał tylko w połowie. Piękna pani porucznik, przyjemny, stary niemiecki Żyd, Mr Frank - jak on się nazywał?... Powrót do małego domku w ogrodzie... i potem jeszcze Ralph Haraoton, nic więcej. Cała reszta wyparowała podczas snu.

Nasłuchiwał uważnie - wewnątrz domu nie było żadnego ruchu. Ralph pewnie dawno już wyszedł. A Kay Hampton? Zaczął się ubierać.

Podszedł do okna. Był jasny, spokojny, majowy poranek, na jasnym, błękitnym niebie ocieźtale przesuwwały się białe obłoczki. Grupa ludzi, przeważnie w starszym wieku, szła drogą, podążając w kierunku małego kościółka, zbudowanego z szarych, kamiennych bloków. Było około dziewiętej. Chyba zaraz miała zacząć się msza, ale dzwony w smukłej wieżycyce wisiały nieruchomo. Przypomniał sobie teraz przeczytaną gdzieś notatkę, że miały odezwać się dopiero na sygnał o inwazji.

Jakiś ruch na polu przyciągnął jego wzrok - spostrzegł jeźdźca na koniu cwałującym wzdłuż linii skalnego muru. Mógł zobaczyć jak amazonka - bo była to Kay - zjeżdża w dół wzgórza i podrywa konia do pięknego skoku ponad murem. Kiedy zniknęła za nim, podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Stał, patrząc w stronę linii drzew oddzielających następną willę i na drogę, po której nadjeżdżała Kay, jadąc teraz stępa.

- Widzę, że pani świetnie jeździ, poruczniku! - przywitał się.

Miała na sobie długie, skórzane buty, w które wpuściła nogawki mocnych spodni oraz czerwony sweter, pogrubiający nieznacznie jej figurę, blond włosy opadały luźne, podkreślając regularne rysy twarzy.

- Troszeczkę - odpowiedziała. - Spał pan dobrze?

- Jakbym się upił. Po przebudzeniu nie wiedziałem, gdzie jestem.

Posłała mu krótki uśmiech i, podprowadziwszy konia w głąb ogrodu, przywiązała go do drzewa.

- Skąd pan pochodzi? - zapytała, ściągając długie buty.

- Z Kalifornii, z Long Beach.

Jego matka i ciotka mieszkaly tam przez blisko dwadzieścia lat. On sam był tam przez sześć tygodni w 1932 roku, gdy w Los Angeles odbywały się Igrzyska Olimpijskie.

- Był pan tam w trzydziestym ósmym lub dziewiątym?

- Od czasu do czasu - powiedział ostrożnie.

Roześmiała się.

- Właściwie to jesteśmy sąsiadami. Mieszkałam niedaleko Redondo Beach. Pływał pan kiedyś na surfingu?

- Oczywiście.

- A co sądzi pan o Catalinie?

Wzruszył ramionami czując, że rozmowa zaczyna schodzić na niebezpieczne tory. Był kiedyś w Catalinie, ale zaraz na początku wycieczki spotkał pewnego Niemca. Byli tak daleko od domu, że poczuli się starymi kumplami już po pięciu minutach. W łodzi, którą płynęło całe towarzystwo rozmawiali po niemiecku i pili BUDWAISER butelkami, aż reszta młodzieży zaczęła wiwatować krzycząc, że tylko Niemcy potrafią pić piwo. W rezultacie Cataline pamiętał jako czerwono-niebieskie morze i okropny ból głowy. Nie mógł nawet przypomnieć sobie imienia tego przyjaciela. Spacerował teraz z Kay po ogrodzie.

- Jest pan najbardziej nierozmownym chłopakiem, jakiego znam.

- Nie jestem już chłopcem.

Potrząsnęła głową, burząc wodospad swoich włosów.

- Ja mam już trzydzieści pięć lat, dla mnie jest pan młodym chłopcem.

Spacerowali w milczeniu. Nie wiedział, dlaczego go wypytywała. Może spotkali się kiedyś przed wojną w Kalifornii? Nie, to niemożliwe. W 1938 roku był już w Luftwaffe, a w 1939 latał w kampanii w Polsce.

Gdy wrócili do domu poprosił ją, by włączyła radio - chciał wysłuchać porannych wiadomości. Podczas gdy przyrządzała śniadanie, on uważnie wsłuchiwał się w końcówkę programu muzycznego. Coś w nachyleniu głowy, w błysku oku i zaciśniętych wargach mówiło, że czeka na jedną, najważniejszą dla niego wiadomość. Kay wsypała, brązowe ziarenka kawy do młynka i włączyła go do sieci. Pamiętała, jak bardzo wzburzony był generał Walker, gdy w umówionym czasie nie zjawił się w bazie tajemniczy pułkownik Barker i nie mniej tajemniczy kapitan Vincent. Wylatywał przekonany, że ci dwaj już nie przybędą. Ale skąd mieli przybyć? Nie wiedziała nic o Alfredzie Hornie, nie wiedziała nawet, od jakiego czasu jest w Anglii.

Muzyka wreszcie się skończyła i, po sygnale czasu, dystyngowany głos powiedział: „A teraz serwis krajowy BBC, jest właśnie dziewiąta rano, sobota jedenastego maja, czyta Alvar Liddel...”

Horn pochylił się do przodu. Najpierw mówiono o nocnym nalocie na Londyn, jednym z najcięższych w ostatnich tygodniach, potem były wiadomości z różnych frontów; walki w Grecji, oblężenie Tobruku. Horn słuchał uważnie, czekając na wiadomości o Hessie, ale spiker mówił jeszcze o wydarzeniach w kraju, o stonce ziemniaczanej we wschodniej Anglii i zakończył ostrzeżeniem dzieci przed bombkami motylkowymi. Nie było nic na temat wydarzenia, które na pewno miało pierwszorzędą wagę. Wstał i wyłączył radio.

- Co to są bombki motylkowe?

Kay nalewała właśnie kawę.

- Wszędzie w Wielkiej Brytanii - w szkołach, na przystankach, w autobusach, dosłownie wszędzie - wywieszają plakaty, które ostrzegają przed nimi. To są takie małe, zrzucane z samolotów miny. Mają wygląd motyla i jeżeli nieostrożne dziecko zacznie się tym bawić, może urwać ręce. BBC po każdym nalocie ponawia te ostrzeżenia.

Spojrzała na niego - potrząsał w milczeniu głową.

- O co chodzi? - zapytała.

- Nigdy nie słyszałem, żeby Luftwaffe zrzucała tu takie miny. To zupełnie idiotyczne! - powiedział ostro.

- Dlaczego tak sądzisz? - postawiła na stoliku przed nim przygotowane śniadanie.

- No, wiesz! Tylko idioci zajmowaliby miejsce w bombowcach na takie zabawki, gdy potrzebne są bomby na obiekty wojskowe!

- Prawda - usiadła naprzeciw niego.

- Nie sądzisz, że te bombki to tylko wymysł brytyjskiej propagandy?

Nie chciała klócić się z tym dziwnym, zagniewanym teraz, człowiekiem.

- Jeśli tak sądzisz... Może masz rację, kto to może wiedzieć?

Zorientował się, że nieco przesadził, broniąc swej ojczystej formacji.

- Przepraszam, ale mam złe mniemanie o angielskiej propagandzie.

Zaczęli powoli jeść. Horn, zatopiony w myślach, jeszcze raz powrócił do poprzedniego tematu.

- W czasie poprzedniej wojny też pletli duby smalone na temat armii niemieckiej.

- Niektóre wojny to nie propaganda...

- Ale to duża część każdej wojny - uciął krótko.

- Nie w Hiszpanii. W czasie Wojny Domowej nie było czasu na propagandę.

Popatrzył jej w oczy.

- Byłaś tam?

- Kiedy w 1936 roku rozpoczęła się tamta wojna, wstąpiłam do Amerykańskiej Służby Polowej.

- Oczywiście po stronie antyfrankistów?

- Oczywiście - potwierdziła i milczała chwilę. - I nigdy nie widziałam, by było inaczej niż podawali w gazetach. To prawda, że dużo Niemców było po naszej stronie, szczególnie w brygadach komunistycznych, ale widziałam też jeńców, odbitych z obozu Legionu Condor. Wszyscy wyglądali tak samo - Hiszpanie, Francuzi czy Amerykanie...

- To z powodu Hiszpanii wstąpiłaś do armii?

- Nie... - zamilkła na chwilę. - Nie, to było wcześniej.

- Dlaczego zdecydowałaś się założyć mundur?

Potrząsnęła głową.

- To długa historia, kapitanie...

Przysunęła ku niemu dzbanek z kawą.

- Muszę odprowadzić konia - powiedziała. - Papierosy są w kredensie, znajdzie się tam też trochę whisky, jeśli bodziesz miał ochotę. A poza tym, to wspaniała okolica spacerowa.

- Długo cię nie będzie?

- Może kilka godzin... Muszę być po południu na lotnisku, ale przyjdę wcześniej zrobić nam coś na obiad.

- Wspaniale! - wstał, gdy skierowała się w stronę drzwi. - I, poruczniku... bardzo dziękuję za tę serdeczną opiekę.

- Takie były rozkazy generała Walkera - powiedziała z uśmiechem. - No i, oczywiście, sprawia mi to przyjemność.

Patrzył, jak odchodziła ogrodową ścieżką - szczupła i zgrabna, piękna - gdy wskakiwała na konia, była intrygującą kombinacją dziewczyny i dojrzałej kobiety. Kiedy wyprowadziła konia na drogę i popędziła w stronę placu w centrum wioski, odwrócił się od okna. Powinien być bardziej ostrożny. Znał siebie dobrze - gdyby spodobał się tej kobiecie, na pewno zaczęłyby się flirty, a teraz nie był czas na flirty.

Wypił do końca kawę - dobrą, amerykańską kawę z gatunku, którego dawno nie widział w Niemczech. Jeśli ta wojna przedłuży się bardziej, to nie tylko kawa zniknie ze sklepów. Co wtedy powiedział Hess? Że skończy się w ciągu miesiąca? Hess... Czy to możliwe, by Brytyjczycy nie rozpoznali swego jeńca? Nie, to niemożliwe... Pewnie z jakichś przyczyn nie podają tego do publicznej wiadomości, ale w takim razie muszą wiedzieć, że z Messerschmitta wyskoczyło dwóch ludzi i powinni szukać drugiego skoczka. Powinien stąd jak najszybciej zniknąć...

*

Dla Horna było zupełnie logiczne, że całe Szkockie Dowództwo Armii Brytyjskiej szuka go niecierpliwie. Nie mógł wiedzieć, że do tej chwili od momentu schwytania nikt jeszcze nie rozpoznał Stellvertretera w małym, wiejskim, obskurnym szpitaliku, gdzie został przewieziony. Nikt nawet nie widział naraz dwóch spadochroniarzy i dlatego żaden ze szkockich farmerów nie zameldował o wylądowaniu dwóch ludzi. W tej chwili Horn był zupełnie bezpieczny.

*

W Berchtesgaden Bahnhof Pintsch wysiadł z pociągu i zadzwonił do Alfreda Bormanna, jednego z adiutantów Hitlera i brata zastępcy Hessa na stanowisku przewodniczącego partii, Martina Bormanna. Przez telefon wyjaśnił, że wiezie pilny list od Stellvertretera dla Fuhrera. Bormann pocieszył go szansą spotkania Fuhrera przed kolacją, teraz bowiem Hitler spotkał się z architektem Speerem i dyskutowali o możliwościach przebudowy Berlina w gabinecie Fuhrera. Bormann proponował, by Pintsch przybył przed kolacją.

W 1941 roku góra Oberzalzberg była niedostępna dla nikogo z tych, którzy kilka lat temu podziwiali z jej szczytu krajobraz Harzu. Wybudowano tam mały, odizolowany bunkier przy domu, który kiedyś wspólnie z kolegami kupił Hitler. Teraz dom został powiększony i przemianowany na BURGHOFF, „Skalny Dwór”. Teren na sześć kilometrów dookoła domu ogrodzono drutami kolczastymi, wybudowano koszary SS przy głównej drodze, prowadzącej do tej twierdzy, a ścieżki leśne zaminowano. Pintsch przejeżdżał przez podwójne kordony w wielkim Mercedesie, który Bormann wysłał po niego na stację. I teraz adiutant drugiego najważniejszego człowieka w Niemczech drżał na tylnym siedzeniu czarnego wozu.

Alfred Bormann przywitał go w hallu, wyłożonym marmurową posadzką. Było już po jedenastej a Fuhrer, choć skończył już rozmowę z architektem, jeszcze nie schodził. Teraz Pintsch zauważył młodego Speera, czytającego coś w rogu na sofie. Podeszedł natychmiast i, przedstawivszy się, wyjaśnił konieczność widzenia się z Fuhrerem.

Zanim Speer zdążył odpowiedzieć, strażnicy w czarnych mundurach SS wykonali energiczny zwrot w kierunku klatki schodowej. Adolf Hitler, w szarej kurtce i czarnych spodniach schodził powoli ze swych prywatnych apartamentów.

Speer, Pintsch, Bormann i SS-mani stanęli na baczność. Fuhrer podeszedł do Speera i uściśnął mu dłoń, po czym odwrócił się do Pintscha, unosząc ze zdziwieniem brwi.

- Hauptmann Pintsch, Fuhrer.

Twarz Hitlera wypogodziła się.

- Adiutant Hessa, oczywiście. Proszę mi wybaczyć, że nie poznałem.

Zrobił ruch w stronę Speera.

- Mam pilną wiadomość od Herr Stellvertretera - powiedział w przyplwywie desperacji Pintsch.

Hitler skrzywił się. Pintsch po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, jak głupio wygląda Fuhrer z tym dziwnym wąsikiem z pierwszej wojny światowej.

- Herr Speer zgodził się chwilę poczekać, bym mógł przekazać tę wiadomość, mein Fuhrer.

Speer popatrzył na Pintscha ze złośliwym uśmieszkiem, ale nic nie powiedział.

Zimne spojrzenie Hitlera było całkowicie zrozumiałe dla tych, którzy wiedzieli, jak nie lubił, by zmieniano jego rozkład dnia. Zaczął iść powoli w stronę swego gabinetu.

- Chodź, Pintsch.

SS-man otworzył drzwi i Pintsch wszedł za Hitlerem do pokoju. Przez wielkie okno widać było całą dolinę aż poza Untersberg, a przed nim stało wielkie biurko, przy którym Hitler zwykł przyjmować interesantów. Na ścianach nie było nic prócz oficjalnej fotografii, przedstawiającej Furera, pracującego samotnie późno w nocy. Ale teraz, w 1941 roku, energia demonicznego wodza Trzeciej Rzeszy wygasła - jako pięćdziesięciodwulatek był leniwy, krótkie okresy pracy przeplatał obsesyjnymi rozmowami na temat przyszłości. W tej chwili Karlheinz Pintsch z niepokojem oczekiwał na reakcję tego zdziwaczałego człowieka.

Na biurku leżały plany projektu opery w Lintg. Przez moment Hitler stał nad nimi. Kąciki ust miał opuszczone do dołu. Nagle odwrócił się, uśmiechnął i podszedł do okna.

- No, dobrze, Pintsch - powiedział przyjaźnie. - Gdzie teraz jest Stellvertreter? Poza Konferencjami partyjnymi nigdy nie zawiązał do mojego Obersalzbergu...

- Mam list od niego, mein Fuhrer - Pintsch szybko wyjął z kieszeni kopertę.

Hitler kiwnął głową i podszedł znów do rysunków opery. Bez wątplenia następny długi list z analizami politycznej i militarnej sytuacji w Europie. Hess dobrze zrobił, nie przyjeżdżając osobiście - dostałoby mu się. Jednakże Hess był jednym z dwudziestu czy trzydziestu ludzi ze ścisłego kręgu alte Kampfer, Starych Weteranów i Hitler wiedział, że każda wiadomość od niego jest prawdziwa i ważna.

- Niech mi pan powie w skrócie, co jest w tym liście - powiedział, odbierając kopertę i rzucając ją na biurko.

- Sądzę, że ten list musi mein Fuhrer przeczytać osobiście.

Hitler spojrzał na niego uważnie; może jego dziwna intuicja, a może drzenie głosu adiutanta powiedziały mu o powadze tej niecodziennej sprawy.

- Gdzie jest teraz Hess? - zapytał.

- Ostatniej nocy Stellvertreter poleciał do Szkocji - powoli powiedział Pintsch. - W liście znajdują się wyjaśnienia.

Wyraz twarzy Adolfa Hitlera nie zmienił się, jak gdyby Pintsch zameldował o normalnym locie do Berlina. Przez ten jeden, krótki moment Pintsch pomyślał, że Hitler doskonale wie o wszystkim. Patrzył, jak Fuhrer bierze okulary i zakłada je na nos - wyglądał teraz jak austriacki nauczyciel. Hitler rozerwał kopertę i zaczął czytać kiwając od czasu do czasu głową, jakby zgadzał się z autorem listu. Kiedy skończył, zdjął okulary i podniósł wzrok na adiutanta.

- Proszę zostać na kolacji, Pintsch - powiedział. - Niech pan usiądzie przy moim stole, nie razem z innymi adiutantami.

Kiwnął głową, odpowiadając go - Pintsch podziękował i opuścił gabinet. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Adolf Hitler podniósł słuchawkę telefonu.

- Bormanna - powiedział do operatora centrali.

Kiedy usłyszał głos Martina Bormanna, rzucił do mikrofonu:

- Przyjdź zaraz z Goeringiem. Himmler też - potem dodał z pogardą w głosie: - Hess jest w drodze do Ameryki, będzie zabiegał o pokój dla nas.

Odłożył słuchawkę i usiadł za biurkiem. Jego wzrok powędrował wzdłuż rzędu fotografii, podłożonych pod szklany blat. Hitler i Goering po swojej pierwszej wygranej, puczu w Munich... Hitler i ciotka Geli Raubal, uciekają w wozie, prowadzonym przez jej kochanka od starego, brodatego impotenty, wuja... Hitler i jego sofer Emil, który często jadał sam na sam z Hitlerem i znał wiele sekretów, zanim dowiedziała się o nich większość ministrów... Na ostatniej fotografii widniał szeroko uśmiechnięty Hess przed marmurowym popiersiem swego Fuhrera. Odręczny napis na fotografii: DLA WILKA OD R.H. Hess dał mu tę fotografię tej nocy, gdy odnieśli zwycięstwo w wyborach, kiedy Narodowi Socjaliści zaczęli budować przyszłość Niemiec. Dla Wilka... jego stary pseudonim z czasów walki...

Tego samego ranka w Dowództwie Szkockich Sił Powietrznych w Stirling pułkownik Dawid Bruce czytał raport grupy rzeczoznawców z miejsca rozbicia Me-110. Jedno skrzydło spłonęło całkowicie, ale rozbity kadłub i drugie skrzydło pozwoliły ustalić, że ów Messerschmitt został specjalnie przystosowany do dalekiej trasy. Inna ważna wiadomość pochodziła z rybackiego kutra, łowiącego przy

Holly Islam Wyłowiono tam aluminiowy zbiornik z pozostałymi siedmiuset litrami benzyny lotniczej. Pułkownik Bruce natychmiast powiadomił o tym Naczelne Dowództwo Lotnictwa Myśliwskiego. Większość sukcesów RAF-u w walce z Luftwaffe brała się z faktu, że Niemcy nie mieli myśliwców eskortujących dalekiego zasięgu. Ten nowy Me-110 mógł być prototypem takich maszyn. Raport został przekazany również do Ministerstwa Lotnictwa w Whitehall.

*

O niecałą milę od Ministerstwa, na Wimple Street, pierwszym piętrze eleganckiego domu z XIX wieku, major Mail Bishop z korpusu kontrwywiadu ocknął się z głębokiego snu na ostry dźwięk dzwonka telefonu. Z potężnym ziewnięciem sięgnął po słuchawkę, nie otwierając oczu.

To była bardzo ciężka noc. Raport Ministerstwa Lotnictwa podawał, że blisko czterysta bombowców atakowało centrum Londynu. Z tego właśnie powodu Bishop całą noc spędził w małym, ciasnym i śmierdzącym schronie pod Oxford Street. Ten sam raport donosił o zniszczeniach na ogólnej powierzchni siedmiuset akrów, półtora razy większej niż podczas Wielkiego Pożaru. Do swojego - na szczęście całego - mieszkania zdołał powrócić dopiero o w pół do jedenastej i momentalnie położył się do łóżka.

A teraz po niecałej godzinie snu wymamrotał swoje nazwisko do mikrofonu. Dziewczęcy głos, jasny i z doskonałą dykcją, zapowiedział połączenie z pułkownikiem Hendersonem. Bishop uniósł się i przetarł zaspane oczy - Henderson był bezpośrednim łącznikiem kontrwywiadu z premierem.

- Bishop - powiedział Henderson. - Niech pan jak najszybciej przyjedzie do Admiralty Arch. Ile czasu panu to zajmie?.

- Nie wiem, jak długo będę musiał czekać na taksówkę... Po wczorajszym piekle większość została zmobilizowana...

- Niech pan będzie tak szybko, jak się da! Będę czekał.

Max Bishop odłożył słuchawkę i wygrzebał się z łóżka. Był czasowo oddelegowany z brygady Strzelców i miał jeszcze mentalność oficera liniowego - jak szybko, to szybko. Ziewnął, włączył czajnik i zaczął się ubierać. Po wypiciu, szklanki mocnej herbaty i przelknięciu kilku herbatników wyszedł z mieszkania.

Admiralty Arch nie było mu zupełnie nieznane. To właśnie tam został zaraz na początku wojny ściągnięty z Francji, gdzie służył w Brytyjskich Siłach Ekspedycyjnych. Jakiś cywil kazał mu napisać kompletny raport z czasów olimpiady w 1936 roku. Bishop poznał w trakcie omawiania raportu tę dziwną mieszalinę cywilów i oficerów. Ale po co wzywano go dziś? Z trudnością przypominał sobie dziś Niemców, których wtedy spotkał, chwile, gdy Hitler był na stadionie, gniew Fuhrera, wywołany zdobyciem przez Jessie Owensa trzech złotych medali... Raport ten był momentem jakiegoś przełomu, ponieważ tego samego dnia został mianowany majorem i przeniesiony do kontrwywiadu. Od tego czasu jego zajęciem stały się badania kierunków przygotowań do inwazji, jednak nie miało to nic wspólnego z jego pobytem na berlińskiej olimpiadzie.

Szczupła WREN-ka w czarnej koszuli i jasnej spódnicy od razu poprowadziła go na piętro gmachu Admiralty. Zignorowawszy jego - bądź co bądź nie najniższą - rangę, wzięła go pod rękę jak dobrego znajomego. Wymienili kilka miłych słów i wreszcie, zapukawszy do wielkich, mahoniowych drzwi przy końcu korytarza, wprowadziła go do wnętrza gabinetu pułkownika.

Henderson, pełny pułkownik z czerwonymi naszywkami na kołnierzu, miał prawie trzydzieści lat, ale wyglądał znacznie starszej. Spojrzał na Bishopa znad stosu papierów.

- Dość długo kazał pan na siebie czekać - odezwał się. - Musi pan wykazywać więcej starań w chwilach takich, jak ta. Kiedy mówię natychmiast, mam na myśli właśnie natychmiast. Chce pan whisky czy kawę?

Bishop wybrał whisky i patrzył, jak pułkownik bierze z półki butelkę i dwa kieliszki.

- Przede wszystkim niech pan przeczyta ten raport - Henderson podał mu pismo z Ministerstwa Lotnictwa.

Bishop szybko przejrzał czterostronicowy dokument, ale nawet po powtórny przeczytaniu nie rozumiał, co może mieć wspólnego z rozbitym w Szkocji jakimś Messerschmittem. Po chwili Henderson napełnił kieliszki i odstawił butelkę z powrotem na półkę; jeden z nich przesunął w kierunku majora.

- Problemem jest to, że nie wiemy, czy powodem jego przylotu był błąd nawigacyjny czy też coś innego... Chcę, aby pojechał pan do Szkocji i wyjaśnił to.

Bishop popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Przecież to robota dla wywiadu RAF-u! Ja mam trudności z odróżnieniem Messerschmitta od Dorniera...

- Ale zna pan pilota tej maszyny. Dziś rano przeglądałem ciekawy raport na temat tego pilota Luftwaffe, a właśnie pan był autorem tego raportu.

- Z olimpiady?

Henderson przytaknął.

- Pilot, którego samolot rozbił się wczoraj pod Eaglesham, to pański rywal z pięcioboju, Alfred Horn.

Pół godziny później Max Bishop siedział na tylnym siedzeniu ciemnozielonego samochodu, jadąc do Northolt, małego, wojskowego lotniska kilka mil za Londynem. Po drodze widział zniszczenia, spowodowane ostatnim bombardowaniem. Część bomb nie

wybuchła, więc wyłączono z ruchu całe kwartały miasta. Trzeba było jechać okrężną drogą przez Chelsea Embankment, gdzie płonęło jeszcze wiele budynków, ale tuż za Shepherd Baen ruch był normalny i po pół godzinie przejeżdżał koło posterunku MP w Northolt.

Czarny Wellington stał na pasie z włączonymi silnikami. Bishop, klnąc na kurz wzniesiony potężnymi silnikami, przesiadł się prawie w biegu z samochodu do samolotu. Kwadrans potem trząsał się we wnętrzu Wellingtona na trasie w kierunku Edynburga.

Wierząc się na twardej ławce w zimnej kabinie Bishop przypomniał sobie to lato w Berlinie, pięć lat temu, gdy spotkał się z Alfredem Hornem. Poznał wtedy wielu Niemców, uczestników olimpiady, w tym także i pięcioboju. Byli zwykle nietowarzyscy, zadufani, z manią wielkości. Wielu z nich zostało wybranych specjalnie spośród szeregów SS poprzez Heinricha Himmlera. Alfred Horn był inny. Po wypadku na trasie pięciokilometrowego biegu terenowego już razem oglądali resztę igrzysk. Zawiązała się między nimi silna nić przyjaźni - jeden kadet Luftwaffe, drugi na ostatnim roku szkoły oficerskiej w Sandhurst, obaj niezajmujący się polityką, całkowicie pochłonięci sportem, obaj młodzi, nie myślący o zabijaniu, lecz o dziewczynach.

Kiedy wypoczywali po zakończeniu igrzysk na Pomorzu, u ojca Horna, Bishop poznał siostrę Alfreda, Ingrid i poważnie zaczął myśleć o małżeństwie. Oczywiście, ani dystyngowany junkierski generał, ojciec Horna, ani jego matka-głobtroterka nie znali tych zamierzeń, jednakże Horn, który sam podkochiwał się w pięknej pannie z sąsiedztwa, z łatwością spostrzegł, jak sprawy mają się pomiędzy jego siostrą a przyjacielem.

Grzmot silników Wellingtona stanowił tło rozmyślań na temat niemieckiej dziewczyny, o jej wspaniałym uśmiechu, na widok którego omal nie skakał z radości. Cały następny rok czekał na drugie wakacje w Niemczech, aż nadszedł ten list od Alfreda: jego siostra Ingrid zginęła w wypadku samochodowym na nowej autostradzie berlińskiej. Oczywiście, zaproszenie do pomorskiego zamku było nadal aktualne.

Napisał natychmiast do ojca Horna i wysłał też list do samego Alfreda, ale już nigdy nie pojechał do Niemiec. Na dodatek przez cały rok 1939 narastała tarcia pomiędzy Anglią a Niemcami i wreszcie całkowicie stracił kontakt z przyjacielem w momencie wybuchu wrześniowego kataklizmu i nie miał żadnej nadziei na ponowne spotkanie. A teraz kapitan Alfred Horn jest w Szkocji... Pomyłka nawigacyjna?... Bishop potrząsnął głową. Ucieczka z faszystowskich Niemiec? Tak, to bardziej prawdopodobne.

Miał jeszcze w pamięci kilka linijek ostatniego listu Horna, w którym ten w skrócie omawiał sytuację w swym kraju: „...przede wszystkim, Max, staraj się nie myśleć o nas źle, czytając o antyżydowskich demonstracjach. Nie można osądzać całego narodu, porównując go z tymi bandytami.” A więc „bandyci”... Czy Horn miał na myśli tylko rozbijające okna oddziały Sturm Abteilung, czy też ich przywódców?

Gdy Wellington lądował w Prestwick Max Bishop był pewien, że uzyska odpowiedź na to pytanie w ciągu godziny. Z uwagi na puste drogi przejechał wojskowym wozem te dwadzieścia pięć mil do szpitala Craige w ciągu mniej niż pół godziny. Siedząc na tylnym siedzeniu Bishop nie dostrzegł nigdzie wartowników, którzy powinni przecież strzec niemieckiego pilota, ale - gdy ustawiali już samochód na parking - dojrzał jakiś ruch przy głównym wejściu i mignęła mu zieleń wojskowego płaszcza.

Młody porucznik podniósł się zza biurka, gdy major Bishop wszedł do wnętrza szpitala. Na wiszącej za nim czapce widniała złota odznaka Pułku Królewskiego. Zasalutował, a dwaj sierżanci ze stenami przewieszonymi przez piersi wyprężyli się. Bishop podał przez biurko swoje dokumenty.

- Major Bishop - powiedział. - Londyn powinien zawiadomić was o moim przylocie.

- Zgadza się, sir - porucznik spojrzął na trzymane w dłoni papiery... - jeśli byłby pan łaskaw podać jeszcze nazwisko kierującego tą akcją?...

- Henderson, pułkownik Henderson.

Porucznik zaprowadził go do drzwi strzeżonych przez kolejnych dwóch sierżantów.

- Chciałby pan zostać z nim sam, sir?

- Bardzo proszę.

Bishop położył już rękę na klamce; czuł, że czyjakolwiek obecność tylko przeszkodziłaby temu spotkaniu. Kiedy drzwi otworzyły się, zobaczył proste, szpitalne łóżko oraz śpiącą postać, okrytą kocem. Zamknął za sobą drzwi i zrobił dwa kroki. Człowiek w łóżku ocknął się i odwrócił na plecy, patrząc pytająco na Bishopa.

Przez pięć sekund Max Bishop patrzył mu prosto w twarz, potem odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju.

*

Na biurku sekretarki w Admiralty Arch rozdzwonił się telefon. Przerwawszy rozmowę z młodym oficerem marynarki, który czekał na pułkownika Hendersona, dziewczyna podeszła do stołu i schyliła się po słuchawkę. Być może w tym momencie spod spódnicy mignęły nie tylko zgrabne nogi, ale ona nie miała nic przeciwko temu.

- Biuro pułkownika Hendersona - oznajmiła.

Po drugiej stronie niecierpliwiał się Bishop.

- Daj mi pułkownika - powiedział szybko. - Tu major Max Bishop.

Uśmiechnęła się; zapamiętała tego przystojnego, młodego majora z kontrwywiadu, zamienili kilka miłych słów.

- Niestety, nie ma go teraz. Czy mam coś przekazać?

- Nie, nie. Muszę natychmiast z nim mówić, to ważne...

- Jest na konferencji u generała Downinga. Może pan zadzwoni za pół godziny?

- Jak się nazywasz? - zapytał łagodnie.

- Elizabeth Dundas.

- Okay, Elizabeth, wejdź do generała i wyprowadź pułkownika pod jakimkolwiek pretekstem.

- Ale ja się boję tam wchodzić...

- Idź, Elizabeth, idź zaraz.

Wahała się jeszcze.

- To jest rozkaz! - głos po tamtej stronie stwardniał.

- Yes, sir!

Odłożyła słuchawkę na stół, zła na siebie - starała się zawsze rozmawiać nieformalnie z młodymi, przystojnymi oficerami.

Generał znał sprawę Messerschmitta w Szkocji i nie był urażony nagłym przerwaniem rozmowy. Po chwili Henderson i Elizabeth Dundas biegli korytarzem.

- Był bardzo zdenerwowany, sir...

- Może Horn zdecydował się na współpracę?...

Henderson spojrzał przelotnie na czekającego na nich oficera marynarki i wszedł do gabinetu.

- Przełącz go szybko na mnie - krzyknął przez drzwi do Elizabeth.

Podniósł słuchawkę.

- Bishop? Tu Henderson!

Elizabeth zamknęła drzwi. Kiedy podchodziła do swojego biurka, z odłożonej słuchawki usłyszała podniecony głos Hendersona.

- To nie Horn? Kto?! Rudolf Hess?! Bishop, czy pan napewno jest przy zdrowych zmysłach?!

Elizabeth Dundas odłożyła słuchawkę i popatrzyła przez szybę na swojego szefa: trzymał kurczowo słuchawkę i mówił coś z niedowierzaniem, wyraźnie widocznym na twarzy.

W szpitalu w Craigie Bisnop kontynuował:

- W Berlinie, w 1936 roku, Hess przyszedł na stadion razem z Hitlerem. Zostałem mu przedstawiony, stałem z nim twarzą w twarz! Ten tutaj ma ten sam wzrost, wiek, wygląd i twarz jak Rudolf Hess! Czy trzeba czegoś więcej?

- Czy coś powiedział?

- Dalej upiera się, że jest Alfredem Hornem. Pójdę jeszcze do niego i porozmawiam z nim...

- Churchill musi być natychmiast o tym powiadomiony - powiedział Henderson. - Skontaktuję się z panem później.

Elizabeth Dundas zobaczyła, jak jej szef odkłada powoli słuchawkę. Po chwili otworzył drzwi i powiedział:

- Nic już nie wiem, Elizabeth, ale jeżeli Bishop ma rację to muszę się teraz napić...

*

W czasie kolacji Bormann siedział jak zwykle po lewej stronie Hitlera. Ewa Braun siedziała po jego prawej stronie i rozmawiała w tej chwili z Albertem Speerem, siedzącym obok niej.

Hitler jadł dziś mniej niż zwykle; co chwila odwracał głowę słuchając, co mówi Bormann. Kiedy słuchał, potakiwał czasami ruchem głowy, jego ciężki wzrok ciągle spoczywał na adiutancie Hessa..

Dla Pintscha była to najgorsza kolacja w życiu. Zaniepokojony zachowaniem Hitlera, zmuszał się do grzecznej i rzeczowej dyskusji z generałem Udetem z Luftwaffe. Prawie nic nie jadł, ale pił dużo wina. W pewnej chwili Hitler zwrócił się do Udet:

- Czy Messerschmitt jeden-dziesięć, lecąc samotnie z Bawarii, mógłby dotrzeć do Szkocji?

- To prawie niemożliwe, mein Fuhrer. Po pierwsze, musiałyby mieć dodatkowe zbiorniki na paliwo, by w ogóle przelecieć nad Morzem Północnym, a po drugie, brytyjska obrona przeciwlotnicza dostrzegłaby go na radarze. Czy mogę zapytać, kiedy taki lot się odbędzie lub może już miał miejsce?

- Ostatniej nocy.

- Wczoraj były pewne czynniki, ułatwiające taką eskapadę. Przeprowadziliśmy tej nocy najcięższe w ostatnim okresie czasu bombardowanie Londynu, pięćset bombowców. Dywizyjny Anglików zaangażowane były na południu... - zamilkł, a po krótkim namyśle kontynuował: - Należy wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz...

Hitler spojrzał na niego pytająco.

- Tylko bardzo doświadczony nawigator potrafiłby przeprowadzić samolot w nocy po takiej trasie: wiał wtedy silny, przeciwny wiatr i zużycie paliwa miało niebagatelne znaczenie.

Hitler przytaknął. Przesunął wzrokiem po twarzach siedzących i zatrzymał spojrzenie na Pintschu - nigdy nawet nie pomyślał, że Stellvertreter polecał sam.

Nagle uchyliły się drzwi i wszyscy usłyszeli rubaszny głos Goeringa; po chwili otworzyły się na całą szerokość i dwieście siedemdziesiąt funtów żywej wagi wkroczyło dumnie do jadalni. Hitler przeprosił Ewę Braun i Speera, dał ręką znak Bormannowi i wstał od stołu. Martin Bormann wstał natychmiast także i patrzył, jak Fuhrer i Goering wychodzą z jadalni i wchodzą do gabinetu. Ruchem głowy przywołał do siebie Pintscha.

- Fuhrer ma jedno pytanie - powiedział, gdy adiutant Hassa stanął przed nim. - Czy Stellvertreter polecał sam?

- Nie, Herr Reichsleiter. Jako nawigator polecał z nim Hauptmann Alfred Horn.

Bormann bez słowa skierował się ku schodom, na które chwilę wcześniej weszli Hitler i Goering; gdy Pintsch zamykał za nim drzwi, dostrzegł wchodzącą do budynku grupę ludzi w mundurach SS. Na czele szło dwóch wyróżniających się dygnitarzy. Niższy to Heinrich Himmler - postać, przed którą drżały całe Niemcy, ale ten drugi - szczupły, elegancki mężczyzna w idealnie skrojonym mundurze - był bardziej, niebezpieczny: Reinhard Heydrich, pierwszy mózg Gestapo. Szczupły blondyn poruszał się z budzącą lek elegancją szpadzisty. Jego wysoki śmiech dotarł do uszu Pintscha i ten spostrzegł, że drżą mu ręce.

Pintsch powrócił do towarzystwa przy stole. Wszystkie oczy zwrócone były na niego i we wszystkich spojrzeniach widział ostrzeżenie; tylko Speer i Ewa Braun posłali w jego kierunku pocieszające uśmiechy. Udet mruknął coś cicho i kontynuował jedzenie.

Kilka sekund później dwóch SS-manów stanęło przy krześle Pintscha. Wstał, kiwnął przepaszająco głową w stronę Ewy Braun i poszedł za nimi do drzwi. W hallu jeden z nich położył mu rękę na ramieniu.

- Przykro mi, Pintsch, ale mamy rozkaz cię aresztować...

6

W gabinecie Hitlera mówił właśnie Goering; według jego opinii nawet jeśli Hess dotarł do Ameryki, to i tak Roosevelt jest gorszy od Churchilla i to przekreśla wszystkie pokojowe plany.

Bormann, Himmler i Heydrich milczeli podczas przemowy marszałka Rzeszy, Hitler przechadzał się nerwowo pomiędzy oknem a biurkiem i uważnie słuchał. Kiedy Goering skończył swoje wywody zapytał go, co - jego zdaniem - mają odpowiedzieć na oczywistą nawet w takim przypadku propagandę wroga. Hess też to dostrzegał i w liście do Hitlera napisał: JEŚLI MOHA MISJA SIE NIE POWIEDZIE, ZAWSZE BĘDZIESZ MÓGL OZNAJMIĆ, ŻE ZWARIOWALEM...

- Stellvertreter sam doskonale odpowiedział na to pytanie - odpowiedział Goering.

Zaproponował, by natychmiast opublikować takie oświadczenie, zanim Brytyjczycy zaczną mówić o zdradzie zastępcy Fuhrera. Hitler był za zwłoką - istniała szansa, że Hess spadł do morza.

W tym momencie zadzwonił telefon. Bormann podniósł się i odebrał go; przez chwilę stał i słuchał, wreszcie kiwnął głową w stronę Heydricha.

- Za pańskim przyzwoleniem, mein Fuhrer - powiedział Heydrich, podchodząc do aparatu. - Być może będę mógł za moment powiedzieć coś na ten temat.

Podniósł słuchawkę.

- Heydrich..

Po chwili przytaknął, jakby zgadzając się z rozmówcą i odłożył słuchawkę na widelki. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- Dowiedziałem się właśnie... - spojrzał na Hitlera, a potem rozejrzał się po pokoju. - Stellvertreter przed odlotem z Augsburga odwiedził Kwaterę Główną na Eendlerstrasse i wziął ze Sztabu Generalnego wszystkie plany naszych najbliższych operacji.

Hitler odwrócił się gwałtownie do okna, pozostali milczeli; słychać było tylko cichy szept Fuhrera:

- Hess... Hess...

Tylko Heydrich dostrzegł, że Fuhrer nie patrzy już na zamglony Untersberg, lecz na fotografię z inskrypcją z owych czasów, gdy ci dwaj ludzie pisali wspólnie słynną obecnie „Mein Kampf”: DLA WILKA OD R.H.

Hitler zaplótł ręce na plecach.

- Obergruppenführer Heydrich - powiedział. - Daję panu w tej chwili pełne pełnomocnictwo w tej sprawie. Odpowiada pan tylko przede mną. Wie pan dobrze, co należy zrobić...

Goering parsknął krótkim śmiechem, Himmler zerknął na Heydricha, bawiąc się długopisem, a Bormann pokiwał głową. Nikt się nie sprzeciwił. Głos Heydricha zabrzmiał jak ostry zgrzyt metalu na szkle:

- Oczywiście, mein Fuhrer!

Horn był zaskoczony - słuchał już kilku stacji niemieckich, ale nigdzie nie mówiono o locie Hessa; również radio BBC w specjalnym programie dla krajów okupowanych nie podawało nic na ten temat.

Był sam w domu i krążył niespokojnie od okna do okna, czując ciągle niepokój i strach, ale nigdzie nie dostrzegł tworzącego się dookoła wioski kordonu ani nie widział wojskowych oddziałów, schodzących ze wzgórz. Wreszcie wyszedł przed dom, przeszedł przez park i zerknął przez furtkę na ulicę: widać było tylko kamienny mur posiadłości po przeciwległej stronie. Wspiął się zatem na murek obok furtki i rozejrzał po okolicy: w oddali widać było grzbiety wzgórz, pokryte niespotykanego koloru, niebiesko-zieloną trawą. Droga w zasięgu wzroku była pusta. Słońce przygrzewało mocno, czuł ciepło, promieniujące z kamieni. Zeskoczył na ziemię i przeszedł na przeciwległą stronę parku, gdzie znów wspiął się na mur.

- Hej, ty! - rozległ się surowy okrzyk.

W pobliżu kępy drzew stał samochód ze znakami brytyjskiej żandarmerii wojskowej. Horn w pierwszym odruchu zeskoczył na ziemię i zaczął uciekać, ale gdy usłyszał warkot zapalnego silnika, zatrzymał się; napięcie i strach spowodowały, że z trudem uspokoił oddech.

Jeep jechał już ku niemu przez łąkę. Kiedy stanął, wyskoczyło z niego dwóch ludzi w hełmach i mundurach MP; byli w stopniach sierżantów i sięgali właśnie po pistolety. W tym samym momencie stanęli i Horn dostrzegł ze zdumieniem, że mu salutują.

- Przepraszam, sir! - powiedział jeden z nich. - Nie dostrzeżliśmy z daleka, że jest pan oficerem. Sądziliśmy, że ktoś okrada ten domek...

Horn opanował się już zupełnie.

- Wszystko w porządku, sierżancie.

- Pan na pewno jest jednym z Amerykanów z tej willi, sir?

Horn przytaknął.

- Chciałem połączyć trochę po wiosce, taki piękny dzień...

- Radziłbym obejrzeć nasz kościół, to wspaniały zabytek.

Zaczęli wsiadać z powrotem do jeepa.

- Na pewno obejrzę - odpowiedział Horn.

- Jeszcze raz przepraszamy za pomyłkę, sir - zsalutowali.

Horn odetchnął; zdobył się na powiedzenie niedbałym tonem:

- Och, rozumiem! Szukacie niemieckich skoczków! Słyszałem, że wczorajszej nocy gdzieś w okolicy rozbił się niemiecki samolot...

Sierżant przy kierownicy skinął głową.

- Kilka mil stąd, sir, ale to nie to - tamten szkop złamał nogę podczas lądowania i zaraz znaleźli go okoliczni farmerzy - włączył silnik i dodał, zwracając: - mam nadzieję, że nie popsuliśmy panu spaceru, sir!

Horn jeszcze przez chwilę patrzył, jak odjeżdżają, po czym ruszył wolnym krokiem w stronę kościoła.

Kiedy wrócił do willi, zastał tam już Kay, czeszącą włosy.

- Więc jednak zdecydowałeś się na spacer? - powiedziała gdy wchodził do środka.

- Tak. To ładna, miła wieś...

- Z proszku będzie, dobrze? Generał wykończył wszystkie jajka, zanim wyjechał! - zawołała z kuchni.

Z proszku? Co to, u diabła, może znaczyć?

- No pewnie, że tak! - odpowiedział na wszelki wypadek.

Wszedł do kuchni i, stojąc w otwartych drzwiach patrzył jak ta szczupła blondynka z kształtnym ciałem pod mundurem krząta się przy piecu. Przewróciła właśnie na blasze dwa omlety i spojrzała na niego. Cofnął się nieco. Czuł narastającą potrzebę mówienia - o tym, kim jest, jak tutaj dotarł. Pewnie teraz koledzy z Berlikum, czterysta mil stąd, startowali do boju z RAF-em... jednakże ten nastrój szybko mu przeszedł. Kiedy spoglądał w jej szare oczy i patrzył na czerwoną linię ust wiedział, że taka rozmowa musi jeszcze poczekać. Może, gdy będzie już bezpieczny, w neutralnej Ameryce.

Wskazała mu krzesło i usiadła naprzeciwko.

- Przepraszam - powiedział po chwili jedzenia.

Uśmiechnął się, a ona popatrzyła na niego wzrokiem pełnym pytań.

- Coś się stało? - zaniepokoiła się.

- Nie, nie... jestem po prostu głodny.

Podsunęła mu paczkę Willa Gold Flake'sów.

- Angielskie. Mam nadzieję, że dobre.

Skinął głową i wziął jednego; zapaliła zapalnik i podała mu ogień.

- Dziękuję.

Popatrzyła na niego poprzez kłąb dymu, on spoglądał na ścianę za nią.

- Kiedy pojedziesz do bazy?

- Za jakąś godzinę. Chcesz też pojechać? Dziś będzie film dla personelu, jak w każdą niedzielę. Mógłbyś pójść obejrzeć, a potem zjeść kolację w barze, ja przez ten czas załatwię swoje sprawy...

Potrząsnął głową - pomyślał natychmiast, że zrobił to zbyt szybko.

- Nie - powiedział powoli. - Zostanę tutaj, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście.

Zgasiła papierosa i podniosła się z krzesła. Myślała o nim, obserwowała cały czas napięcie w jego ruchach... Nie mogło to być spowodowane jej obecnością, nie sądziła, by mogła wyrzucić na nim jakieś wrażenie - był przecież o wiele młodszy. Chociaż, sam na sam w tym domku... Szybko zaczęła zbierać talerze.

- Miałaś mi powiedzieć, jak trafiłaś do wojska - popatrzył na nią wyczekująco.

- Miałam? - odłożyła na półkę myty właśnie talerz.

Uśmiechnął się.

- Myślę, że pamiętasz naszą rozmowę...

Spojrzała mu w oczy.

- Mówiłam ci, że to długa historia.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie o to chodzi, Alfred. Co ci przyjdzie z wysłuchania opowiadania o tym, jak minęło trzydzieści pięć lat mojego życia?

- Czy ty wreszcie przestaniesz przypominać mi swój wiek? - ciągle się uśmiechał. - Kobieta nie powinna mówić o pewnych rzeczach. Ja wiem, ile masz lat i zapomniałem już o tym. Okay?

Zamilkł na chwilę.

- No, słucham, pani porucznik.

- To właściwie historia mojego życia - usiadła obok niego.

- Nie opuszczę z niej nawet jednego słowa.

- No, dobrze, więc... - urwała. - Jesteś pewien, że chcesz tego wysłuchać?

- Całkowicie.

- Dobrze... - popatrzyła na stojący na piecu czajnik. - ja wyszłam za męża, gdy miałam dziewiętnaście lat, za chłopca, który mieszkał obok nas. Był szczupły, niewysoki i studiował w West Point. Kiedy spacerowaliśmy razem, on w swoim eleganckim mundurze, byłam szalenie szczęśliwa...

- Chyba nie mówisz o Ralphie? - zapytał.

- Nie, nie mówię o Ralphie. No i co dalej? On wyjechał na sześć czy siedem lat doskonałej służby i sukcesów... tylko dla niego. Sześć czy siedem lat, gdy mogłam płakać w samotności. Miałam męża i... nie miałam go...

Pokiwała głową w zamyśleniu.

- Wiedziałałam, że wiążemy się na dobre i złe, ale stało się coś jeszcze. Wydawało mi się, że poślubiłam mężczyznę, którego również te rzeczy... No, wiesz...

- Łóżko - odpowiedział Horn.

- Tak, łóżko...

- Co się stało?

- Pewnego dnia niespodziewanie wróciłam wcześniej do domu nie pamiętam już, dlaczego. Był na piętrze, w łóżku z młodym chłopcem... Nie wiedziałam wtedy, co dzieje się wokół mnie... Przypomniałam sobie wszystkie te sytuacje, gdy mój kapitan rozmawiał serdecznie z młodymi oficerami, a do kobiet zwracał się bardzo ostro... Spędziłam całą resztę tego dnia i całą noc myśląc, co mu powiedzieć - chciałam początkowo uciec do rodziców lub pójść do jego dowódcy, potem rozmawialiśmy. Starłam się myśleć nowoczesnie, ale w gruncie rzeczy jestem bardzo zasadnicza w tych sprawach. Wreszcie powiedział, że idzie się przejść, a chwilę potem usłyszałam huk wystrzału.

- Jeśli... - zaczął Horn.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie myślałeś, że to taka historia?

- Nie. Przepraszam, że cię pytałem.

- Nie przepraszaj... Właściwie to dobrze się stało, bo mogłam rozpocząć wszystko od początku.

- Spotkałaś Ralpa?...

- Jeszcze nie wtedy. Pojechałam do Europy, do Paryża, tam rzuciłam się w wir życia - taka zwariowana Amerykanka... wówczas, latem 1935 roku, spotkałam Jean-Philipa. Był poważny, inteligentny, zajmował się polityką i był piekielnie przystojny. Ale w 1936 roku, kiedy Franco zagroził Republice, Jean-Philip wyjechał do Hiszpanii i poległ dwa tygodnie później...

Horn podniósł się i zdjął czajnik z pieca.

- Dlaczego ty pojechałaś do Hiszpanii? - zapytał, nalewając kawę do kubków.

- Żeby go ściągnąć z powrotem... Ale już nie było kogo wyciągać z Hiszpanii, w końcu powiedzieli mi o nim. No i tam zostałam, bo nie miałam już chęci nigdzie wracać. Został wcale wykwalifikowaną pielęgniarką, jeśli nie lekarzem - amputowałam nogi, składałam połamane szczęki i odbierałam rodzące się dzieci... To była ciężka wojna dla prostych ludzi - nigdy przedtem nie używano tak kosztownych broni i nigdy przedtem nie zabijano tak masowo ludzi...

- Jak długo tam byłaś?

- Około roku. Nie mogłam dłużej... wróciłam do domu, co cywilnego życia i nie wiedziałam, jak dalej żyć. Pracowałam, ale nie wychodziło. Może właśnie dlatego poszłam do wojska żeby nie myśleć o rzeczywistości...

- Wtedy spotkałaś Ralpha?

- Tak, na kursie ogólnowojskowym. Był... Sam go zresztą widziałeś. Raz, dwa doszliśmy do wniosku, że sobie odpowiadamy.

Podał jej kubek z kawą.

- Pobraliśmy się po miesiącu - Popatrzyła na Horna z radosnym błyskiem w oku. - Jest naprawdę wspaniały!

*

Sto siedemdziesiąt pięć kilometrów od nich, w porywach zimnego, wschodniego wiatru zmagął się z falami Atlantyku niemiecki U-boot. Płynął w wynurzeniu i masy wody wyczyniały z nim najdziwniejsze rzeczy - były chwile, gdy już miał obrócić się do góry dnem.

Dwie kolumny peryskopów sterczały wysoko - można było odnieść wrażenie, że silne lunety metodycznie przeszukują powierzchnię morza. Osiem stóp poniżej, na otwartym mostku, kapitan Gunter Krantz obserwował wschodni horyzont za pomocą silnej lornetki. Wyglądał starszej niż na swoje lata, jego ciemne oczy były już zmęczone.

Płynęli już dwa tygodnie, opuściwszy nową bazę Trondheim w Norwegii w zimny, kwietniowy poranek. Rozkaz, Który nakazywał, im dołączenie do „wilczego stada”, polującego na konwoje, dotarł do nich o czternastej. Pogoda była poważną przeszkodą w jego wykonaniu, jednakże należało robić, co tylko się dało - rozkaz został przekazany wprost z Oberkommando der Kriegsmarine w Berlinie, a podpisał go wiceadmirał Otto Schniewind, szef sztabu niemieckiej floty i drugi co do ważności człowiek po Wielkim Admirale Raederze. Jediną szansą na spotkanie stada był ciężki rejs na maksymalnej prędkości w ryzykownym wynurzeniu. Pod wodą na silnikach elektrycznych mogli robić najwyżej siedem do ośmiu węzłów.

Kapitan spojrział na północ i natychmiast to dostrzegł: wielka, latająca łódź leciała w ich kierunku. Kranz zobczył, że nie może być wyżej niż pięćset metrów nad falami, wypatrując okrętów podwodnych wśród szarozielonych wałów wody. Jeśli to brytyjski Sunderland lub kanadyjska Catalina, to jakiś zły los prześladowa U-boota w drodze. Spojrział przez szkła i uśmiechnął się: to był niemiecki Blohm und Voss. Minutę później dwa wielkie pływaki samolotu opadły na wodę i można już było gołym okiem dostrzec czarne krzyże i okna w kadłubie, gdy powoli płynął w kierunku okrętu. Kranz rozglądał się jeszcze dokoła, usiłując dostrzec inne samoloty, gdy od amfibii odbił pomarańczowy ponton. Cztery energicznie wiosłowało w kierunku okrętu.

Pięć minut później Kranz siedział w swojej małej kabinie z dowódcą tej czwórki. Tak samo, jak i pozostali, Otto Denck był w cywilnym ubraniu, miał ze sobą ciemną torbę i płaszcz nieprzemakalny. Był to dwudziestokilkuletni mężczyzna o owalnej twarzy. Uśmiechnął się, kiedy kładł swoje dokumenty przed Kranzem.

- Rozumiem, co pan czuje, będąc zmuszony przejść pod rozkazy takiego smarkacza jak ja - powiedział. - Ale potrzebuję okrętu w operacji mającej żywotne znaczenie dla naszego kraju.

Kranz ciężko westchnął i wstał.

- Słucham rozkazów - powiedział.

- Mamy spotkanie dziś o północy - o północy brytyjskiego czasu letniego, podwójnego.

- Gdzie ma odbyć się to spotkanie, Herr Denck?

Otto Denck uśmiechnął się przeproszająco.

- Niestety, na wybrzeżu Szkocji, w Firth of Clyde...

- To spotkanie ma odbyć się na powierzchni?

- To spotkanie z kimś, dlatego będziemy musieli być na powierzchni - odpowiedział szybko Denck.

- Niech mi pan wierzy, jeśli coś się stanie, zostaniemy po prostu zdmuchnięci.

Denck spojrział na niego.

- Kapitanie - powiedział spokojnie. - Gdy już pan wie, że taki jest rozkaz samego Reinharda Heydricha przy poparciu Fuhrera, to dlaczego sądzi pan, że może być inaczej?

Kranz wpatrywał się w tę młodą twarz, zaciśniętą linię ust i zdeterminowane oczy.

- Może być - powiedział. - Może być zupełnie inaczej...

*

Kay skończyła zmywanie i założyła swoją kurtkę, wiszącą na drzwiach.

- Jeśli chcesz tu przesiedzieć aż do wtorku i nie masz ochoty na wyjazd do Prestwic, to bardzo proszę, czuj się tu jak u siebie w domu - powiedziała.

- Doceniam to całym sercem - odparł Horn.

- Dobrze - powiedziała energicznie. - Będę musiała iść do urzędu po kartki dla ciebie. Nie wszystko jest takie przyjemne w tej Anglii - nawet przydziały dla US Army są tylko nieco wyższe od cywilnych...

Horn zawahał się.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś tego nie robiła - powiedział powoli.

Przestała zapinać kurtkę.

- Dlaczego?

- Jak już zauważyłaś, moja obecność tutaj jest... trochę nieoficjalna. Generał Walker rozumiał to i na pewno wolałby, żebym nie znalazł się na żadnym spisie przydziałów...

Dopięła kurtkę.

- Okay. Chcesz jeszcze trochę kawy?

- Dziękuję.

Podeszła do niego. Nie mógł się domyślać, co czuła, ale wydawało mu się, że coś, co tworzyli razem przez ostatnią godzinę znów zniknęło. Odwrócił się do okna i spojrzął na ogród - trawa wymagała pielęgnacji, wszędzie rosły chwasty. Dostrzegł naraz jakąś sylwetkę, stojącą przy murze otaczającym ogród. Coś mówiło mu, by nie odwracał głowy - i rzeczywiście, postać spojrziała w stronę otwartego okna. Refleks światła oświetlił twarz postaci i można było rozpoznać starego Mr Franka, stojącego z rękami w kieszeniach swego długiego, czarnego płaszcza. Horn poruszył się i starzec zaczął iść przez ogród w kierunku okna.

- Dzień dobry, kapitanie! - zawołał. - Straszne tu nieużytki na takiej dobrej ziemi, ale to wszystko wina wojny. Czy jest pani porucznik?

Horn cofnął się i poszedł otworzyć drzwi. Kay wyszła do kuchni.

- Jestem tutaj, Mr Frank, ale tylko przez chwilę! Proszę wejść, napijemy się prawdziwej, amerykańskiej kawy, zanim pojedę na lotnisko,

- Jakże mógłbym odmówić? Właściwie to mam dla pani dobrą wiadomość...

Zatrzymała się zaintrygowana z czajnikiem w ręku.

- Tak - kontynuował. - Będzie pani mogła to kupić nawet w dniu jutrzejszym.

- Ta srebrna solniczka?

- Tak. Włożyłem w nią wszystkie moje umiejętności. Ale czy ma pani płacić za nią pięćdziesiąt dolarów? Proszę pomyśleć, sprzedam komplet - solniczkę i pojemnik na pieprz za jedyne czterdzieści dolarów każde, a zrobiłem je naprawdę dobrze...

Horn ostrożnie zerknął na starego człowieka - Mr Frank mówił ostatniej nocy, że jest kupcem, a tu okazuje się, że jest także zdolnym rzemieślnikiem. Starzec spostrzegł jego spojrzenie i uśmiechnął się.

- Kapitan myślał, że wszystko, co mam, pochodzi z handlu. Nie wszystko, kapitanie...

- Jeśli zrobił pan parę, to kupuję ją - zdecydowała się Kay.

- Nie będzie pani tego żałowała, moje dziecko, obiecuję. Ale proszę powiedzieć, jak to zrobimy, bo ja wyjeżdżam do Glasgow.

Kiedy odbierze to pani?

Kay wyjęła z lakierowanej, skórzanej portmonetki osiemdziesiąt dolarów.

- Nie mógłbyś pójść z Mr Frankiem? - spojrziała na Horna.

- Mógłbyś wziąć rower, stoi za domem...

Horn zgodził się zadowolony, że może się jej czymś odwdziżyć.

- Obejrzyj pan wszystko w moim sklepie - powiedział handlarz. - A jeśli nie interesuje pana srebro, to znajdzie się u mnie i coś jeszcze...

- No i oczywiście, będę musiał to kupić - zaśmiał się Alfred.

*

W małym miasteczku Tarbolton, pięć kilometrów dalej, mały dzwonek nad frontowymi drzwiami zadzwieczał, gdy Mr Frank otwierał swój sklep. Wewnątrz stały najdziwniejsze sprzęty: mosiądze z wczesnego okresu wiktoriańskiego, stara chińska porcelana, sterty

starych książek i gazet oraz kilka zabytkowych mebli. Widoku dopełniał marmurowy stolik przy ścianie i osiemnastowieczny angielski zegar. Na przeciwległej ścianie wisiało kilka obrazów olejnych, przedstawiających wodnistookich, poważnych angielskich arystokratów.

- A więc witam w moim sklepie, kapitanie - powiedział gospodarz. - To wszystko kupiłem od poprzednich właścicieli, ale nie mam czasu ani chęci na poukładanie tego. Proszę na górę - tam trzymam srebro.

Zaczął wchodzić po drewnianych schodach na galerię nad głównym poziomem sklepu.

- Niech pan uważa na głowę, tu jest niski strop...

Kiedy starzec się odwrócił, Horn pochylił głowę i nagle zdał sobie sprawę, że tamten mówił po niemiecku. Serce zabiło mu gwałtownie, zaczął zastanawiać się co będzie, gdy tamten zorientuje się, że on zna ten język, ale gospodarz wchodził na górę, nie oglądając się.

Cała galeria zawałona była połamanymi krzesłami, szafami bez drzwi i jakimiś starymi papierami. Na samym końcu było trochę miejsca, stał tam tylko niewielki stolik, nakryty zielonym suknem. Stary człowiek wybrał sobie ze stosu jedno krzesło, potem drugie i wskazał je Hornowi. Podszedł do starego sejfu Bartrama, otworzył go i wyjął kilka przedmiotów ze srebra i postawił je na stole. W przeciwieństwie do innych sprzętów srebro było dokładnie oczyszczone i pięknie lśniło w świetle żarówki. Opalane solniczki i szkatułki pośród wysokich ramion świeczników rzucały tajemnicze blaski. Frank postawił je na stole i usiadł naprzeciw Horna.

- To są, kapitanie, naprawdę piękne angielskie srebra, a rzadko można zobaczyć takie w naszym cywilizowanym świecie - patrzył uważnie na Horna. - Co pan o tym myśli?

Cóż może wiedzieć o srebrze amerykański lotnik? W rzeczywistości ojciec Horna miał sporą kolekcję, a w niej i kilka sztuk z Anglii.

- Nic nie mogę na ich temat powiedzieć, Mr Frank. Mogę powiedzieć tylko to, co widzę: wyglądają na stare i wyglądają doskonale.

Frank pokiwał głową. Wyjął papierosa z napoczętej paczki Playersów i włożył pomiędzy wargi.

- To ta rzecz, którą zrobiłem dla porucznik Hampton. Co na to pan powie?

Podniósł srebrną solniczkę i ruchem gracza w szachy postawił ją przed Hornem. Ten potrząsnął głową.

- Nic z tego, panie Frank. Dla mnie to mogło być zrobione wczoraj chociażby w Scranton w Pensylwanii!

- No, cóż... - stary człowiek wypuścił kłęb dymu ustami. - A co z tym drugim? - zapytał niespodziewanie. - Z tym oficerem, który miał z panem lecieć do Stanów? Co się z nim stało?

Horn zeszywniał, jego wzrok błędził po srebrnych błyskotkach.

- Skąd pan o tym wie?

- Pani porucznik mówiła, że oczekuje dwóch amerykańskich oficerów.

Horn skinął głową, zdając sobie sprawę z wbitego w niego wzroku starca.

- Pułkownik odniósł niewielkie obrażenia w wypadku drogowym i na pewno nie będzie w stanie lecieć w tym tygodniu.

Frank zamknął oczy; wolno kiwał głową. Po chwili otworzył oczy i spojrzał na Horna.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Nie wyobraża pan sobie nawet, jak bardzo nas to zmartwiło...

Horn zmarszczył brwi.

- Nas? To znaczy kogo?

- No, cóż, kapitanie... - Frank wysunął w stronę rozmówcy wskazujący palec. - Widzi pan, ja wiem, że jest pan kapitanem Alfredem Hornem, a pański towarzysz to Rudolf Hess, zastępca Fuhrera...

- Co, u diabła...

- Niech pan nie bluźni, kapitanie - uciął krótko starzec - odebrałem wiadomość z Berlina...

Wstał.

- Pokażę panu.

Wysunął spod szafy sporą, drewnianą skrzynkę, z ozdobnymi tłoczeniami. Horn stanął nad nim, gdy otwierał wykładane metalem wieko - wewnątrz była silna, niemiecka radiostacja.

- Dostałem z Berlina polecenie, by skontaktować się z herr Hessem i z panem. Powiedzieli mi, że wasza droga do Ameryki prowadzi przez Prestwick.

Zamknął skrzynię i wsunął ją znów pod szafę.

- Prestwick, oczywiście, jest moim podstawowym terenem wywiadowczym - sprzedaję te srebrne duperelki i potem przekazuję do Berlina, ile latających Fortec ma przylecieć, a ile jest obecnie.

- To jest piekielne ryzyko! - Horn bezwiednie rozmawiał z Frankiem w dalszym ciągu po angielsku.

Stary człowiek uśmiechnął się.

- Pan jeszcze nie wie, co to jest piekielne ryzyko, kapitanie...

*

Torbę z ubraniami znalazł kłusownik, gdy w pogoni za zającem przeskakiwał kamienny mur. Kilka minut po piętnastej w niedzielę dostarczył torbę na posterunek policji w Eaglesham i pół godziny później inspektor Jess McDonald z komisariatu w Ayrshire przeglądał jej zawartość. Gdy tylko upewnił się, że musi ona pochodzić z rozbitego Me-110, zadzwonił do Dowództwa Szkockich Sił Lotniczych. Od tego momentu całą sprawę przejął Londyn. Godzinę później inspektor McDonald, któremu odebrano torbę, zastanawiał się, kim właściwie był ten niemiecki lotnik, którego samolot rozbił się pod Eaglesham wieczorem w sobotę?

7

Niedziela, jedenasty maja, godzina piętnasta. Rudol Hess usiadł na łóżku - był właśnie po obiedzie, kawie oraz badaniu przeprowadzonym przez lekarza, który dokładnie oglądał jego nogę.

Po telefonie do Hendersona do Londynu, Max Bishop wrócił do zastrzeżonego pokoju. Porucznik, dowodzący strażnikami ostrzegł go, że więzień odmawia wszelkich rozmów i nie chce odpowiadać na żadne pytania. Podając Bishopowi kubek parującej herbaty, młody oficer wskazał ruchem głowy drzwi izolatki.

- Być może będzie to brzmiało jak majaczenia wariata, sir ale wydaje mi się, że ten człowiek nie nazywa się Horn...

Bishop spojrział na niego z ciekawością.

- Czemu pan tak przypuszcza?

Porucznik odstawił swoją herbatę i pociągnął Bishopa w głąb korytarza, dalej od strażników.

- Pan będzie myślał, że zwariowałem, sir, ale sędzę, że go rozpoznałem... Widziałem go na kronice filmowej: to Rudolf Hess.

Cofnął się nieco czekając, aż Bishop wybuchnie śmiechem lub skrzywi się z niesmakiem, ale nic takiego nie nastąpiło - Bishop upił łyk mocnej herbaty i powiedział:

- Myślę, że ma pan słuszość, poruczniku, ale znajdzie się pan przed sądem wojennym, jeśli ktokolwiek usłyszy od pana choć jedno słowo.

Młody porucznik był silnie podniecony.

- A co z prasą, sir? GLASGOW HERALD już się nim interesuje, dzwoniłi kilka razy...

- Domyślają się, kim jest? Albo raczej kim może być?

Bishop niespokojnie zmarszczył czoło.

- Nie, sir. Wciskamy im tę starą historię, że pilot zablądził i rozbił samolot.

- Okay, trzymajcie się tego, jak długo będzie można.

Max Bishop oddał porucznikowi swój pusty kubek i, przeszedłszy pomiędzy strażnikami, otworzył drzwi do izolatki. Stał przez chwilę i patrzył na człowieka, siedzącego na łóżku.

- Polecono mi zadać panu kilka pytań - powiedział. - Nazywam się Bishop.

- Proszę usiąść, majorze Bishop.

- Zaczniemy może od początku... Byłem w Berlinie na olimpiadzie w 1936 roku, a Alfred Horn był jednym z moich kolegów i przeciwników. Pan nie jest Alfredem Hornem...

Bishop przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

- Kim pan jest?

- Jestem Rudolf Hess - odpowiedział po prostu Hess. - Sądzę, że rozpoznał mnie pan już za pierwszym razem.

- A dlaczego Rudolf Hess miałby przylecieć dobrowolnie do Anglii?

Hess nie odpowiedział.

- A może ktoś podobny do Rudolfa Hessa?

- Ja jestem Hess! - wybuchnął Niemiec.

Bishop wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

- Proszę tu nie palić! - powiedział rozkazująco Hess.

Bishop wyciągnął papierosa i przypalił.

- Mówiłem przecież, żeby tu nie palić!

Bishop rozmyślnie zignorował go.

- Jeśli jest pan Rudolfem Hessem, to co pan robi w Wielkiej Brytanii? Jeśli odpowie pan na to, pytanie, tożsamość pańska nie będzie poddawana w wątpliwość...

Przeliczył się. Hess zeszywniał, patrzył gdzieś w górę.

- Nie jestem przygotowany na taką rozmowę z młodszym oficerem - powiedział sucho.

- Czy istnieje inna możliwość udowodnienia, że jest pan Rudolfem Hessem?

Jeśli nawet Hess usłyszał to pytanie, to i tak pograżył się teraz myślami w innym świecie. Myślał, jak to będzie w przyszłości, w nowej Reich-Kancelarii w Berlinie w dniu w którym powróci triumfalnie z Ameryki po wspaniale zakończonej misji. Fuhrer będzie oczywiście spokojnie czekał stojąc za swoim biurkiem na tle wielkiego gobelinu, a z boku biurka stać będzie grupa dwóch czy trzech, wściekłych i urażonych w swej dumie przez fantastyczny sukces Stellvertretera przedstawicieli NSDAP: Goering, który chciał po trupach zająć pozycję Hessa jako zastępcy Fuhrera; Himmler; zagrażający jego wpływowi w partii nazistowskiej; Goebbels, który szydził z niego za jego plecami; nawet jego własny zastępca Bormann, który jak robak podgryzał zaufanie Hitlera do Hessa. Nie, teraz już nie będą mieli nic do powiedzenia - wszyscy pójdą w zapomnienie, zostanie tylko Hess, i stojący na straży sukcesów Fuhrera i szczęścia Niemiec. W swojej wyobraźni ujrzał teraz wielkie, dziesięciometrowe, podwójne drzwi do kancelarii Fuhrera, strażnicy w mundurach SS prezentują broń... Adiutant otwiera drzwi, po drugiej stronie pokoju stoi Fuhrer, a w jego dłoni lśni Order Marii Teresy...

Zatopiony w marzeniach zastępca Fuhrera Trzeciej Rzeszy uniósł nieco głowę, zacisnął szczęki, usta wykrzywił mu grymas niechęci - dla Maxa Bishopa wyglądał, jak wielkie, rozkapryszone dziecko.

*

W Londynie Winston Churchill odwrócił się od okna, wychodzącego na ogród przy Downing Street 10 i skierował wzrok na Hendersona i generała.

- Panowie! - jego głos odbił się cichym echem od ścian pokoju. - Nigdy nie było w historii wypadku, by popełniono taki czyn. Fizyczne podobieństwo do Rudolfa Hessa to nie wszystko... Dajcie mi dowód i dajcie mi go jeszcze dziś!

- Z całym szacunkiem, sir... - zaczął Henderson. - Prośby tej nie możemy spełnić...

Churchill chwycił swoje cygaro.

- To nie jest prośba, pułkowniku - nawet w tak małym gronie jego głos brzmiał jak na posiedzeniu rządu. - To jest rozkaz.

Przerwało mu pukanie do drzwi i wszedł kamerdyner, niosąc srebrną tackę. Brwi Hendersona uniosły się ze zdziwienia - na jej powierzchni leżała elegancko złożona para czarnych skarpetek. Premier usiadł na poręczu krzesła, powoli zdjął buty i zaczął zmieniać skarpetki.

- Człowiek powinien zmieniać skarpetki kilka razy dziennie - chrząknął. - Świeże powietrze jest nogom bardziej niezbędne niż głowie...

Wreszcie założył z powrotem buty i, wypuściwszy z ust kłęb dymu powiedział:

- Aleksandria. Zaczynajcie od Aleksandrii.

Ponad jego głowę Henderson rzucił znaczące spojrzenie na generała.

- Aleksandria, sir? - generał przełknął ślinę.

Kamerdyner położył używane skarpetki na srebrnej tacy i wyszedł. Premier tupnął nogą sprawdzając, jak leżą buty i uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym włożył ponownie cygaro pomiędzy wargi.

- Hess urodził się w Egipcie, spędził wczesną młodość w Aleksandrii. Musiał mieć dentystę... Znajdźcie go, weźcie jego notatki i sprawdźcie ich zgodność z uzębieniem tego człowieka, którego mamy w Szkocji. Życzę miłego dnia, panowie.

*

Na głębokości czterdziestu metrów U-boot płynął z prędkością siedmiu węzłów. Jak gigantyczne, stalowe cygaro o sześćdziesięciosiedmiometrowej długości i średnicy prawie siedmiu metrów okręt przeciskał się przez ciemną wodę koło stromej krawędzi Firth of Clyde. W sterówce kapitan Kranz pochylał się nad mapą. Wiedział, że to szaleństwo, i to bez względu na to, jak długo będą przebywać na powierzchni morza.

Dwa potężne diesle o mocy dwóch tysięcy ośmiuset koni mechanicznych były zimne i ciche - pod wodą okręt używał silników elektrycznych, zasilanych z baterii akumulatorów, umieszczonych pod sterówką i innymi przedziałami. Użycie diesli pod wodą dałoby taki sam efekt, jak włączenie silnika samochodu w zamkniętym garażu: spaliny zabiłyby całą załogę. - Otto Denck siedział razem ze swoimi kolegami. Tak jak i on, wszyscy byli bardzo młodzi, ubrani w kolorowe swetry pod ciemnymi płaszczami i wyglądali nawet młodziej niż ich dowódca. Ta czwórka uważała się za elitę, i to nawet nie z tego powodu, że ukończyli z wyróżnieniem szkołę kadetów SS w Bad Tolz, ale dlatego, że jako nieliczni zostali wybrani do akcji specjalnych, dowodzonych osobiście przez Reinharda Heydricha.

W sterówce kapitan Kranz spojrział na zegarek. Na powierzchni było już prawie ciemno, ale musiał wzrokowo sprawdzić i skorygować pozycję swojego okrętu. Dwóch marynarzy usiadło za nim przy sterach głębokościowych, patrząc uważnie na wskaźniki. Kapitan zdecydował się.

- Idziemy w górę! - rozkazał. - Wynurzenie na sterach, w górę dwadzieścia przednie, tylne dół pięć.

W swojej kabine Denck i trzej pozostali poczuli, jak okręt przechyła się.

- Peryskopowa! - zawołał sternik.

Kapitan uniósł peryskop i przywarł do okularów. Omiótł widnokrąg dookoła, dostrzegając tylko morze i niebo w szarej poświacie. Sternik skorygował nieco trym. To była dobra głębokość. Zawyły motory, gdy Kranz, przepatrując powierzchnię odnalazł wreszcie linię

Alisa Craig. Granitowy masyw starego wulkanu wznosił się na jakieś tysiąc metrów ponad niebiesko-zielone morze. Kranz odczytał namiar i podał porucznikowi, pochylonemu nad mapą. Potem szukał jeszcze chwilę i wreszcie namierzył południowy wierzchołek wyspy Arran.

*

Było już ciemno, gdy Angus Gemmel wolno przedzierał się przez zarośla. Miał siedemdziesiąt dwa lata, ale był bardzo szczupły, trzymał się mocno i prosto, jak stare dęby rosnące w jego rodzinnym Ayrshire. Uzbrojony w starego Lee-Enfielda, jako członek Local Defence Volunteers patrolował te okolice co wieczór. Całe życie był zapalonym zwolennikiem golfa, zaczynał jako chłopak podający piłki, teraz zaś był właścicielem pola golfowego i członkiem drużyny ARTISANS. Nie grał już wyczynowo od dwóch lat, ale każdego dnia robił sobie długie spacer-y wybrzeżem.

Nióśł starą, skórzaną torbę golfową z naszywkami różnych klubów. Każdego wieczora przed zachodem słońca dwanaście razy uderzał w piłeczkę na swoim polu; nie było to oczywiście w dobrym guście, ale uważał, że jego wiek na to pozwala. Słońce powoli zsuwało się za zachodni horyzont i gdy Gemmel spojrział w stronę ciemnego morza odnosił wrażenie, że mógłby przeskoczyć z Goat Feli na wyspę Arran. Było to złudzenie, wiedział o tym doskonale - w rzeczywistości była to odległość około dwudziestu mil i tylko złote promienie zachodzącego słońca tak ją skracaly. Przypomniał sobie, jak często widział to zjawisko w latach swojej młodości w bladym świetle letnich poranków, gdy morze wyglądało jak lustro. Chciałby ponownie być taki jak wtedy, móc znowu przepłynąć zimne morze na drugą stronę. Zaczął cicho pogwizdywać i poszedł dalej.

*

- Co to było? - zapytał Horn, zatrzymując się nagle.

- Nic nie słyszałem... - Mr Frank wytrzeszczył oczy, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność.

- Coś gwizdże...

Stary człowiek przekrzywił głowę i nasłuchiwał uważnie.

- To tylko morze. Która godzina?

Horn spojrział na swój zegarek i pokazał go towarzyszowi nocnej wędrowni po wybrzeżu.

- Powinni być blisko, młody człowieku, jeżeli w ogóle tu przybędą.

- Przyplyną - odpowiedział Horn, poprawiając kołnierz płaszcza.

Nastala cisza. Horn patrzył uważnie na lśniąca powierzchnię wody; czuł się odprężony i bezpieczny. Niedługo będzie w drodze do domu. Zeszli na plażę, grzęznąc w piasku na zboczach wydm. Wiatr szumiał w wysokich trawach. Bez słowa zatrzymali się, gdy ciemny kształt kiosku łodzi podwodnej wynurzył się z wody dwieście metrów od brzegu. Płynący z małą prędkością U-boot wyglądał jak jakieś przedpotopowe monstrum w krwawym blasku zachodzącego słońca. Po chwili otwarto luk na pokładzie. Na szczycie kiosku zamigotała lampa sygnałowa, rzucając burzę migotliwych błysków na powierzchnię wody. Frank wyciągnął z kieszeni płaszcza latarkę i odpowiedział serią krótkich błysków: litera S.

Niebo zasłoniły chmury i zapanowała ciemność, ale Horn słyszał wyraźnie uderzające o powierzchnię wody wiosła, w tej chwili był w świetnym nastroju myśląc o potędze swojego kraju, który może sięgać zbrojnym ramieniem przez morze aż na terytorium przeciwnika. Zastanawiał się, co teraz może czuć stary człowiek, stojący obok niego. Horn odwrócił się w jego stronę.

- Pan chyba ma w kraju rodzinę?...

- Tak - odpowiedział sucho Frank.

- Może chciałby im pan coś przekazać? Mógłbym...

- To niemożliwe, kapitanie.

Dostrzegali już wioślarzy w pontonie.

- Oczywiście, ani słowa o pańskiej pracy, tylko po prostu, że ma się pan dobrze, Mr Frank... Na pewno przekażę im to osobiście!

Starzec spojrział na Horna w dziwny sposób.

- My, Żydzi, nie mówimy w Niemczech, że mamy się dobrze... Tak jest bezpiecznie.

Ponton zbliżał się już do brzegu; Horn nie odrywał od niego wzroku.

- Pan naprawdę jest Żydem?

- Tak.

- I pracuje pan dla Niemiec?

- Nie mam wyboru, kapitanie. Moja żona i córka są w obozie koncentracyjnym. Dopóki ja pracuję, one żyją... - odwrócił się w stronę Horna i zacisnął usta. - Żyją, ale to życie w przedsiönku piekła, a brunatni sadyści ze specjalnie szkolonymi psami potrafią zrobić tam prawdziwe piekło...

- Był pan w obozie? - Horn poczuł suchość w gardle.

- Tak, Hauptmann Horn, byłem w Dachau. Przecież według was jestem przestępcą... Pewnego dnia 1934 roku zaproponowali, bym udał się do Anglii i tu dla nich pracował - moja żona i córka były gwarancją, że będę dobrze pracował.

- Kiedy wrócę... - powiedział gwałtownie Horn.

- Kiedy pan wróci - przerwał mu siary człowiek - niech pan nic nie mówi i nic nie robi. Nasz kraj jest teraz w rękach grupy przestępców, kapitanie. Niech pan czeka i obserwuje. Kiedy wreszcie prawdziwi Niemcy ockną się ze snu, być może właśnie tacy młodzi ludzie jak pan przywrócą normalne życie...

Horn głęboko oddychał ostrym, morskim powietrzem.

- Zawsze sądziłem, że to bohaterstwo kieruje ludźmi w bitwie albo podczas lotu... - powiedział powoli.

Frank potrzęsła głową.

- Nie jestem bohaterem, kapitanie. Każdego dnia drzę, że schwytają mnie podczas nadawania. Nie boję się o swoje życie, ale w dniu, w którym przestanę nadawać meldunki, moja rodzina zginie...

Włożył rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej małą, srebrną tabakierkę.

- Chciałbym panu to podarować, kapitanie. Nie wiem nic o pańskiej misji, ale spotkanie z panem podniosło mnie na duchu. Nie wszyscy Niemcy są tacy... Niech pan pamięta o tym, co powiedziałem, na pewno mam rację. I niech pan weźmie to na pamiątkę na nowe lata...

Wcisnął pudełeczko w rękę Horna. Ponton szorował już po piasku plaży i wyskoczyło z niego czterech ludzi. Horn powoli schował tabakierkę do kieszeni.

- Cokolwiek by się nie zdarzyło, nie zapomnę tego, co pan mi powiedział dzisiejszej nocy, przyrzekam - powiedział.

- Proszę się pospieszyć! - starzec uściśnął mu dłoń.

Fale ochlapały Dencka, gdy brnął po wodzie kilka metrów do plaży. Wyciągnęli razem ponton na piasek i rozejrzeli się dokoła. Wydmy były puste, a światło księżycza ukształtowało ich cienie w dziwaczne kształty.

- Stellvertreter! - zawołał Denck, rozglądając się bacznie. - Hauptmann Horn!

- Tutaj!

Denck zwrócił się w kierunku głosu i skinieniem dłoni skierował tam swoich ludzi. Horn mógł teraz widzieć, jak zbliżają się, brnąc przez piasek plaży. Wydawali mu się nieco dziwni w cywilnych ubraniach, ale wyszedł im naprzeciw. Zatrzymali się dziesięć metrów przed nim. Dostrzegł że idący z przodu sięgnął do kieszeni, jakby po papierosa, powolny, spokojny ruch. Zobaczył błysk w lufie Lugera, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Dwa kroki za nim pocisk uderzył w brzuch Franka i odrzucił go o kilka metrów. Ponownie dostrzegł błysk, podobny do poprzedniego i usłyszał po ułamku sekundy świst kuli, gdy już leżał na piasku. Zaczął powoli czołgać się do tyłu; piasek trzeszczał mu w zębach, Denck podszedł do Franka i spojrzał na jego twarz. Leżący miał napięte mięśnie, cały przód jego płaszcza był zachłapany krwią, która powoli wsiąkała w piasek. Dwóch SS-manów podeszło do Dencka.

- Kto to? - zapytał Hans Richter.

- Spokój! - powiedział ostro Denck; jego wzrok przeszukiwał wydmy, a on nasłuchiwał uważnie.

Horn leżał w niewielkim zagłębieniu, otoczony wysoką trawą, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. W pierwszym momencie sądził, że drugi pocisk go trafił, bo zdrtwiało mu lewe ramię, ale po chwili odzyskał w nim czucie. Stary Mr Frank, zabity lub umierający na piasku... Dlaczego tamci bez słowa zaczęli do nich strzelać? Czy to jakaś niesamowita pomyłka? Ale przecież wyraźnie wołali jego... i Hessa...

Cichy, metaliczny szczeł zwrócił jego uwagę. Przez krótką chwilę wstrzymywał oddech, potem uniósł lekko głowę, by rozejrzeć się ponad brzegiem zagłębienia. Kilka kroków od niego stał Richter, jego kwadratowa, potężna w barach sylwetka wyraźnie odcinała się na tle nieba. Horn słyszał jego oddech, czuł smród, pochodzący z wnętrza łodzi podwodnej. Richter zrobił jeszcze dwa kroki - w rękę trzymał małą, naftową lampkę, której światło nie wyłowiło na razie z mroku leżącej tuż przed nim postaci. Oczy Horna wpatrywały się w czarne buty SS-mana. Nagle od morza powiał silniejszy wiatr, obsypał głowę Horna piaskiem i rozżarzył knot lampy. Zrobiło się trochę jaśniej i Richter wolno opuścił oczy. W pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego w momencie dostrzeżenia Horna, ale natychmiast uniósł prawą rękę i skierował ją w dół, a trzymaną w lewej dłoni lampkę podniósł na wysokość głowy. Horn dostrzegł znajomy kształt Lugera i opuścił głowę, wciskając twarz, w piasek. Usłyszał strzał i nie czuł bólu, nie było narastających ciemności, spadania w otchłań, żadnych majaceń umierającego umysłu. Minęło dziesięć sekund i Horn powoli się podniósł. Richter leżał na piasku z przestreloną głową.

*

Sto metrów dalej stary Angus Gemmel biegł tak szybko, jak tylko potrafił. Widział i słyszał wszystko - łódź podwodną, ludzi na plaży i niemieckie głosy. Nie mógł w to w pierwszej chwili uwierzyć, ale fakt pozostawał faktem - ci Niemcy z U-boota wylądowali. Później obserwował całą tragedię. Wydawało mu się, że są już dwa trupy, ale nagle zauważył, że ten drugi czołga się przez piasek w jego kierunku. Dostrzegł, że jeden z przybyłych zauważył uciekiniera i przypomniał sobie dawne czasy z I wojny światowej... Poderwał karabin i strzelił pierwszy. Kula ze starego 303 trafiła, tamten człowiek był martwy - Angus był tego pewny. Teraz pędził podnieść alarm, wezwać policję, LDV oraz wojsko, krzyknąć, że tutaj są Niemcy.

*

Zamajaczyła masywna sylwetka, zachrząścił piasek pod podeszwami. Denck popatrzył z niecierpliwością - to był Godt, którego wysłał na poszukiwanie Richtera.

- On nie żyje.
- Co?! - Denck prawie krzyknął,
- Ma przestrzeloną głowę.
- Daj sygnał na U-boota - rozkazał Denck. - Zostajemy tutaj.

*

Frank wiedział, że jest ranny - nie czuł bólu, tylko odrętwienie, powoli pełzące coraz wyżej, gdy tak leżał na piasku. Czuł, jakby jego serce powoli przestawało bić.

Denck ukląkł obok niego i rzucił ostro zza zębów:

- Kim jesteś?
- Czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? - szepnął stary.
- Gdzie jest Stellvertreter Hess?

Frank odwrócił głowę, czuł teraz zimno piasku na swoim policzku. Denck chwycił go za brodę i szarpnięciem zmusił by spojrzeć mu w twarz.

- Gdzie on jest?

Frank patrzył prosto w oczy Dencka i z ich groźnego i okrutnego blasku wyczytał całą prawdę: oni pomylili jego, Joshuę Franka z zastępcą Fuhrera Trzeciej Rzeszy i dlatego strzelili. Wiedział teraz, że oni mieli zabić Hessa, wcale nie mieli zamiaru odwozić go do Niemiec. Chcieli go zamordować i będą mogli to zrobić, jeśli tylko powie im, gdzie on jest. Uśmiechnął się, gdy zrozumiał tę przewrotną ironię losu - mógł im powiedzieć, mógł skierować tych morderców na trop drugiej najważniejszej osoby w Niemczech, osoby odpowiedzialnej za postępowanie takich, jak oni.

- Ostatni raz cię pytam? Gdzie jest Stellvertreter Hess?!
- Z przyjemnością powiem... - wyszeptał Frank z triumfem w głosie.

*

Kay siedziała w kuchni, patrząc na stojący przed nią kubek z kawą. Kartka z wiadomością od Horna leżała zwinięta w kulkę w rogu, gdzie ją rzuciła. Czego mogła się jeszcze spodziewać? Ten dziwny, energiczny młody człowiek wkroczył w jej życie, a teraz odszedł.

Zostawił paczkę papierosów, leżącą na rogu stołu. Miała chęć na papierosa, ale paczka była pusta i wyrzuciła ją. Co teraz? Chciało jej się palić. Nie, najpierw gorąca kąpiel, potem łóżko - rano będzie już wszystko w porządku. Siedziała tu już ponad godzinę. Z irytacją stwierdziła, że kawa jest już zupełnie zimna. Kiedy odsunęła krzesło, by wstać, w drzwiach stanął Horn. Nie zamknęła ich i teraz wszedł bez żadnego dźwięku.

- Nie spodziewałam się zobaczyć cię znowu - powiedziała szybko myjąc kubek i przechodząc do salonu.

Horn ostrożnie zamknął drzwi na klucz i ruszył za nią.

- Chcesz kawy? Albo szkockiej, butelka stoi gdzieś tutaj.

- Tak - skinął głową. - Szkocka...

Spojrzała na niego uważnie.

- Co się stało, Alfred? Masz kłopoty?

- Ze mną wszystko w porządku - powiedział krótko.

- Coś ty, u diabła, robił? - zapytała, dostrzegając oplakany stan jego ubrania.

- Nic, wszystko w porządku...

Odwróciła się, starając przypomnieć sobie, gdzie ostatnio widziała butelkę whisky.

- No, nie bardzo w porządku - powiedziała; w jej głosie zabrzmiała irytacja - przeszukała już cały pokój, otworzyła szafkę i kredens, trzasnęła drzwiczkami, nie znajdując tego, czego szukała. - Czy ty uważasz, że możesz wracać tu w środku nocy... Dlaczego, do cholery, ty mi to robisz?

- Kay, stary Frank nie żyje.

Gniew opuścił ją natychmiast; zobaczył, jak przez jej twarz przebiegł cień.

- To był wypadek?

Horn usiadł.

- To nie był wypadek.

Usiadła obok niego.

- Nie - potrząsnęła głową. - To przeze mnie...

- Co ty mówisz?! - wybuchnęła.

- Powiedziałem, że ktoś zabił Franka.

- Włamał się do sklepu?

Horn popatrzył w jej oczy z dziką desperacją.

- Spójrz, przed mniej więcej godziną zostawiłem ci pewne wyjaśnienia, ale zrobiłem to cokolwiek za wcześnie i teraz znów potrzebuję twojej pomocy. Przyrzekam, Kay, że kiedyś będę mógł ci wszystko wyjaśnić...

Znalazła wreszcie butelkę i nalala do szklanek.

- Dobrze, Alfred - powiedziała powoli, nie spuszczać z niego wzroku. - Kiedy generał Walker wyjeżdżał do Stanów, kazał mi służyć ci wszelką pomocą, jaką się tylko da...

Usiadła naprzeciw niego i podała mu szklanke.

- Mów.

- Wczoraj pod Eaglesham rozbił się samolot...

Przytaknęła.

- Niemiecki samolot, słyszałam o tym.

- Pilot był ranny.

- Nie słyszałam nic o pilocie, myślałam że zginął... Po co ci te wiadomości, Alfred?

- Muszę dowiedzieć się, gdzie zabrano tego niemieckiego pilota - powiedział powoli.

- Po co?

Cisza. Po chwili milczenia Kay odezwała się:

- No, dobrze... Sądzę, że jeśli był ranny, to wzięli go do szpitala.

- Do którego?

- Skąd mogę wiedzieć?

Horn oparł czoło na dłoni i starał się skupić. Czy byo możliwe, że Hess uciekł ludziom zbliżającym się wtedy od strony lasu? Nie, nie mógł nawet stać, nie mówiąc już chodzeniu. Ale Frank twierdził, że nigdzie, ani w prasie ani w radio nie było słowa o schwytaniu zastępcy Fuhrera. Nie miało to żadnego sensu. Hess był zbyt ważny, by propaganda brytyjska tego nie wykorzystała, nie było innej możliwości. A może po prostu Brytyjczycy nie wiedzieli, kogo mają w rękach? Jedno wiedział na pewno: jego własna sytuacja była dziwaczna i niepewna, w każdej chwili mógł zostać rozpoznany i rozstrzelany jako szpieg. Powinien za wszelki cen wrócić do kraju, ale ta strzelanina na plaży... To z pewnością byli Niemcy i niemiecka łódź podwodna. Czuł, że znalazł się w labiryncie bez wyjścia.

Nie zauważył, że Kay przypatruje mu się uważnie, na pół z gniewem, na pół z czułością. Wiedział, że musi porozumieć się z Hessem, bo tylko Hess może powiedzieć, co robić dalej. Ale Hess jest więźniem... Upił duży łyk whisky. Ten szpital to oczywiście nie więzienie i jeżeli Brytyjczycy naprawdę nie rozpoznali Stellvertretera, to może nie będzie tam dużo straży...

- Kay, czy jest jakiś sposób, by dowiedzieć się o ten cholerny szpital?

Odgarnęła włosy ręką.

- Jest jeden blisko Eaglesham, może to tam...

- Gdzie to jest?

- Dziesięć czy piętnaście mil od lotniska.

- Mogę wziąć jeepa?

- Czekaj, nie ma żadnej pewności! To może być tam, ale nie musi, może być gdziekolwiek indziej!

- Muszę spróbować - powiedział łagodnie.

Kluczyki wozu miała w kieszeni kurtki - pokazała mu je na otwartej dłoni.

- Ja będę prowadzić - powiedziała, idąc do drzwi.

*

Poza pokonaniem ponad dziesięćmilowej trasy trochę czasu zajęło Kay i Hornowi znalezienie samego szpitala: ta jazda wąskimi, szkockimi drogami w całkowitej ciemności, bez kierunkowskazów czy jakichś tablic informacyjnych była okropna. Wreszcie światło reflektorów wyłuskało z ciemności szlaban - Kay wjechała przez bramę i zatrzymała jeepa przed budynkiem. Długi, niski szpitalny gmach był całkowicie zaciemniony.

- Ustaw wóz na szosie - powiedział Horn, wysiadając. - To trochę potrwa.

Kiedy wszedł do budynku, jeep odjechał. Wewnątrz, w małym przedsiionku paliła się niskowatowa żarówka, osłonięta dodatkowo czarnym, papierowym kapturem. Horn przeszedł po zapastowanej podłodze do półeczki i zdjął słuchawkę z widełek aparatu telefonicznego. Linia była wyłączona - nacisnął kilka razy na widelki, ale nic się nie zmieniło i telefon pozostał głuchy. Teraz dopiero zauważył na ścianie przycisk dzwonka i małą kartkę nad nim: DZWONIĆ W RAZIE POTRZEBY. Nacisnął przycisk i po chwili starszy człowiek w czarnym

uniformie szpitalnego portiera otworzył wewnętrzne drzwi. W rękę trzymał kubek z parującą kawą i przez ramię powiedział coś do kogoś niewidocznego:

- Spokojnie, to nie sierżant...

Zamknąwszy za sobą drzwi, Horn zauważył dwie drzemiące w mundurach koloru khaki.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał portier, stawiając kubek na stole.

Horn starał się mówić spokojnym głosem:

- Moje nazwisko Vincent, John Vincent, z Toronto, z GLOBE AND MAIL. Zdaje się, że macie tu niemieckiego pilota?

- Może mamy, sir - portier wziął znowu kubek. - A może...

- A może nie macie - Horn dokończył za niego.

Portier - przytaknął. Horn wyjął z kieszeni pięciofuntowy banknot i położył go na stoliku.

- Może to pomoże pańskiej pamięci?

Stary portier szybko schował pieniądze. Zerknął starannie sprawdzając, czy drzwi są dobrze zamknięte.

- Reporter, mówi pan... Z Kanady...

- Pilot jest tutaj, prawda? - Horn podał mu drugi banknot.

- Będę miał kłopoty, jeśli ktoś się o tym dowie...

- Nikt się nie dowie - zapewnił go Horn. - No, to gdzie go trzymacie?

Portier jeszcze się wahał.

- Jest we wschodnim skrzydle, ale i tak pan go nie zobaczy, bo jest dobrze strzeżony. Dwóch ludzi zawsze przy nim chodzi...

Informator Horna podszedł nagle do głównego wejścia, na sekundę lub dwie zniknął w mroku. Kiedy powrócił, kiwnął głową.

- Karetka już czeka przed główną bramą...

- Czy mógłbym z nim porozmawiać albo choć go zobaczyć? Może coś pan wymyśli?

- Nie mam pojęcia, sir...

- Widział go pan osobiście?

- Tak, kiedy go tutaj przywieźli. Wysoki facet, szczupły, kapitan... Może jego nazwisko przyda się panu? Gdzieś je tu mam... -

przewracał Kartki zeszytu. - Horn, kapitan Alfred Horn...

Zadzwonił telefon. Portier przerwał rozmowę i podniósł słuchawkę.

- Rogers, portiernia...

Sluchał przez chwilę uważnie.

- Tak, sir, zrozumiałem.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Horna.

- Będzie pan musiał już iść, sir. Karetka i eskorta będą tu za chwilę... Że też muszą robić takie rzeczy po nocy... Ale będzie krzątania!

Horn skinął głową i odwrócił się w stronę drzwi; kiedy je otworzył, usłyszał warkot motocykla. Patrząc przez główne wejście dojrzał kształt wojskowego ambulansu i czerwone krzyże na białym polu. Kiedy pojazd się zbliżył, światła reflektorów liznęły twarz Horna. Nagie usłyszał wykrzywane po niemiecku słowa i znajomy stukot Schmeissera, a kiedy odruchowo cofnął się w cień, pod przednimi kołami ambulansu wybuchnął granat; z roztrzaskanego silnika buchnęły płomienie. W mroku błysnęły wybuchy jeszcze paru granatów i zagrzecotała seria drugiego Schmeissera. Nastąpiła teraz ostra wymiana strzałów pomiędzy Anglikami a Niemcami. Jeden z motocykli, trafiony w bak, rozgorzał jasnym płomieniem, rozświetlając scenę walki. Przez dwadzieścia sekund, zanim ogień przygasł Horn dostrzegł, jak prowadzony przez angielskiego sierżanta ogień powala dwóch biegnących mężczyzn. Potem otworzyły się drzwi ambulansu i wyskoczył z niego Max Bishop, popychając Rudolfa Hessa. Padli na ziemię. Kiedy Stellvertreter uniósł się, by przesunąć się dalej, z kłębow dymu wyłoniła się sylwetka nadbiegającego mężczyzny; Denck uniósł swego Schmeissera i oddał długą serię w ich stronę, po czym zaczął uciekać w stronę lasu. Horn zobaczył, że Hess został trafiony i upadł na klomb pod ścianą. Kiedy ustały strzały, Horn usłyszał, jak stary portier krzyczy przez okno:

- Co się stało?!

Jeden z angielskich żołnierzy podbiegł do drzwi karetki.

- Ten cholerny niemiecki pilot nie żyje, to się stało!

Horn spojrzał po raz ostatni w kierunku płonącego samochodu. Dojrzał szczupłą, niewysoką postać Maxa, pochylającego się nad klombem. Cóż, nie był to czas na przywitanie starego przyjaciela. Odwrócił się i zaczął biec w kierunku jeepa.

Dobiegł do samochodu i szarpnął za drzwiczki.

- Schnell, schnell! - powiedział i zastygł z jedną nogą we wnętrzu wozu.

Kay spojrzała na niego bez wyrazu.

- No, włącz - powiedziała i włączyła silnik.

*

Gdy tylko wniesiono Hessa do sali przyjęć okazało się że nie jest ciężko ranny - był ogłuszony, kula otarła się o czaszkę. Kiedy doktor zmywał krew z twarzy Niemca, Max Bishop czuł ciarki na karku.

- Miał pan szczęście, przeszła bardzo blisko - mówił młody, szkocki doktor podczas bandażowania. - Centymetr dalej i nie miałby pan mózgu...

- Przeznaczenie - odpowiedział Hess zimno. - Umieramy, gdy myślimy o śmierci.

- Tak - odpowiedział doktor. - Ale zostajemy zabici, kiedy jakiś maniak wpakuje w nas cały magazynek.

- Zauważył pan, że to byli Niemcy - powiedział Bishop, gdy został sam z Hessem.

- Oczywiście.

Była to jedyna aluzja do tej strzelaniny, ale Rudolf Hess nie mógł opędzić się od myśli, że to Adolf Hitler kazał go zlikwidować.

Porucznik, dowodzący strażnikami wszedł przez skrzypiące drzwi i spojrzał na Bishopa.

- Co się stało?

- Telefon, sir. Z policji w Tarbolton.

Popatrzył uważnie na Hessa.

- Czy on będzie w porządku, sir?

Bishop skinął głową. Porucznik zagryzł wargi.

- Czy mogę prosić o wybaczenie, że dopuściłem do tego incydentu?

Bishop ponownie skinął głową, podszedł do półki i podniósł słuchawkę. Mocny głos ze szkockim akcentem zapytał:

- Major Bishop?

- Tak.

- Majorze, tu inspektor Jess McDonald, policja z Ayrshire. Mam coś dla pana... Powiadomiłem o tym Londyn, a oni kazali mi skontaktować się bezpośrednio z panem.

- Dalej, inspektorze.

- Mam torbę lotniczą która, jak sądzę zaciekawi pana. Myślę, że była własnością tego niemieckiego lotnika, którego schwytano w sobotę wieczorem.

- Może mi pan ją w jakiś sposób dostarczyć?

- Samochód już na mnie czeka. Jeszcze jedno pytanie, majorze... Kiedy znaleźliśmy tę torbę, zacząłem wypytywać tutejszych farmerów. Z ich zeznań można wywnioskować, że nie jeden, lecz dwóch ludzi wyskoczyło z płonącego samolotu... Wysłałem ludzi na wzgórze i właśnie przynieśli mi drugi spadochron. Ciekawe, prawda?

8

Przez całą dwunastomilową drogę Kay milczała, koncentrując się na prowadzeniu wozu. Wąskie strumienie światła, okrojone przez maskownice - założone zgodnie z wymaganiami stanu wojennego - dawały wrażenie jazdy wąskim, mrocznym tunelem bez końca.

Horn spoglądała na nią niespokojnie. Nie pytała o nie na początku tej eskapady i teraz nie pytała także, choć tyle nowych, problemów przybyło do już istniejących. Zapalił Camela i schował paczkę do kieszeni. Kręcił się w fotelu i co chwilę zerkał przez tylną szybę. Przetarło się nieco i gdy księżyc wyszedł zza chmur, wstęga szosy lśniła odbitym światłem - nie było śladu pościgu.

Odwrócił się i poczuł, jak zalewa go fala wyczerpania. Nie miał wątpliwości - ci Niemcy przy szpitalu byli tymi z U-boota. Na pewno szybko odkryli, że Frank to nie Hess. To pewne, że wykonywali rozkazy Fuhrera - Hess dał mu wyraźnie do zrozumienia, że ta wyprawa została zorganizowana z pominięciem wszystkich i bez wiedzy i zgody Hitlera. Zatem czy zostawią teraz jego, Alfreda Horna, w spokoju? To było niemożliwe. W co on się wplątał? Żeby walczyć z własnymi rodakami... Lepiej było zginąć w akcji myśliwskiej, by potem koledzy mogli go wspominać przy kieliszku schnapsa w kasynach i klubach pilotów w Berlikum czy Calais. Poza tym był oficerem niemieckim, nie żadnym zboczonym kryminalistą z Gestapo, przed którymi drżały całe Niemcy. Spotykał się już z gestapowcami, pił z nimi, ale nigdy nie mógł zrozumieć ich buty, ich przekonania o nadludzkiem powołaniu. Poza za tym nie bał się ich - normalni, oddani ojczyźnie żołnierze nie muszą się ich bać. Teraz już tak nie jest i to dlatego, że został wplątany w zwariowany plan szalonego zastępcy Fuhrera.

Westchnął ciężko i kątem oka dostrzegł, że Kay rzuciła mu szybkie spojrzenie, ale kiedy odwrócił głowę, znów patrzyła prosto przed siebie z zaciśniętymi ustami. Wjechała przez bramę i skierowała wóz w stronę małego, przylegającego do willi garażu. Wysiedli, Kay otworzyła garaż i wróciła do samochodu, by go wprowadzić do środka. Zatrzymała się na chwilę, patrząc na ciemne wierzchołki drzew, rysujące się ostro na tle rozgwieżdżonego nieba, kołyszące się lekko na wietrze i rzucające niesamowite cienie.

Horn otworzył drzwi domku i zapalił światło w kuchni, a po chwili poszedł do łazienki, wyciągnął spod wanny grubą czarną aktówkę, którą otrzymał od Hesaa! Przeniósł ją do kuchni. Nie był pewien, po co ją nosi - coś mu mówiło, że jest ona jego jedynym zabezpieczeniem, jedyną gwarancją życia, dowodem na to, że w tym przedsięwzięciu grał roli prostego nawigatora. Teraz, po śmierci Stellvertretera z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie powodu chciał ją mieć stale przy sobie. Rozejrzył się no kuchni. Zauważył szczelinę pomiędzy szafkami i wsunął tam teczkę. Zdażył w ostatniej chwili, bowiem Kay otworzyła już drzwi wejściowe.

Weszła do kuchni i, zdjawszy kurtkę, odwiesiła ją na drzwiach, następnie bez słowa odwróciła się i otworzyła wysoki kredens, skąd wyciągnęła na pół pełną butelkę whisky. Postawiła ją ciężko na środku kuchennego stołu. Potem przeszła do drugiej szafki i wyjęła dwie szklanki. Usiadła na krześle naprzeciw niego i napełniła szklanki, podsuwając jedną w jego stronę.

- Tam przy szpitalu mówiłeś po niemiecku - powiedziała cicho.

Horn skinął głową.

- Alfred Horn... To także typowe, niemieckie nazwisko...

Patrząc na nią poprzez szkło szklanki, ponownie skinął głową.

- Niemiec... - potrząsnęła głową.

Spojrzał wprost w jej zmęczone oczy.

- Niemiecki lotnik - ten drugi niemiecki lotnik - to pułkownik Barker?... Czy tak?

Horn dopił swoją whisky jednym haustem i nalał znowu.

- Tak - powiedział. - To prawda.

- Nosząc amerykański mundur na terytorium nierzyjaciela skazujesz się na śmierć...

- Tylko wtedy, jeśli anie zdradzisz.

- Jezus Chryste! - podskoczyła. - W co ty mnie wpakowałeś!

Stała przez chwilę, jej krągłe piersi podnosiły się w takt ciężkiego oddechu. Był tak samo zły, jak ona.

- Myślisz, że to śmierzcząca sprawa, tak? Ty, jako neutralna nie masz przecież nic wspólnego z Niemcami, dla ciebie ważne jest, by dobrze zaopatrywać Brytyjczyków, dawać im te wszystkie bomby i działa! To co innego, tak? Taka jest ta twoja amerykańska neutralność!

Usiadła z powrotem i też napełniła swoją szklankę.

- Muszę zapalić.

Sięgnęła po paczkę Cameli i przypaliła papierosa; zaciągnęła się głęboko i powiedziała:

- Mój dowódca, generał Walker, kazał mi zorganizować transport do Stanów dwóm amerykańskim oficerom. Teraz odkryłam, że to niemieccy lotnicy... Ciekawe, czy generał o tym siedział?

- Wiedział.

- Czy mogę być pewna?

- Przecież mówił, że oczekuje oficerów o takich nazwiskach, jakie mieliśmy przybrać po przybyciu tutaj. To pewnie on to ustalił... Pomożesz mi dostać aię do Stanów?

Skrzywiła się i odłożyła papierosa.

- Nie, najpierw muszę porozmawiać z generałem.

- Przez łącze transatlantyckie?

- Tak.

- Kay, muszę ci coś wyjaśnić... Sam nie znam wszystkich aspektów tej akcji, ale powiem to, co wiem.

- Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, czy ty i ten drugi jesteście dokładnie tymi, których oczekiwał generał Walker - powiedziała zimno.

- Oczekiwał Niemców, ale czy na pewno nas, tego nie wiem. Ten drugi, pułkownik Barker, to jedna z szyszek niemieckiego rządu. Nawet generał mógł nie wiedzieć, kto przyleci do niego...

- Jakiś wysoki oficer?

- O wiele więcej, Kay. To druga osoba po Hitlerze. Ten facet w szpitalu to Rudolf Hess.

Patrzyła na niego w osłupieniu, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

- Zastępca Fuhrera, Kay... Człowiek, którego w Niemczech nazywają Stellvertreter - Rudolf Hess.

- Tu, w Anglii... Nie, ty zwariowałeś!

- Nie pytaj mnie, dlaczego tak jest - ja byłem tylko nawigatorem. Jeszcze miesiąc temu latałem w dywizjonie myśliwców... Wydaje mi się, że Rudolf Hess miał się spotkać w Ameryce z kimś o wiele ważniejszym niż twój generał Walker, dlatego bardzo prawdopodobne, że nawet generał nie wiedział, kto przyleci.

Otworzyła usta i zamknęła je z powrotem; patrzyła na niego, starając się zrozumieć to wszystko.

- To prawda, Kay. Nie wiem, czy Anglicy wiedzą, że ten pilot w szpitalu to Hess. Jego miejscem przeznaczenia były Stany Zjednoczone. Miał wypadek, kiedy skakaliśmy z Messersmitta i kazał mi samemu udać się do Prestwick... Na pewno nie robił tego wszystkiego, by spotkać się z jednogwiazdkowym generałem, bo to człowiek, który kieruje się od razu na sam szczyt, najwyższy szczyt...

- On przyjechał do prezydenta?...

Horn potrząsnął głową.

- Nie wiem, Kay. Wiem tylko dwie rzeczy: po pierwsze, sam Adolf Hitler nic nie wiedział o locie i za wszelką cenę chce nas zlikwidować, a po drugie była to z pewnością misja pokojowa.

- Ale to nie ma sensu! - zaprotestowała. - Dlaczego przyleciał właśnie tu, do Anglii, do najgorszych wrogów?

- Jeśli się wie, że jego celem była Ameryka, to jest w tym sens. Można to łatwo wytłumaczyć.

- Dobrze - znów była zła. - Powiedz mi.

Splótł ręce na kolanie.

- Po pierwsze, nie ma w Niemczech samolotu, który mógłby pokonać Atlantyk. No, może bezpiecznie mógłby pokonać taką drogę Condor... W takim razie, czy nie lepiej było lecieć do Lizbony i tam spotkać się z Amerykanami? Odpowiedź: w Lizbonie jest więcej Gestapo niż w Berlinie, Hitler na pewno kazałby nas zganać, zanim dotarlibyśmy do celu. A może U-boot? Też problem, za dużo ludzi musiałoby się o tym dowiedzieć, a poza tym łódź podwodna może zawrócić z drogi, umilkł na chwilę. - Anglia to co innego, są tu wasze samoloty. Wystarczyło dotrzeć do Prestwick i już bylibyśmy bezpieczni. I nie ma tu Gestapo - w każdym razie do dziś w nocy nie było...

- Myślisz, że ci ludzie przy szpitalu?...

- Tak, przyplłynęli U-bootem... Mają rozkaz zabić nas obu, Hessa i mnie, a taki rozkaz mógł wyjść tylko od samego Hitlera. Dziś w nocy połowa została zrealizowana...

- W szpitalu?

- Rudolf Hess nie żyje, Kay. Widziałem, jak dostał w głowę...

Wylała resztę whisky z butelki, wstała i wyciągnęła z kredensu następną.

- Czuję, jakby walił się świat - powiedziała, wyciągając korek i dopełniając szklanki. - Rudolf Hess przyleciał do Szkocji bez wiedzy Hitlera. Misja pokojowa z waszej strony, gdy Niemcy odnoszą takie sukcesy, że innym opadają ręce...

Zaczęła czuć, że chwije jej się w głowie; za dużo już wypila.

- Ale co ja mam z tym wspólnego? - zapytała.

- Moje życie jest w twoich rękach - powiedział. - Jeżeli wrócę do Niemiec, będę traktowany jak zdrajca, wszędzie w Anglii będę uważany za szpiega, ukrywającego się pod mundurem neutralnego państwa. Jedynym wyjściem jest lot do Ameryki...

- I co powiesz generałowi Walkerowi?

- Dam mu to - wyciągnęła czarną aktówkę i rzucił na stół.

Kay spojrzała na skomplikowany, szyfrowy zamek.

- Otwarta? - zapytała, dotykając złotej swastyki, wytłoczonej na wierzchu.

- Nie znam szyfru, a poza tym im mniej wiem o całej tej sprawie, tym lepiej. Nawet nie będę próbował jej otwierać.

Spojrzała na nią: milczała, wpatrując się w swoją pełną szklankę.

- Miałeś rację przy ocenie mojej neutralności - powiedziała. - Jeśli mam być po czyjejś stronie, to będę po stronie Brytyjczyków.

- Ten sam język, te same tradycje...

- Nie tylko. Uważam, że te sny Hitlera o Wielkich Niemczech są przeciw innym narodom.

- A Układ Wersaleki Francji i Anglii? Dlaczego zrobili to, gdy Niemcy były na kolanach po ostatniej wojnie?

- Dlaczego wybraliście Hitlera na przywódcę?

- On uczynił Niemcy silne i tylko on może je dalej rozwijać.

- Nie rozumiem cię - powiedziała łagodnie. - Sądzę, że jesteś uczciwym człowiekiem, ale jak możesz popierać kogoś, kto wydał Ustawy Norymberskie przeciw Żydom? Jak można popierać kogoś, kto uczynił z Europy obóz koncentracyjny?

- Kay, jestem taki, jak miliony innych Niemców - zirytował się. - Nie mam nic wspólnego z NSDAP, nie biję żydów i nie informuję Gestapo. Nie interesuję się polityką, interesuję się ojczyzną.

- Leniej, żebyś zainteresował się polityką. Gdy tylko Ameryka przystąpi do wojny, Roosevelt definitywnie skończy z Niemcami.

- Wielu Amerykanów myśli inaczej. Dla nich Niemcy są takie same, jak Francja czy Anglia i nie chcą mieszać się do Europejskich kłopotów.

- Wiem.

- A ty? - zapytał. - Czego ty chcesz? Chcesz walczyć w tej angielskiej wojnie?

Potrząsnęła głową.

- Widziałam już wojnę w Hiszpanii. A w czasie I wojny cały świat stracił jedną generację - to była zapłata za wojnę. Wojny mogą być prowadzone tylko w przypadku jedynej alternatywy, nie dla produkcji bohaterów.

- A ta wojna?

- Już mówiłam, że uważam, iż Hitler i inni przywódcy faszystowscy są dogłębnie źli. Każdy naród chciałby większej przestrzeni życiowej, jak każdy człowiek chce lepiej dla siebie, ale nie każdy naród z tego powodu prowadzi wojny, tak jak i nie każdy człowiek rabuje i kradnie. A tego, co to robi, spotyka kara. Modłę się, by Niemcy ocknęli się z tego koszmaru, dopóki nie jest za późno.

- Co będzie, jeśli tego nie zrobią?

- Wtedy USA przyłączy się do wojny.

Spojrzała na leżącą na stole aktówkę.

- Mówiłeś, że twój zastępca Fuhrera, Hess, przybył z misją pokojową?

- Tak.

Podniosła swoją szklankę i przyjrzała się bursztynowemu płynowi w świetle lampy.

- Jutro pojedziemy na lotnisko – powiedziała powoli. - Oczekujemy dwudziestu czterech Latających Fortec. Będą tu kilka godzin i odlecą z powrotem do Ameryki. Odlećmy i my razem z nimi.

Była już porządnie pijana, ale wyglądała prześlicznie. Horn też czuł działanie alkoholu. Jego wzrok przesuwiał się po jej kształtnej figurze, zatrzymał się na wzniesieniach jej piersi pod koszulą. Horn sypiał już z różnymi Kobietami, zwykle były to podrzędne aktorki z berlińskich studiów lub młode piosenkarki z kabaretów w Munich, ale nigdy jeszcze żadna nie wydawała mu się tak ponętą. Zdawał sobie sprawę z nieprzyzwoitości tych myśli, ale nie potrafił odmienić ich toku, gdy mówił:

- Co do jutra... Samolot... Nie podziękowałem ci...

Zauważyła jego spojrzenie i potrząsnęła głową.

- Nie w ten sposób! - powiedziała ostro.

- Niech to diabli! - zerwał się, omal nie przewracając krzesła. - Nie miałem nic takiego na myśli!

- Tak? - zaśmiała się gorzko, wstając i kierując się w stronę łazienki.

- Jeśli zabierzesz mnie do Ameryki, uratujesz mi na pewno życie. Zrozumiem, że jestem tak wdzięczny...

- I czujesz się w związku z tym zobowiązany zaoferować mi swoje łóżko! Nie potrzebuję twoich podziękowań i, do cholery, nie potrzebuję twojego łóżka!

Weszła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi. Zanim się zamknęły, zdołał jeszcze dostrzec łzy na jej twarzy. Pomyślał, że wypił stanowczo za dużo, ale i ona też, jeśli tak to odbiera. Odsunął krzesło i rzucił się na tapczan w salonie.

Po kilku minutach usłyszał, jak Kay wychodzi z łazienki. Potem przez chwilę robiła coś w kuchni - chyba Kawę, bo słyszał, jak przestawiała czajnik. Po chwili stanęła w drzwiach z dwoma kubkami kawy, przebrana już w nocną koszulę.

- Przepraszam - powiedziała, stawiając jeden kubek na małym stolczku obok posłania. - Jestem pijana idiotka...

Usiadł.

- Ja też przepraszam. Oboje za dużo wypiliśmy, ale chcę ci powiedzieć, że jeżeli kiedykolwiek szczęśliwy los pozwoli mi spotkać cię w Stanach, to proponuję ci moje łóżko... Zrobię to nie z powoou jakiejś wdzięczności, ale po prostu dlatego, że mi się diabelnie podobasz! - Uśmiechnął się. - Przemyślcie to, poruczniku.

Uśmiechnęła się do niego i usiadła obok.

- Mówisz to pewnie wszystkim dziewczynom...

- Nie. Taka, której bym to powiedział, musiałaby być romantyczna. Kochać się przy świetle świec, cichej muzyce, francuskim szampanie... Taka, jak ty.

- Taka jak ja?

- Tak. Bez względu na to, jak bardzo chcesz pokazać, że na pewno jesteś twarda i tak wiem, że jesteś romantyczną, amerykańską dziewczyną.

- Czyżbyście w Luftwaffe przechodzili kursy kobiecej psychologii?

Sięgnął po kubek z kawą.

- Jesteś piękną kobietą, Kay, masz ciało, któremu nie można się oprzeć. Ja jestem zagubiony, samotny i daleko od swojego domu... - upił kilka łyków kawy, patrząc gozieś obok niej. - A teraz idź spać. I powiem ci coś jeszcze: te pięć lat różnicy między nami to żadna różnica. Nigdy przy mnie nie mów, że jesteś stara.

Pokiwała głową, wypila swoją kawę i wstała.

- Dobranoc, Alfredzie - powiedziała wychodząc.

Siedział jeszcze nad pustym kubkiem, wsłuchując się w odgłosy domu. Słyszał, jak Kay wchodzi na piętro, mógł bez trudu rozróżnić każdy ruch w sypialni na górze. Kiedy się położyła wiedział, że leży dokładnie nad jego głową.

Dwunasty maja 1941 roku. Od ostatniego wieczora zamek Buchanan był najlepiej strzeżonym obiektem w Zjednoczonym Królestwie. Na polecenie Ministerstwa Obrony Szkockie Dowództwo rozlokowało tam batalion Gwardii i Czwarty pułk Zmechanizowany. Nikt - nawet dowództwo w Londynie - nie wiedział, kto ma być tak pilnie strzeżony. Gwardziści, patrolujący teren opowiadali sobie o silnym konwoju z kilkoma samochodami pancernymi i wysokim człowiekiem w ambulansie, który przyjechał w nocy.

W wielkiej, średniowiecznej kuchni Max Bishop rozkazał wstawić biurko i telefon alarmowy. Był to jego punkt dowodzenia. Kuchnię wybrał dlatego, że było to jedyne w miarę dostępne pomieszczenie, które można było ogrzać i oświetlić. W tej chwili płonął ogień w dwóch wielkich kominkach, rzucając migotliwe, żółte światło na całe pomieszczenie.

Na biurku leżała odnaleziona torba Hessa, otwarta i opróżniona, obok niej zaś kurtka i czapka pułkownika USAF oraz kilka buteleczek z lekami. Inspektor Jess McDonald nalewał sobie herbaty z wielkiego, żelaznego gara, wiszącego nad ogniem.

- Gdy Amerykaninowi zdjęć kurtkę i czapkę, to staje się cholernie podobny do tych z SS... Ciekawe, prawda, panie majorze?

Bishop czuł, jak ogarnia go fala zmęczenia; spał tylko godzinę przez ostatnie dwa dni. Przetarł zaczerwienione oczy.

- Dobrze, inspektorze - powiedział. - Zaczniemy jeszcze raz. Rudolf Hess i jego towarzysz, którym może, ale nie musi być Alfred Horn lądują w Szkocji, w pobliżu Eaglesham, ratując się na spadochronach z uszkodzonego ME-110...

- Z szacunkiem, majorze - McDonald odstawił kubek na biurko. - Czy jest pan absolutnie pewien, że ten człowiek tam na górze to Rudolf Hess?

- Z całą pewnością.

- Dobrze, niech pan wali dalej.

- Hess zabrał ze sobą, a potem ukrył mundur pułkownika amerykańskiego lotnictwa. Dlaczego? Po co mu mundur USAF w Szkocji?...

- Może dlatego, że tam niedaleko miał Amerykanów, majorze - powiedział ostrożnie inspektor.

Bishop spojrział na niego ze zdziwieniem.

- W Prestwick jest amerykańska baza lotnicza, lotnisko polowe, które przyjmuje transporty Lend-Leasu ze Stanów.

- Jezu Chryste! - Bishop chwycił się za głowę. - Ma pan na pewno rację jak dwa razy dwa jest cztery, inspektorze!

- Niech pan się tak nie podnieca, wiem z doświadczenia że często dwa a dwa to pięć...

- Nie teraz! Sądzę, że Hess nie chciał przylecieć do Wielkiej Brytanii - jego celem były Stany Zjednoczone.

- Może ma pan rację, ale już tam nie polecą. Niech pan się lepiej zastanowi, co z pańskim przyjacielem Alfredem Hornem.

Ciekawe, w jakim mundurze on chodzi... jak pan myśli?

- Ma pan rację - Bishop podniósł słuchawkę telefonu. Poproszę Prestwick, dowództwo okręgu.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł sierżant.

- Czeka tu pan Lowry, sir. Jest cholernie wściekły, że po prostu zerwaliśmy go z łóżka w środku nocy...

- Z łóżka?! - Bishop był wyraźnie nieprzytomny.

- To ten dentysta, sir.

Bishop gwałtownie odwrócił się do McDonalda.

- Wróć za pięć minut, inspektorze. Gdyby zgłosiło się teraz Prestwick, niech im pan powie, by zarządzili obostrzone kontrole wchodzących na teren lotniska!

*

Hess odwrócił głowę w kierunku wchodzących; przed chwilą jeszcze smacznie chrapał. Zwichrzone włosy pod bandażem i półprzytomne spojrzenie wskazywały, że spał mocno.

- Co to za najście? - zapytał po niemiecku zaspanym głosem.

Bishop stanął przed nim z kamienną twarzą. Po bokach miał sierżanta i dziwnego cywila - spod płaszcza wystawała mu piżama, a na nogach miał buty bez skarpetek; widać było, że jest zły.

- Czego chcecie? - Hess powtórzył pytanie po angielsku; przez moment przyszło mu na myśl, że może biorą go na egzekucję.

Bishop odwrócił się do cywila i podał mu duży arkusz z naklejonymi fotografiami. Ten uniósł oczy w niemym proteście i podszedł do łóżka. Wyjął z kieszeni płaszcza dentystyczne lusterko, a kartę Dołożył na pościeli obok głowy Hessa.

- Proszę otworzyć usta.

Hess popatrzył na niego zdziwiony i trochę przerażony, a potem spojrział na Bishopa, domagając się wyjaśnień.

- Pan Lowry jest dentystą. Proszę robić wszystko, o co poprosi - powiedział zimno Bishop.

- A jeśli odmówię?

- W razie potrzeby użyjemy siły - major wskazał na potężnego sierżanta.

Hess skinął głową i otworzył usta. Dentysta rozpoczął swoją pracę, śmieśnie wykręcając głowę, by nie ocieniała twarzy pacjenta. Bishop niecierpliwie przebierał palcami, ale nie trwało to długo - dentysta po chwili wyprostował się.

- No i co? - zapytał Bishop.

Lowry pokiwał głową.

- Jest pan pewny?

- Zdjęcia wykonane w dwunastym roku życia wykazują podobieństwo pierwszego stopnia w drugiej klasie, jeśli chodzi o układ zębów. Inaczej mówiąc te zęby są identyczne z tymi na zdjęciu, jeśli nie liczyć ubytków.

Hess patrzył na nich, niczego nie rozumiejąc.

- Dalsze fotografie pokazują układ zgryzu. U mniej niż ośmiu procent populacji ludzkiej może on wykazywać pewne podobieństwa u różnych ludzi, ale w tym wypadku - jest identyczny. Nie ma wątpliwości, że te zdjęcia robiono temu człowiekowi. To wszystko.

Włożył lusterko do kieszeni i zaczął iść w stronę drzwi pokoju. Bishop skinął na sierżanta i wszyscy trzej wyszli na korytarz.

- Zaraz załatwię jakiś samochód, by odwieźć pana do domu - powiedział Bishop.

- Myślę, że to będzie konieczne - odpowiedział dentysta z irytacją, wskazując wystającą spod płaszcza piżamę.

Bishop nie odpowiedział, myślał o czym innym. Od początku był przekonany w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, że ten człowiek to Hess, teraz nie miał już wątpliwości - porównanie dentystyczne - ze zdjęciami dostarczonymi z Aleksandrii udowodniło to całkowicie.

*

We wczesnych godzinach rannych w poniedziałek dwunastego maja, dwa dni po locie do Anglii swego zastępcy, Adolf Hitler rozmawiał w swoim gabinecie w gmachu Reich Kancelarii w Berlinie z Heydrichem. Stojąc nad stolikiem, na którym ustawiono czajniczek z herbatą i ciastka z kremem, przyglądał się uważnie swojemu rozmówcy.

- Są jakieś wiadomości?

Twarz Heydricha stężała.

- Żadnych, mein Fuhrer. U-boot powrócił na miejsce spotkania bez Dencka i jego grupy - tamci nie dali od wczoraj znaku życia. Być może zostali schwytani lub zabici...

- Czyli że Hess i Horn mogą dalej żyć?

- To możliwe, mein Fuhrer.

Hitler kiwnął głową w zamyśleniu, a po chwili zaczął w zamyśleniu mówić do siebie:

- BARBAROSSA... Atak Japończyków na Amerykę... Jeszcze żaden człowiek w rękach nieprzyjaciół nie znał takich sekretów jak Hess... A każdy z ludzi może zostać zmuszony do wyjawienia tego, co wie.

- Tak, mein Fuhrer.

- Ale jeszcze nie zaobserwowano oddziałów rosyjskich, które przesuwają się nad naszą granicę...

- Nie.

- Ani nie ma meldunków z Japonii o przegrupowaniu floty amerykańskiej...

- Żadnych nienormalnych manewrów floty USA; mieliśmy potwierdzenie zarówno z Japonii jak i od naszych agentów.

Hitler westchnął.

- Jak to rozumieć, Heydrich? Czyżby Hess już nie żył?

Heydrich milczał.

- A może jednak nie doleciał do tej Szkocji?

- Kapitan okrętu podwodnego, na którym był Denck i jego grupa meldował, że na brzegu było dwóch ludzi, mein Fuhrer. Jeden z nich został natychmiast zastrzelony.

- A drugi uciekł?

- Tak, mein Fuhrer.

- Uciekł przed elitą SD... Przyrzekłeś mi najlepszych ludzi na tę operację - Hitler spojrzał na Heydricha z nieukrywaną kpina i odwrócił się; stojąc plecami do niego zaczął mówić cicho, ale wyraźnie: - Na Boga, Heydrich, musiałem być szalony, powierzając sprawę takiej wagi Żydowi.

W Heydricha jakby trzasnął piorun; stał, poruszając ustami i nie mogąc wykrztusić słowa. Hitler wyprostował się; idąc do drzwi mówił:

- Zdejmijcie imię Rudolfa Hessa ze wszystkich szpitali, ulic i szkół w Niemczech. Sprokurujcie i wyślijcie pierwszy raport do którejś ze skandynawskich ambasad o postępującej chorobie umysłowej Hessa...

Pozostawiając Heydricha pogrążonego w milczeniu przeszedł przez wielkie, dziesięciometrowe drzwi; gwardziści SS sprezentowali broń.

*

W cieniu jednej z kolumn stał z respektem generał Keitel, szef Najwyższego Dowództwa Wehrmachtu. Czekał w tej wyłożonej czerwonym marmurem sali już od przeszło trzech godzin. Był zaniepokojony - według planu BARBAROSSA atak na Związek Radziecki miał się rozpocząć za trzy dni, piętnastego maja. Sztab Generalny desperacko potrzebował zatwierdzenia lub odrzucenia tego planu przez Hitlera.

Kiedy Hitler zatrzymał się, ujrawszy go, Keitel podszedł i z szacunkiem wręczył mu dokumenty. Fuhrer szybko przebiegł po nich wzrokiem i podszedł do stolika w rogu sali. Dopisał kilka słów czerwonym długopisem i oddał papiery Keitlowi, po czym skinął mu głową i odszedł do swoich prywatnych apartamentów.

Keitel zaczął czytać: „ZGODNIE Z MOJĄ NIEODWOŁALNĄ DECYZJĄ ATAK NA ROSJĘ MA BYĆ ODŁOŻONY. OPERACJA ROZPOCZNIE SIĘ, ALE JEJ TERMIN ZOSTAJE PRZESUNIĘTY ZE WZGLĘDU NA KONIECZNOŚĆ SPRAWDZENIA, CZY ROSJANIE NIE PRZEMIESZCZAJĄ SIĘ NAD GRANICE. BARBAROSSA ZOSTAJE PRZESUNIĘTY O MIESIĄC.”

Keitel myślał z rozpaczą, że rozpoczęcie inwazji w późniejszym terminie niebezpiecznie skróci czas do nadejścia zimy - zimy, która zawsze sprzyjała Rosjanom.

*

Kiedy Kay skierowała samochód w stronę bramy, dostrzegła wokoło niepokojące zmiany. Nie można było mieć wątpliwości: przy wszystkich bramach i innych posterunkach starsuszków z Home Guard zastąpili komandosi z Royal Marine, sławne „Zielone Berety”. Jeden z nich, kapral, podbiegł do samochodu.

- Słucham panią - powiedział, ignorując fakt, że była w mundurze i to oficerskim.
 - Pracuję tutaj - powiedziała Kay ostro, pokazując przepustkę.
 - Okay - spojrzał uważnie na mały kartonik. - I proszę się trzymać głównej drogi, reszta bazy jest zamknięta.
- Machnął ręką do dwóch innych komandosów, by otworzyli bramę.
- Co się stało? - zapytała. - Jeszcze wczoraj was tu nie było...
 - Ostrożność.
 - Ostrożność?
 - Rozkazy, proszę pani.

Kay zrozumiała, że nie dowie się od niego nic więcej.

Po przejechaniu bramy wdusiła gaz i podjechała pod budynek administracji, gdzie dostrzegła nieznaną, czarny samochód marki Humber, zaparkowany pomiędzy wozami kadry amerykańskiej. Wyglądał na wóz kogoś z tutejszych władz, i Kay poczuła, że to wszystko ma związek z Alfredem Hornem, Kiedy dochodziła do biura, usłyszała podniesione głosy. Drzwi otworzyły się i wyszedł z nich znajomy sierżant.

- Personel latający jest przecież niezbędny, do cholery! - usłyszała podniesiony głos dowódcy bazy, zanim drzwi ponownie się zamknęły.

- Sierżant spojrział na Kay i uniósł oczy ku niebu w geście desperacji.
- Co to za panika? - zapytała Kay.
 - Przyjechali z wywiadu - odpowiedział. - Teraz węszą po wszystkich kątach.
 - Czego chcą?
 - Sprawdzają.
 - Co sprawdzają?
 - Wszystko, u mnie nawet oglądali pieprzone spinacze!

Kay weszła do biura i usiadła za stołem. Czowała się nieswojo. Alfred Horn przyznał się, że jest Niemcem, oficerem Luftwaffe. Powiedział jej sporo, ale czy powiedział prawdę? Nowi wartownicy, wywiad w bazie - to nasunęło jej niewesołe myśli. Nigdy nie uważała Horna za swojego wroga, ale Brytyjczycy, walczący z Niemcami od 1939 roku mogą mieć zupełnie inne zdanie na temat jej sympatii... Trzeba porozumieć się z generałem Walkerem i poznać całą prawdę. Podniosła słuchawkę jedyne telefonu, który stał na biurku. Głucha cisza... Postukała w widelki czekając, aż ktoś się odezwie, wreszcie po jakiejś minucie rzuciła z trzaskiem słuchawkę.

- Co się stało, pani porucznik? - usłyszała głos sierżanta z pokoju obok.
- Chyba coś z telefonem, nie ma sygnału.
- Zgadza się, niedawno zdjęli okablowanie. Teraz wszystkie rozmowy muszą być z tego aparatu na moim stole.

Kay pomyślała, że przecież może stamtąd połączyć się z Wardrobe Place w Londynie i przez oficera łączności dostać się na transatlantycką linię do Stanów.

- Po co to wszystko? - zapytała.

- Może myślą, że mam za mało roboty? Kazali mi zapisywać wszystkie rozmowy pozamiejscowe.

Kay poczuła zimny dreszcz - jeśli rozmowy mają być zapisywane, to linia może być na podsłuchu, a pytania, jakie chciała zadać generałowi Walkerowi nie były przeznaczone dla obcych uszu.

- To jaki chce pani numer, pani porucznik?

- E, nie - powiedziała. - To nic pilnego, chciałam zadzwonić do koleżanki i umówić się na wyjazd do Londynu...

*

Kay weszła do willi i trzasnęła drzwiami w chwili, gdy Horn miał właśnie wejść do wanny. Krzyknął:

- Czy to ty, Kay?

- Tak - odpowiedziała opryskliwie.

Usłyszał, że wchodzi do kuchni. Nie przejmując się już więcej jej humorami wskoczył do wanny. Czytał gdzieś, że w Anglii obowiązuje ograniczenie w zużyciu gorącej wody sześciu litrów na dobę, jednakże napełnił wannę po brzegi. Bojkot angielskich przepisów wojennych nie wyszedł mu jednakże na zdrowie, bo woda przelała się przez krawędzie, zalewając podłogę i mocząc jego ubranie.

- Archimedes miał rację! - zawołał rozbawiony.

Nie było odpowiedzi, w kuchni panowała teraz głucha cisza. Horn pokiwał głową i zamknął oczy, oddając się teraz błogim myślom w pomieszczeniu pełnym pary i zapachu mydła.

- Muszę z tobą porozmawiać, Alfred.

Głos Kay dochodził tuż zza drzwi. Wiedział, jak jest blisko; wyobraził sobie jej pozę - pochylona do przodu i pełna seksu.

- Wejdz, drzwi nie są zamknięte!

Zaśmiał się myśląc, czy nie potraktuje tego serio - mogłaby się znów obrazić. Czy to nie dziwne, że człowiek w trudnej sytuacji myśli o dziewczynach? Usłyszał oddalające się kroki, potem jakieś dziwne odgłosy w kuchni, uderzenie metalu o metal, trzaski, dziwne szelesty... Nasłuchiwał uważnie - po chwili kroki! Kay znów podeszła do drzwi łazienki.

- Wylaż - z wanny, muszę, z tobą pomówić! - w jej głosie wyraźnie słychać było rozkazujące tony.

Horn był zaintrygowany. Wyszedł z wanny, wytarł się, i założył szlafrok. Drzwi do kuchni były otwarte, Kay siedziała przy stole. Przed nią leżała teczka, którą Horn dostał od Hessa. Otwarto ją siłą przy pomocy kuchennego noża - jego złamany trzonek leżał obok. Zawartość teczki - grube, pokreślone mapy, dokumenty stemplowane hitlerowską gapą - leżały w nieładzie na stole. Horn stanął w kuchennych drzwiach z twarzą bladą z gniewu.

- Coś ty zrobiła, do diabła?!

Powoli podniosła na niego wzrok.

- Zrobiłam to, co powinnam zrobić poprzedniego wieczora... Musiałam to zobaczyć.

- Jezu Chryste, zupełnie zwariowałaś! Czy rozumiesz, że w żadnym przypadku nie mogę już teraz pokazać się w kraju do końca wojny? A może i wcale...

Popatrzyła na niego z mieszaniną pogardy i oszołomienia.

- Lepiej zobacz, co było w tej teczce - powiedziała.

10

W zimnej, kamiennej sali zamku Buchanan Rudolf Hess siedział właśnie przy stole i przeglądał swój notes, oczekując zapowiedzianej wizyty angielskiego ministra. Po dość ciężkiej nocy obudził się późno, zjadł ze smakiem śniadanie i teraz z ciekawością czekał na przybysza. Przygotowując się do rozmowy sprawdzał zapiski w swoim notesie. Były one w pewien sposób zaszyfrowane: Londyn był kodowany jako Berlin, Hitler jako Stalin a Ocean Atlantycki jako Bałtyk. Profesjonalista z dziedziny kryptografii z łatwością odczytałby ten dziecinny szyfr, ale Hessowi wydawał się on nie do złamania.

Otworzyły się drzwi i wszedł Max Bishop ze słowami:

- Dzień dobry, Herr Hess.

Przytrzymał drzwi i przepuścił niskiego mężczyznę w raczej średnim wieku, ubranego w ciemną, tweedową marynarkę i takie same spodnie.

- Oto sir John Simon, Lord Kanclerz - powieział Bishop. - Mr Churchill osobiście polecił mi spotkać się z panem.

- Proszę spocząć - Hess wskazał proste, drewniane krzesło i zaraz dodał, krzywiąc się lekko: - Chciałbym móc przyjąć pana bardziej odpowiednio do pańskiego stanowiska, ale zarządzający moim więzieniem nie uważali za stosowne przekazać mi do dyspozycji lepszego wyposażenia.

Sir John Simon uważnie przyglądał się nieco rozzłoszczonemu Hessowi, gdy ten przekazywał długą listę pretensji w kwestii zakwaterowania, munduru należnemu takiemu dostojnikowi i niektórym wypowiedziom BBC, w których krytykowano charakter i motywy Adolfa Hitlera. Widać było, że Bishop jest coraz bardziej zniecierpliwiony, ale Lord Kanclerz nie spuszczał oczu z twarzy rozmówcy i nie przerywał potoku, jego słów. Podstawowym zadaniem, jakie postawił mu Winston Churchill, było sprawdzenie, czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach. Dopiero później, o ile sprawdzenie wypadnie pomyślnie, miał ostrożnie porozmawiać o dziwnym locie. Jednakże zadanie to było dość trudne, bowiem przez cały czas Hess zachowywał się dość dziwnie, zwłaszcza gdy przeszedł do analizy wojny, jej celów i przyczyn. Powoływał się na opatrność, mówił o historycznej misji, o przepowiedniach i wizjach. Był albo wariatem, albo człowiekiem obdarzonym dużą dozą mistycyzmu. Simon dziwił się, że taki człowiek może być jednym z przywódców zwycięskiego narodu.

- Przejdę teraz do aspektów mojego lotu - powiedział Hess.

- Przede wszystkim proszę przyjąć do wiadomości dwie rzeczy: po pierwsze moja lojalność wobec Adolfa Hitlera jest niepodważalna, a po drugie, wybierając się na tę wyprawę przewidywałem takie polowanie na mnie, jak wczoraj. I nie jestem tu bynajmniej dlatego, że uważam jakoby Brytyjczycy byli bardziej gościnni od Niemców, ale dlatego, by nie dopuścić, by oba te narody powyrzynały się nawzajem.

- Rozumiem - przerwał sir John. - Uważa pan, że ta wojna musi być kontynuowana aż do całkowitego zniszczenia... bez zwycięstwa.

Hess pokręcił głową.

- Zwycięstwo Niemiec nie podlega dyskusji - powiedział.

- Ale koszty mogłyby być zbyt duże? - zapytał łagodnie sir John.

- Dla Wielkiej Brytanii, dla całego germańskiego świata, którego częścią jest Wielka Brytania.

- Rozumiem...

- Świat upadł, Lordzie Kanclerzu - Hess pochylił się w stronę Simona, a w jego głosie wyczuwało się napięcie. - Dwa wielkie, aryjskie narody przelewają krew. Prawdziwy wróg, bolszewicka Rosja przygląda się temu ubawiona czekając, by móc szerzyć swoją zarazę, korzystając z nieuwagi. Między Niemcami i Anglią musi zapanować pokój, inaczej na tym zyskają tylko Słowianie.

Sir John Simon przytaknął spokojnie w sposób, w jaki przytakuje się dziecku.

- Ale, Herr Hess, mamy powody przypuszczać, że pańskim celem była nie Wielka Brytania, lecz Ameryka. Jeśli chciał pan położyć kres naszej wojnie, to co ma do tego neutralny kraj?

Twarz Hessa wykrzywił szyderczy grymas. Chwilę milczał, przez twarz przebiegł mu cień, wreszcie podjął temat: - Lordzie Kanclerzu, zanim ten rok się skończy, nie będzie już neutralnych krajów. Wojna ogarnie cały świat i, co już powiedziałem, Aryjczycy będą walczyć z Aryjczykami zamiast ze swoimi naturalnymi wrogami - Słowianami i Azjata...

Te kilka słów było dla Simona rewelacją. Starał się zachować spokój, a Hess kontynuował:

- Wiozłem ze sobą aktówkę, w której przechowywałam niecodzienne dokumenty na temat najbliższych czasów...

W komnacie zapanowała cisza. Max Bishop patrzył to na jednego z rozmówców, to na drugiego i nie bardzo rozumiał, o czym mówią. Zastanawiał się, czy Lord Kanclerz zdoła wyłowić z tego bełkotu choć trochę prawdy.

- Ameryka... Czy Ameryka będzie uczestniczyć w tej wojnie?

- Oczywiście - natychmiast odpowiedział Hess. - Światowej wojnie, Lordzie Kanclerzu.

- I dlatego leciał pan do Waszyngtonu?

- Niech pan nie próbuje mnie łapać za słowa - Hess zakręcił się na krześle. - Mówiłem jedynie, że moim celem były Stany Zjednoczone, nie wspominałem nic o Waszyngtonie.

- Proszę mi wybaczyć, Herr Hess... Pan wspominał coś o jakiejś teczce? - zapytał Simon.

- Tak - Niemiec odruchowo spojrzął na zegarek. - W tej chwili powinna już być w Ameryce.

- Przewieziona przez Alfreda Horna? - zapytał zimno Bishop.

Hess uśmiechnął się.

- Tak, majorze, zabrał ją Alfred Horn...

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Stoimy w obliczu niesłychanej tragedii, za którą odpowiedzialni będą Churchill i Roosevelt.

- O jakiej tragedii pan mówi? - ostro zapytał Simon.

Hess zatrzymał się pośrodku pokoju.

- Niemcy wespół z Azjatami będą walczyć ze swoimi braćmi Brytyjczykami i Amerykanami, których z kolei wesprą Słowianie.

- Pan uważa, że ta wojna toczyć się będzie między Anglią, Ameryką i Rosją a Niemcami i Japonią po drugiej stronie?

Hess przytaknął.

- Świat przewróci się do góry nogami.

- To jest tylko pragnienie faszystowskich Niemiec - Simon zastanawiał się przez chwilę. - Daje pan do zrozumienia w ten sposób, Herr Hess, że dokumenty te to plany ataku Niemiec na Związek Radziecki i Japończyków na USA.

Hess ponownie usiadł na krześle.

- Tylko ja mogłem zapobiec tej tragedii. Fuhrer proponował już Churchillowi honorowy pokój, ale on - wspomagany przez Roosevelta - czuł się na siłach odrzucić tę propozycję.

- Co zatem chciał pan, by zrobił teraz prezydent Roosevelt?

- Wstrzymał zaopatrywanie Anglii - powiedział twardo Hess.

- Może wymóc na Churchillowi, by podpisał pokój z Niemcami. Wtedy Fuhrer mógłby zwrócić się w kierunku Rosji, a Anglia mogłaby pomóc Niemcom w wielkiej, europejskiej krucjacie przeciwko bolszewickim Mongołom.

- I pan miał to wyperswadować amerykańskiemu prezydentowi?

- Prezydent jest sprzymierzeńcem Churchilla - powiedział Hess, kręcąc przecząco głową. - Ale są jeszcze Amerykanie! Amerykanie mający władzę, którzy uważają, że wojna z Niemcami to zła wojna. Oni chcą walczyć z Rosją Radziecką, poprowadzić krucjatę przeciwko czerwonej zarazie.

- A Japonia?

Hess machnęła ręką.

- Japonia nie ma znaczenia, ona jest coś warta tylko dla Roosevelta. Chce wykorzystać japoński atak jako pretekst w celu wypowiedzenia wojny Niemcom.

- A gdyby poinformował pan wspomnianych Amerykanów o japońskim planie ataku na ich kraj...

- Wtedy Roosevelt byłby zmuszony do odwrotu - przerwał mu Hess. - Nie będzie wojny z Japonią - nie będzie wojny z Niemcami.

Zamilkł na chwilę, teatralnie przeciągając ciszę.

- Zaopatrywane przez potęgę przemysłową Ameryki niemieckie i brytyjskie armie ramie w ramię pomaszczą przeciw hordom Mongołów, by nieść zniczą zachodniej cywilizacji i utrwać jej panowanie na tysiące lat! To jest pragnienie Fuhrera...

*

Przeglądali leżące na stole papiery zaszokowani, wzburzeni, niecierpliwi. Zawartość czarnej teczki była rozrzucona na całej powierzchni kuchennego stołu - mapy sztabowe, z nadrukiem faszystowskiego orła, ukazujące plan BARBAROSSA: potężne uderzenie von Leeba na Leningrad, von Bocka na Moskwę i Runsteda przez Krym na pola naftowe Kaukazu. Tu, na tym stoliku w małej willi leżały rozkazy, powołujące do walki ponad trzy miliony ludzi, tysiące czołgów i samochodów pancernych oraz prawie całe lotnictwo. Ta machina miała już wkrótce wystartować. Dla Kay najciekawsze były dokumenty, które zgromadziła po swojej stronie stołu: kopie telegramów Niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które wymieniali między sobą Ribbentrop i jego japoński kolega, Hatsuoka. Japońska flota już pod koniec tego roku miała wykonać pojedynczy, skomasowany atak na główną bazę amerykańskiej marynarki, Pearl Harbour.

- Nie powinniśmy tego przeglądać, Kay - powiedział spokojnie Horn. - Niestety, nie można już tego cofnąć... Musimy zdecydować, co zrobimy z tą wiedzą.

- Dla mnie nie jest to żaden problem - odpowiedziała. - Po prostu trzeba przekazać te dokumenty do najbliższego w okolicy przedstawicielstwa rządu amerykańskiego.

- Nie mogę na to pozwolić - powiedział po chwili milczenia. - Twój rząd poinformowałby Moskwę i miliony moich rodaków zginie w sowieckiej pułapce.

- Jezu Chryste! - wybuchnęła. - To twój rząd zastawia pułapkę! Pamiętaj, że to właśnie Hitler zaplanował to wszystko! Nie ma innego wyjścia!

- Nie mogę dać ci tych papierów, Kay...

Usiedli naprzeciw siebie z ponurymi minami.

- A co będzie, jeśli powiem, że będę próbować?

- Wtedy cię powstrzymam.

- Nie powstrzymasz mnie przed powiedzeniem tego, co wiem!

Zapadła cisza. Po chwili Kay wyszeptwała:

- Żeby to zrobić, Alfredzie, będziesz musiał mnie zabić...

Coś w wyrazie twarzy mówiło o jej determinacji. Uświadomiła sobie, że postawiła go w okropnej sytuacji - teraz musi zdradzić swój kraj albo zabić ją z zimną krwią.

- Wczoraj wieczorem powiedziałam ci, co myślę o przywódcach twojego kraju - powiedziała spokojnie. - Teraz przejrzalesz te dokumenty i sam wiesz, jakim Niemcom służysz.

Ciągle milczała.

- To nie są Niemcy, jakie pamiętasz, Alfredzie. To nie są twoje ojczyste Niemcy... Teraz są prowadzone przez krwio pijców, którzy niszczą to wszystko, co kochałeś w Niemczech. Nie wiem, czy tak będzie dobrze, ale wiem, że musisz dokonać teraz wyboru: służyć tym Niemcom czy też walczyć przeciwko nim.

- Jeśli dam ci te dokumenty, będę mordercą setek tysięcy moich kolegów!

- Nie - odpowiedziała łagodnie. - Jeśli plany Hitlera pozna świat, jeśli wszyscy będą wiedzieć o planowanym ataku Japończyków, to nie będą mogli ich zrealizować.

Pochyliła się i dotknęła jego ręki.

- Jesteśmy dwojgiem ludzi, dwojgiem małych ludzi, siedzących w małym domku w Szkocji, ale przeznaczenie dało nam w ręce możliwość zapobieżenia wojnie światowej...

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, wreszcie Horn spuścił wzrok. Kay wstała.

- Idę spać.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Teraz, w samym środku tego wszystkiego?

Skinęła głową.

- Muszę być przez jakiś czas sama. Chcę to przemyśleć, i złapać kilka godzin snu przed przylotem samolotów.

Odwróciła się i szybko wyszła z pokoju. Horn usiadł ponownie za stołem z rozłożonymi dokumentami, postawił przed sobą kubek z zimną już kawą i zapalił papierosa. W pewnej chwili przypomniał sobie starego Franka. Czy to prawda, że tamci zabijają jego rodzinę, gdy przestaną teraz otrzymywać meldunki? Ich życie było w innych rękach, a teraz on mi w ręku nici wielu milionów żywotów. Czy obecni przywódcy są naprawdę aż tak źli? Hans Forster w Munich też mówił o tym, ale miało upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim niemieccy oficerowie będą musieli wybierać. No, a dla niego, Alfreda Horna ten czas nadszedł szybciej niż dla innych...

Siedział i wpatrywał się tępym wzrokiem w blat stołu. Gdzieś z salonu dobiegły do niego odgłosy poruszania się Kay. Wziął do ręki stojącą na stole butelkę i nalał sobie whisky. Znowu naszły go myśli o tym, jak dobrze byłoby iść z nią do łóżka, dotknąć jej rozpalonego ciała, przyciągnąć... Nie traktował seksu jak prostej, fizjologicznej czynności. Teraz był przeciwwagą decyzji, jaką miał podjąć. Spojrzał na rozrzucone papiery. Przez Chwilę naszła go chęć chwycić je i rzucić w palenisko kuchennego pieca, ale znowu pomyślał o Kay. Pochylił się do przodu, starając się dosięgnąć paczki papierosów i po raz pierwszy zauważył notes w skórzanej oprawie, zagubiony we wnętrzu teczki. Wyjął go i zaczął kartkować. Początkowo były to zwykłe notatki terminowe, pisane w tak zwięzły sposób, że trudno z nich było cokolwiek wynioskować: UNIwersytet w MUNICH 2/25/41, DOM 48 HARTHAUSE 4/20/41... Cyfry wyglądały na daty, ale reszta nic mu nie mówiła. Dopiero dalej zaczęły się te ciekawsze rzeczy - luźne zapiski, wykonywane chyba na jakichś posiedzeniach czy konferencjach, odzwierciedlające tok myślenia Hessa. WOJNA POMIĘDZY NIEMCAMI A ANGLIA JEST GŁUPOTĄ... STANY ZJEDNOCZONE... WYPERSWADOWAC AMERYCE POMOC DLA ANGLII, A CHURCHILL BĘDZIE ZMUSZONY PODPISAĆ POKÓJ Z HITLEREM... KRUCJATA PRZECIW BOLSZEWIZMOWI... BŁOGOSŁAWIONA PRZEZ PAPIEŻA EUROPA RUSZA NA BEZBOŻNY WSCHÓD... W skrócie była to budowa triumfującego, zjednoczonego świata zachodu pod przywództwem Niemiec i Adolfa Hitlera. I któż to stoi przeciw tym świetlanym wizjom? Kto jest barierą dla tysiącletniej hegemonii Rzeszy? Tylko dwóch ludzi; PALĄCY CYGARA PIJAK W LONDYNIE I WASZYNGTONSKI LALUŚ Z GŁUPIM UŚMIESZKIEM... WŁAŚCIWIE TYLKO JEDEN JEST GROŻNY, BOWIEM CHURCHILL JEST TYLKO PIONKIEM... HITLER MÓGŁBY JEDNYM POCIĄGNIĘCIEM ZŁAMAĆ JEGO KARIERĘ, POGRZEBAĆ JEGO PLANY NA UWIECZNIENIE W HISTORII, ALE ROOSEVELT TO INNA SPRAWA: ZA NIM STOI POTĘGA GOSPODARCA AMERYKI...

Wiele stron zajmowała analiza prezydenta USA, nie było jednak żadnej konkluzji, jak go przekonać czy pokonać, ale informatorzy Hessa przekazali mu, że w Stanach są ludzie, którzy „nie lubią” prezydenta i chętnie zmieniliby kierunek pomocy. Na ostatniej stronie widniała notatka, napisana czerwonym długopisem: TO SUGERUJE ŻE NEGOCJACJE MUSZA BYĆ PROWADZONE BEZPOŚREDNIO Z AMBASADOREM. DLATEGO WIZYTA W AMERYCE BĘDZIE KONIECZNA...

*

Kay leżała w łóżku i patrzyła w otwarte okno. Nigdy nie kładła się tak wcześnie spać i teraz miała problemy z zaśnięciem. Słyszała, jak na dole Alfred Horn przesuwając krzesło, jego kroki po kamiennej posadzce; wyobrażała sobie jak przegląda te przeklęte dokumenty i mapy... Wierzyła że dobrze zrobiła, zostawiając go samego z butelką whisky. Każde z nich musiało osobno przemyśleć tę sprawę, to było najważniejsze. Chciała się skupić właśnie na tym, ale umysł podsuwał jej co innego: chciała usłyszeć ciężkie kroki na schodach, skrzyp drzwi i wreszcie wszedłby tu, pijany, śmierzący alkoholem, ale czuły... Uśmiechnęła się do siebie, wyciągnęła rękę i odszukała syfon. To szaleństwo - była podniecona fantazjowaniem jak jakaś dorastająca pannica. Usiadła i napełniła szklanek wodą. Na dole panowała teraz cisza.

Wypiła wodę, ale jeszcze przez chwilę siedziała w łóżku, wreszcie odstawiała szklanek i zsunęła się w głąb ciepłej pościeli. Upływały minuty. Nagle przez opary nadchodzącego snu usłyszała lekkie kroki przy schodach i naraz ocknęła się.

*

W małej kuchni Alfred Horn drzemał z głową na oparciu krzesła, śnił o Stellvertreterze. Widział go, jak wchodzi do wielkiej sali, w której on, Hauptmann Horn, stoi wyprostowany w galowym mundurze; w ręku zastępcy Fuhrera widać Order Marii Teresy. Hess zatrzymuje się kilka kroków przed nim i rozkazuje mu podejść do siebie. Horn nie może się poruszyć. Stellvertreter ponawia rozkaz; Horn próbuje, ale nie może nawet poruszyć głową. Wtedy tamten, chyba dlatego że Horn nie bacząc na świętą przysięgę - nie wykonał, rozkazu - podchodzi do niego i, zarzuciwszy mu szarfę orderu na szyję, zaczyna go dusić.

Horn ocknął się natychmiast, ale ucisk szyi pozostał! Rozpaczliwie sięgnął do gardła i jego palce napotkały na skórzaną linkę, którą Denck okręcił wokół jego szyi. Denck z wyszczerzonymi zębami pochyłał się teraz nad nim i, coraz mocniej zaciskając pętlę patrzył z radością, jak z Alfreda uchodzi życie.

Horn dusił się, ogarniała go czerwona mgła; nie wiedział już nic. Wiedzona instynktownym odruchem jego ręka zacisnęła się na pierwszym lepszym przedmiocie i uderzyła w tę jasną płamę nad nim.

Szklanka rozprysła się na czaszce Dencka, rozcinając mu skórę. Zaskoczony niespodziewanym atakiem i widokiem krwi, która popłynęła mu po twarzy, na moment zwolnił uchwyt, a ta sekunda umożliwiła Hornowi nabranie tchu w zbolałe płuca. Zwinął dłoń w pięść i chciał uderzyć Dencka, ale ten już się opanował i kopnął go w brzuch, po czym znów zacisnął pętlę...

*

Kay wyszła z łóżka i wsłuchiwała się w dziwne odgłosy, dochodzące z kuchni: niespodziewanie zdała sobie sprawę, że te chrypiące dźwięki to odgłosy walki. Drżącymi rękoma wyciągnęła z szuflady colta, którego zostawił Ralph - poczuła się pewniej. Otworzyła drzwi sypialni i zbiegła na dół.

Scena, która zobaczyła, była okropna: twarz Horna nie była już podobna do ludzkiej z wywieszonym językiem i wytrzeszczonymi oczami. Denck z sadystycznym uśmiechem i okrwawioną twarzą powoli dociskał pętlę. Powoli podniosła rękę z bronią.

W tym momencie Denck został szarpnięty przez konającego Horna i jego oczy spojrzały wprost w lufę potężnego colta, zaciśniętego w drobnej, kobiecej dłoni. Zszokowany puścił swego przeciwnika i jego dłoń powędrowała do kieszeni, w której tkwił jego własny Mauser.

- Na miłość boską, Kay... - usłyszała chrapliwy szept Horna i kiedy Denck już wyciągał broń, pociągnęła za spust.

Pierwszy pocisk przeszedł przez bark Dencka, wyrwijąc kawałki kości; drugi uderzył w mostek i zniszczył serce, a trzeci drasnął potylicę padającej postaci i uderzył w mur. Zanim przebrzmiał huk wystrzałów, Alfred Horn stracił już przytomność.

*

Przenieśli ciało Dencka do garażu i nakryli je Kawałkiem brezentu, po czym wrócili do kuchni. Usiedli naprzeciw siebie z mrokiem w oczach i kubkami kawy w drżących dłoniach.

- Kto to był? Jeden z tych z U-boota?

Horn skinął głową. - Mówił jeszcze z trudem, a jego głos był chrypiący i cichy.

- Może Gestapo albo SS...

- To są tacy ludzie? Szkoleni do zabijania w taki sposób?

Ponownie skinął głową i upił trochę kawy.

- Jak on cię znalazł? Przecież chyba nie przez Franka?...

Tym razem potrząsnął głową.

- Niezupełnie, ale musieli być w jego sklepie. To było w jego kieszeni...

Położył przed Kay klucze starego Żyda.

- Mogą tu przyjść jeszcze inni?

- Nie wiem... Właściwie mogą być w każdej chwili... - położył rękę na swojej szyi. - Nie, myślę, że wreszcie jesteśmy bezpieczni...

Roześmiała się histerycznie.

- Bezpieczni? Z tymi dokumentami, z przeszukującymi teren Brytyjczykami, być może z inną grupą morderców z innego U-boota i z martwym gestapowcem w garażu? I ty mówisz, że wreszcie jesteśmy bezpieczni?!

- Kay! - krzyknął ostro.

Spojrzała na niego oszołomiona.

- Przepraszam... Po tym, co zaszło, nie zmruję oka przez całą noc...

- Co będziemy w takim razie robić?

- To zależy od ciebie...

Uniósł brwi ze zdumienia.

- To zależy od ciebie, Alfredzie, ponieważ ja w dalszym ciągu chcę przekazać te dokumenty rządowi USA. Ten człowiek w garażu nie zmienił mojej decyzji... Czy zmienił może twoje zdanie?

Horn potrząsnął głową.

- On nie, ale coś się zmieniło... Ty, stary Frank, Hans Forster, mój przyjaciel z dywizjonu... Zdecydowałem się...

Czekała.

- Myślę, że tysiące innych niemieckich oficerów podjęłoby taką samą decyzję... Jedyna różnica tkwi w tym, że ja mogę zrobić to już teraz...

- Oddasz te dokumenty konsulowi USA tu, w Szkocji?

- Nie - spojrzal na nią przez stół. - To nie będzie takie proste... W rękach niektórych Amerykanów te dokumenty mogłyby zniknąć tak samo, jak chciałby tego Adolf Hitler.

- Ale one mówią też o japońskim ataku... Co za Amerykanin mógłby je zignorować?

- Na przykład prezydent Roosevelt. Według notatnika Rudolfa Hessa on na to czeka, by wymóc zniesienie neutralności Ameryki i przyłączenie Stanów do wojny, Japończycy są tylko pretekstem... Roosevelt jest związany z Anglią, już on wyszuka sposób, by użyć tych dokumentów do wciągnięcia Ameryki w wojnę.

- Wierzysz Rudolfowi Hessowi?

- On właśnie dlatego zdecydował się na ten szaleńczy lot.

- Szaleńczy?...

- Niekiedy myślę, że nie, Kay... Przeczytałem jego osobisty notes - głęboko zaczerpnął powietrze. - Może on nie był najbystrzejszym człowiekiem na świecie, ale gdzieś za nim ukryty jest potężny intelekt, to wprost wychodzi z tych notatek, choć nigdzie nie jest zapisane nazwisko tego faceta. Czytałem tu, że Hess spotykał się z kimś na Uniwersytecie w Munich... Może to jakiś akademik-antyfaszysta w jakiś sposób zdobył pewien wpływ na Hessa i nadał impuls tej całej sprawie?

- Nie rozumiem, co jest w tym notatniku - powiedziała. - I tak muszę opierać się na swoim osądzie... Proponujesz, a-byśmy oddali te dokumenty generałowi Walkerowi, jak pierwotnie planował Hess?

- Hess lub jego tajemniczy pomocnik...

- I co z nimi zrobi generał Walker?

- Zgodnie z treścią notatnika ma je przekazać komuś, kto jest określony jako AMBASADOR...

- Z małej czy z dużej litery?

- Po niemiecku pisze się tak samo, Kay. To może być jakiś prawdziwy ambasador lub jakaś konkretna osoba... Nie możemy i tak się dowiedzieć, więc nie ma sensu przejmować się tym w tej chwili. Ja to widzę w ten sposób, że musimy tylko dostarczyć te dokumenty generałowi Walkerowi.

Upiła łyk kawy.

- Jeszcze nie ma północy... Piloci, którzy czekają na swoją zmianę, by odtransportować samoloty do USA, pewnie są jeszcze w barze. Pojadę do bazy i pogadam z jednym...

Pokiwała głową do swoich myśli.

- Zostawię ci broń...

- Dobrze.

Dopiła swoją kawę i wstała.

- Czuję się jak balon, z którego wypuszczono powietrze... Te kilka dni wstrząsnęły mną...

- Zanim pojedziesz do bazy, Kay, musimy jeszcze coś zrobić...

Popatrzyła na niego z niekłamanym przerażeniem.

- Nie wymagaj tego ode mnie...

- Przecież musiałaś już robić takie rzeczy; mówiłaś, że widziałaś trupy już wcześniej!

- Hiszpania była tak dawno, Alfred... I tak wszyscy ci zabici prześladują mnie do dzisiaj w snach...

Dwunasty maja na trzynastego, północ. Londyn jest czarny i milczący, „bombowy księżyc” lekko wygląda spoza postrzępionych, wolno przesuwających się chmur. Samotny piętrowy autobus z wnętrzem oświetlonym niebieską żarówką powoli pelźnie przez ulice przysypane gruzem, pozostałym po przedwczorajszym bombardowaniu. Sobotni rajd pięciuset samolotów bombowych był największym bombardowaniem, jakie Londyn przeżył podczas całej wojny. Zginęło blisko półtora tysiąca ludzi, a tysiące odniosło ciężkie rany.

Zaciemnionymi ulicami, jak szczury, kobiety i mężczyźni z czynszowych kamienic East Endu i z bogatych willi West Endu chronili się przed bombami, starając się zdrzemnąć choć trochę na zimnych dworcach metra. Zaczęli schodzić się tam już wczesnym wieczorem, niosąc dziwnie polatane posłania. Wybierali najlepsze miejsca, kładli się w małych grupkach i patrzyli na wagony albo czytali w nieskończoność te same plakaty na ścianach tunelu:

NIEOSTŻNA ROZMOWA KOSZTUJE ŻYCIE! CZY TWOJA PODRÓŻ JEST NAPRAWDĘ KONIECZNA?

O dziesiątej wieczorem perony były wypełnione czarną masą ludzi, starych i młodych, bogatych i biednych, zdrowych i chorych; było wiele dzieci. Kiedy wybuchła wojna, większość mieszkańców ewakuowano do bezpiecznych farm na wieś, ale jednak wiele osób pozostało. W pierwszych dniach bombardowań tunele metra były miejscem towarzyskich spotkań, panował nieodłączny duch „nie damy się!” śpiewano stare piosenki, całą noc tańczono lambeth walk’a, ale po miesiącach powietrznego zagrożenia zламаł się ich duch. O północy na peronach nad ludzkim mrowiskiem wisiał ciężki zaduch. W półmroku ludzie leżeli lub siedzieli w najwygodniejszych pozycjach, w jakich mogli się usadowić, kładąc głowę na nogach sąsiada. Chrapiąc, mamrocząc, krzycząc przez sen lub wyklócając się o lepsze miejsce czekali na szary świt, by sprawdzić, czy dom jeszcze stoi, czy znajomi jeszcze żyją.

To była rzeczywistość tej wojny, która przynosiła nie walkę żołnierzy twarzą w twarz, lecz bezosobową śmierć spadającą z nieba. „Nie damy się!” było prawdą, ale wylaniało się pytanie, jak długo jeszcze.

Nad nimi puste ulice patrolowane były przez służby. W swoich stróżówkach zmęczeni ludzie czekali na nowy kataklizm, pijąc kawę lub grając w karty. Nazwy tych służb mówiły same za siebie: CIĘŻKIE RATOWNICTWO, POGOTOWIE ELEKTRYCZNE, STRAŻ POŻARNA i specjalne grupy do przeszukiwania gruzów, spod których najczęściej wyciągano zniekształcone zwłoki.

Na rogu Downing Street samotny policjant patrolował ulicę, drugi stał przy drzwiach do numeru 10. Na dachu tego jednego z najslawniejszych budynków grupa strażaków popijała parujące kakao i patrzyła na ciemne niebo, gdzie rysowały się kontury zapory balonowej.

Pod nimi, w sypialni na pierwszym piętrze Winston Churchill leżał na twardym łóżku, przykryty pojedynczym kocem, jego małe, pomarszczone stopy, które dziś nosiły już trzy pary czarnych skarpetek, wystawały spod krańca koca. Była już prawie druga w nocy, a on jeszcze nie spał: czytał po raz kolejny raport przy świetle małej lampki. Na stoliku po prawej stronie lustra leżał pieczony kurczak na tacy i na pół opróżniona butelka szampana. Obok leżały cygara: i tak były już prawie jego nieodłączną częścią składową, a chyba nikt go nie widział bez HAVANI w zębach. Odłożył raport i wyciągnął się wygodnie, patrząc na kryształowy żyrandol. Rudolf Hess mógł go zniszczyć. W jego szaleńczej wizji właśnie on, Winston Churchill, stał na drodze do pokoju w Europie. Ale jakiego rodzaju pokoju? Z triumfującym Adolfem Hitlerem? Europa w żadnym wypadku nie może zostać rządzona przez tego austriackiego malarza! Siegnął po słuchawkę telefonu.

- Kiedy przybędzie sir John Simon, niech natychmiast wejdzie.

Sekretarka odpowiedziała, że sir John powrócił przed kilkoma minutami.

- Bardzo dobrze, w takim razie niech wejdzie - powiedział Churchill i odłożył słuchawkę.

W chwilę później usłyszał kroki i wszedł sir John Simon zamykając za sobą drzwi.

- Dobry wieczór, panie premierze, czy też raczej dzień dobry...

- Dobry wieczór, Lordzie Kanclerzu - Churchill Chrząknął. - Czytałem pański raport.

Usiadł na łóżku i owinał się prześcieradłem.

- Dalej żadnych wiadomości z Niemiec, sir?

Churchill potrząsnął głową.

- Pogłoski, tylko pogłoski - powiedział i zaczął chodzić po sypialni. - Pański raport mówi, że misja Hessa odbyła się całkowicie bez wiedzy Hitlera...

- To prawda, ale Hess - jak twierdzi - jest całkowicie lojalny w stosunku do swego Fuhrera..

- Mmmmm... - Churchill zmrużył małe oczka. - Podejrzewam, że Hitler wiedział o locie i że czeka teraz na wiadomość z Ameryki. Sądzę, że jeśli misja Hessa się nie powiedzie, to Hitler się go wyprze...

- W tej sytuacji wszystko jest możliwe, panie premierze.

- Rozmawiałem telefonicznie z prezydentem Rooseveltem - koniec prześcieradła włókł się za Churchillem po podłodze. - Zgadza się ze mną, że informacje, które chce przekazać Hess, a zwłaszcza te o planowanym ataku japońskim, muszą zostać sprawdzone. On również uważa, że wysłannik Hessa, ten kapitan Alfred Horn, stanowi pewne zagrożenie i jest pewien, że jednak nie Ameryka była celem Hessa...

- Po co w takim razie Hess przyleciał do Szkocji?

- Hm, to ciężki orzech do zgryzienia. Lordzie Kanclerzu... Hess wylądował w Eaglesham, a niedaleko jest Dungavel House, dom diuka of Hamilton. Muszę porozmawiać z diukiem, bo przed wojną był on - jak pan może wie - jednym z członków Związku Niemieckiego. Być może zastępca Fuhrera miał dotrzeć do Dungavel House i tam rozpocząć swoje pertraktacje? Na pewno wierzył, że diuk of Hamilton jako par królestwa doprowadzi go szybko do jego Królewskiej Mości...

- Z tego wynika, że Hess działa jak szaleniec...

Churchill skinął głową.

- Nie możemy traktować poważnie jego oferty...

Sir John Simon wstał i w tym momencie zadzwonił telefon.

- Kiedy zatem mamy zakończyć tę sprawę; panie premierze?

Winston Churchill uniósł słuchawkę; sekretarka przekazała, że chce z nim mówić natychmiast generał de Gaulle: Premier polecił łączyć rozmowę, a sir Simonowi ruchem ręki nakazał poczekać.

- Mon general - powiedział, niemiłosiernie kalecząc francuski. - Que puis- je faire pour vous?

Zawsze uważał, że de Gaulle nie potrafi mówić po angielsku; w rzeczywistości Francuz mówił po angielsku lepiej, niż on po francusku. Teraz pozdrowił Churchilla i po krótkich formach grzecznościowych oznajmił:

- Z pewnych źródeł, panie premierze, dowiedziałem się, że w Szkocji wylądował Rudolf Hess...

- No, nie jest to niemożliwe - powiedział Churchill i natychmiast zapytał: - Proszę mi jednak powiedzieć, mon chef compagnon d'armes, co to znaczy - pewne źródła?

- Proszę bardzo. Hitler przekazał tę wiadomość godzinę temu do szwedzkiej ambasady w Berlinie.

- Tak, właśnie na to czekałem...

- Jeśli zastępca Hitlera, Hess, przekazał rządowi jego Królewskiej Mości ofertę pokoju, to jestem zmuszony poinformować, że Francja z żadnym pokojem z hitlerowskimi czy faszystowskimi Niemcami się nie zgadza. Będziemy walczyć aż do całkowitego obalenia faszyzmu!

Churchill uśmiechnął się słodko.

- A ja ze swojej strony zapewniam pana uroczyście, że intencje Zjednoczonego Królestwa są takie same.

Kiedy już odłożył słuchawkę, odwrócił się w stronę sir Johna, zarzucając skraj prześcieradła na ramię.

- Hitler nie wytrzymał nerwowo - powiedział z uśmiechem. - Proszę natychmiast opublikować oświadczenie naszego rządu!

*

Kay prowadziła szybko. Horn widział, jak zaciskała ręce na kierownicy, aż zbieleły jej palce; z trudem się opanowywała. Na tylnym siedzeniu leżało ciało Dencka, owinięte w brezent, przewiązany sznurem do białej bielizny. Księżyc nie ukazał się jeszcze na niebie i z trudem tylko można było rozpoznać teren po bokach drogi, Horn zerknął na turystyczną mapę, porównując ją z okolicą.

- To musi być gdzieś tutaj - powiedział. - Skręć w lewo...

Kay zwolniła i zjechała na błotnistą, leśną drogę. Jechali jeszcze kawałek, aż skończyły się drzewa i w świetle reflektorów zobaczyli skały. To było to miejsce.

Nocne powietrze było zimne i orzeźwiający, przesycone zapachem morza. Horn wysiadł i przeszedł do tyłu wozu, pochwycił ciało za nogi i zaczął ściągać je z jeepa. Kay podeszła i chciała mu pomóc w chwili, gdy głowa ze stukiem opadła na ziemię. Zatrzymała się ze zbielełą twarzą, patrząc w dół na przewiązany sznurem brezent. Horn puścił ciało i podszedł do samochodu, wyciągnął butelkę whisky i podał ją Kay; otworzyła ją i podniosła do ust.

- Jeszcze raz - powiedział.

Potrząsnęła głową i oddała mu butelkę.

- Już dobrze - szepnęła.

Horn skinął głową.

- Chwyć za nogi - powiedział łagodnie.

Nieśli ciało w milczeniu, wspinając się powoli na kamieniste zbocze. W pewnej chwili w świetle reflektorów samochodu Horn dostrzegł strużkę krwi, wyciekającą pomiędzy fałd brezentu. Szli jeszcze przez jakiś czas, wreszcie ukazało się urwisko. W dole, w kraterze dawno wygasłego wulkanu połyskiwała woda.

- Już sobie poradzę. Wracaj do samochodu.

Kay kiwnęła głową i zaczęła schodzić ze stoku. Horn dociągnął trupa Dencka na niewielką półkę skalną, chwilę patrzył na jezioro, uderzające dziesięć metrów niżej o skalisty brzeg, wreszcie pochwycił pakunek i pchnął mocno. Ciało wpadło w wodę z głośnym pluśnięciem, chwilę unosiło się na powierzchni, po czym zaczęło tonąć. Jeszcze wielki pęcherz powietrza pękł na powierzchni i wszystko ucichło, słychać było tylko szum wody.

- Jesteś pewny, że utonął? - zapytała Kay, gdy już jechali z powrotem.

- Tak. Wypłynie znowu, ale za kilka dni.

Wzdrygnęła się; popatrzył na nią uważnie.

- Może lepiej byłoby, gdybym pojechał z tobą do bazy?

- Nie, to zbyt duże ryzyko. Jestem już spokojna...

Księżyc ukazał się już na niebie i, gdy dojeżdżali, cała willa była skąpana w bladym, upiornym świetle.

- Niedługo wrócę - powiedziała, gdy Horn wyskoczył z samochodu.

*

Czekał przed bramą, aż warkot silnika ucichł zupełnie w oddali szosy do Prestwick. Poszedł do drzwi willi i powoli wszedł do środka. W hallu naszło go dziwne uczucie - tu został zabity człowiek...

Choć Horn już wiele razy uczestniczył w walce, która kończyła się śmiercią przeciwnika, to jednak śmierć zadawana jego ręką była bezimienna, zamknięta w stali Spitfire'a czy Hurricane'a. Kiedy je zestrzeliwywał, myślał tylko o samolocie, o maszynie, a nie o człowieku w jego wnętrzu. Denck, jednakże nie miał pancerza, był w tym samym pokoju, oddychał tym samym powietrzem... To było coś innego. Sprawdził wszystkie okna i poszedł do łazienki. Włączył światło i zobaczył, że ręce ma ciemnobrązowe od zakrzepłej krwi. Zmył ją pod kranem i z ulgą stwierdził, że nie była to krew Dencka, tylko jego własna - musiał skaleczyć się o jakiś ostry kamień. Wylał ręce i spojrzal w lustro: wyglądał okropnie, szara twarz, podkrążone oczy i sina pręga na szyi. Powieki zamykały się ze zmęczenia. Włożył głowę pod zimną wodę i poczuł się trochę lepiej. Potem zszedł do kuchni, wziął szklankę i nalał sobie mleka.

Położył się w salonie; zastony były podniesione, więc nie zapalał światła. Szczył mleko w półmroku i rozmyślał o czasach swojej młodości. Przypomniało mu się, jak kiedyś z ojcem i kilkoma jego kolegami poszli na polowanie do lasu Shwarz. Choć w dłoni trzymał szklankę mleka to wydawało mu się, że trzyma butelkę brandy, którą przed chwilą podał mu stary graf von Yorck. Widział płonące ognisko i słyszał opowieści o przeszłości, ciągle o przeszłości...

*

Obudził się nagle, słysząc kroki i gwar głosów, dobiegające od bramy. Zerwał się i wbiegł po schodach na górę. W tej samej chwili na dole otworzyły się drzwi i zapaliło się światło; z głosów wynikało, że jest tam czterech mężczyzn, a on był w pułapce i zapomniał w dodatku tej czterdziestki piątki, którą zostawiła mu Kay. Nagle usłyszał na dole jej głos:

- Wejdźcie do środka, chłopcy i rozgośćcie się. Za chwilę będę z powrotem.

Kay zaczęła wchodzić na górę. Kiedy już tam dotarła, Horn chwycił ją za ramię i pociągnął w cień.

- Alfred!

- Kto tam jest, na Boga?

- Kilku pilotów.

- Dlaczego sprowadziłaś ich tutaj, do diabła?!

- W bazie jest ostre pogotowie i nie będzie łatwo dostać się tam, a jeden z nich jest do ciebie podobny.

- Co?

- Taka sama sylwetka, ten sam kolor włosów... Myślę, że mógłbyś zająć jego miejsce.

- To szaleństwo... jak?

- Nie wiem jeszcze, może uda mi się go upić...

Głos z południowym akcentem zawołał z dołu;

- Hej, kotku, co się z tobą dzieje?

- Zaraz będę! - odkrzyknęła Kay.

- To się nie uda! - Horn ścisnął ją za ramię.

- Musimy spróbować...

- Ilu ich tam jest?

- Czterech. Chciałam sprowadzić tylko jego jednego, ale i inni się wcisnęli...

- Nie pomóż ci w czymś, kotku? - zawołał znów z dołu ten sam głos z południowym akcentem.

- Zostań na dole! - zawołała. - Wyciągnijcie butelki, są w kredensie! Będę tam, zanim wystartujecie!

*

Tressenriter był szczupły, nosił kowbojski kapelusz i buty. Scruggs miał około trzydziestu lat i był niski, krępy, o jasnych włosach. Sprawdzali teraz we dwójkę zawartość półek kredensu. Spinner siadł na krześle, a jego okrągła twarz dziecka wykrzywiła się śmiesznie, gdy łyknął pierwszy haust whisky. Travers, południowiec, usiadł nieco dalej. Był rzeczywiście trochę podobny do Horna, ale miał chyba o dziesięć lat więcej i jakiś dziwny cień na twarzy. Kiedy tylko Horn wraz z Kay zeszli do salonu, od razu zaczęli mówić mu po imieniu. Kay napełniła szklanki. Travers, na którego Horn zwracał baczną uwagę, pił więcej od innych, ale wyglądało, że nic go nie bierze. Inni już zaczęli się chwiać, a pierwszy nie wytrzymał Spinner.

- Myślę, że muszę wyjść - powiedział z zieloną twarzą.

- Idź do kibla i włóż głowę do środka - roześmiał się złośliwie Scruggs.

- Nie, dzieciak potrzebuje powietrza - zaoponował Tressenriter. - Wyjdź na zewnątrz, dziecińco, to ci dobrze zrobi!

Kay pomogła Spinnerowi wyjść do ogrodu. Travers przysunął się do miejsca, gdzie siedział Horn i stuknął o jego szklankę.

- Dwoje może się zabawić, ale sześcioro to już tłum, nie?

Horn nie odpowiedział. Travers zaczął pić prosto z butelki, a potem wyciągnął ją w kierunku Horna.

- Pijesz?

Alfred wziął butelkę i pociągnął spory łyk. Travers przyglądał mu się nieufnie - najwyraźniej obaj mieli mocne głowy. Coś w wyrazie twarzy kompana ciągle niepokoiło Horna i czuł do niego coraz większą niechęć. Odłożył spokojnie butelkę.

- Skąd jesteś? - zapytał Travers.

- Z Indianapolis.

- Kowboj, no nie?

- Zgadza się..

- Dobra, kowboju. Chłopak już się upił, tych dwóch zaraz też padnie - wskazał na Scruggsa i Trasenritera, którzy opróżniali już trzecią butelkę. - Wynika z tego, że zostajemy tylko my dwaj. Ktoś z nas musi opuścić, to towarzystwo.

- Po co?

- Żeby nie przeszkadzać drugiemu - powiedział twardo Travers.

Horn nie spuścił wzroku.

- Ja osobiście nie mam w planach opuszczenia stanowiska. Dopiero co zacząłem pić...

Travers lekko się speszył; machnął ręką.

- Zostawmy wybór damie.

Odwrocił się ze szklanką w dłoni w stronę drzwi, gdzie właśnie ukazała się Kay.

- Może pokaże mi pani swój ogród, kotku?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Teraz, w nocy?

- Jasne!

- No, dobrze - powiedziała. - Ale słuchaj, zamierzamy tam na śmierć, więc weź ze sobą butelkę.

Travers spojrział na stojącą na stole butelkę - była już pusta. Wstał, by wyciągnąć następną. Horn chwycił Kay za rękę.

- Co ty robisz? - zapytał szeptem.

- Staram się o bilet na samolot dla ciebie.

Wyszarpnęła rękę i odeszła. Travers klepnął Horna po ramieniu i poszedł za nią, uśmiechając się triumfująco.

Horn poszedł do kuchni, zostawiając Scruggsa, pokazującego Tressenriterowi, jak należy tańczyć foxtrota. W pewnej chwili zataczający się Tressenriter zwałił się prosto w ramiona kolegi i obaj potoczyli się na podłogę. Po krótkiej chwili rozległo się donośne chrapanie.

*

Miękkie oparcia foteli jeepa chroniły ich przed zimnem. Travers, był już pijany; na pół leżał na siedzeniu z butelką whisky w ręce, a drugą obejmował Kay. Jego palce wpełzały już pod jej mundur.

- Za dużo pijesz - powiedziała.

- Ja zawsze jestem trzeźwy - przyłożył butelkę do ust i dopił do końca, a potem wyrzucił ją w trawę. Popchnął otwarte drzwi wozu.

- Masz na górze jakieś pokoje?

- Tak.

- Chodźmy tam.

W kuchni Horn usłyszał trzaśnięcie drzwi i kroki. Kiedy weszli do sypialni, Kay poczuła dreszcz. Zimne, księżycowe światło oświetlało pokój. Travers zamknął drzwi, złapał ją w pół i przycisnął swe usta do jej warg w brutalnym pocałunku.

- Spokojnie... Co z whisky? - westchnęła.

- Pewnie, jeśli potrzebujesz.

Wzięła butelkę, która stała przy syfonie, pociągnęła głęboki łyk i podała jemu.

- Fajnie... A teraz powiedz mi coś - Usiadł na łóżku i skrzyżował ramiona. - Dlaczego wybrałaś mnie? Tylu chłopaków było przy barze, dlaczego do mnie puściłaś oko?

- Patrzyłeś na mnie, kiedy weszłam - powiedziała po chwili milczenia.

- Racja.

Rzucił się na łóżko, a Kay usiadła obok.

- Chcesz pić? - zapytała.

- Nie. Jestem już gotowy - patrzył na wzgórki jej piersi pod bluzką i wyciągnął rękę.

- Ostatni łyceczek - powiedziała, odsuwając się poza zasięg jego rąk i biorąc butelkę; podsunęła mu ją pod nos, ale on odepchnął jej rękę.

- Już nie...

Chwycił ją za ramiona i pociągnął na łóżko. Butelka rozbiła się o podłogę. Znow przywarł ustami do jej ust, a gdy starała się wyrwać, chwycił ją nogami i przykrył swoim ciałem. Gdy poczuła jego rękę między udami, zaczęła się z nim szamotać i walczyć w cichej, przegranej bitwie.

*

Spinner wrócił z ogrodu i obudził dwójkę w salonie. Cała trójka wyglądała na kompletnie zaprawionych, ale Tressenriter i Scruggs zdołali jeszcze nakłonić Spinnera, aby pił z nimi dalej. Zdołali opróżnić jeszcze jedną butelkę, gdy zaczęli bełkotać i razem padli znow na podłogę, pogrążeni w pijackim śnie.

Horn nie słyszał nic z sypialni na górze od momentu, gdy rozbiła się butelka. Przeszedł przez hall i wspinał się po schodach: drzwi do sypialni były zamknięte. Czekał i zastanawiał się, czy wejść do środka; kiedy wreszcie jego ręka powędrowała do klamki drzwi otworzyły się same i stanęła w nich Kay.

- Co tu robisz? - zapytała, poprawiając włosy i zapinając bluzkę.

Horn patrzył na nią wstrząśnięty, wreszcie wyszeptał:

- Gdzie jest Travers?

Kay cofnęła się i wpuściła Horna do pokoju - Travers leżał nago pod prześcieradłem.

- Weź jego dokumenty - powiedziała martwym głosem.

Horn podniósł kurtkę Traversa i wyciągnął portfel.

- Lepiej idź już stąd - powiedziała Kay.

Spojrzał na nią, ale opuściła wzrok.

- Spróbuj go tu zatrzymać aż do chwili, gdy dolecimy już na miejsce - powiedział.

- Wiem.

- Będziemy w powietrzu przez resztę nocy i przedpołudnie.

Horn czuł, że chciałby być bliżej niej, ale czuł także, że przepaść pomiędzy nimi poszerzyła się teraz i pogłębiła bardzo wyraźnie.

- Poradzisz sobie? Chyba nie będziesz...

- Myślałam, że zdecydowaliśmy już o ważności tej sprawy...

Nie pozostało już nic więcej do powiedzenia.

- Do widzenia, Kay...

- Do widzenia.

*

- Kierownica cisnęła go w brzuch, gdy prowadził jeepa w stronę bazy w Prestwick. Dawno już nie prowadził samochodu i kilkakrotnie zdarzyło mu się zachrząść biegami, ale reszta kompanii nic nie zauważyła; przewracając się z tyłu wozu.

- Gdzie Travers? - sapnął Spinner; zimne powietrze nieco go otrzeźwiło.

- Jesteśmy tu wszyscy, dziecińo - powiedział Scruggs; jego głos jeszcze chwilami przechodził w bełkot.

- Nie, Travers zginął.

- Idź spać.

- On ma rację - powiedział Tressenriter. - Przedtem było nas pięcioro. Dzieciak siedział z tyłu, pamiętasz?

- Okay, były trzy osoby z tyłu i dwie z przodu - odpowiedział Scruggs, starając się utrzymać pozycję - siedzącą.

- A trzy i dwa to pięć! - triumfował Tressenriter.

- Prowadziła ta babka, porucznik. Czterech i jedna babka to pięcioro - Scruggs zakończył dyskusję głośnym czknięciem.

W tych warunkach Tressenriter nie miał już nic do dodania przy tak druzgoczącej logice, a Skinner ponownie zapadł w drzemkę. Horn dowiedział się w czasie rozmowy w domu, że trzech z nich lata na tej samej maszynie i znają się dobrze. Na szczęście to właśnie Travers był outsiderem, którego żaden z nich nie widział nigdy przedtem.

Przed nimi wyłonili się dwaj strażnicy w mundurach komandosów i sierżant przy bramie lotniska. Horn zatrzymał wóz i sierżant podszedł obejrzeć pasażerów. Światło latarki padło na twarz Spinnera, który skrzywił się i odwrócił.

- Jesteście Amerykanami?

- Do cholery, przecież widać, że jesteście Amerykanami - to Scruggs otworzył oczy właśnie w chwili, kiedy sierżant zaświecił mu w twarz.

- Chciałbym zobaczyć wasze przepustki.

- W czym problem? - zapytał Horn.

- Mamy wojnę - odpowiedział spokojnie sierżant.

Machnął ręką w kierunku jednego z komandosów i polecił mu sprawdzić wóz, a sam zaczął przeglądać dokumenty Amerykanów. Komandos pochylał się i zaczął oglądać podwozie wozu.

- Czego on tam szuka? - zastanawiał się Tressenriter.

- Końskiego łajna - czknął Scruggs i spojrzął na sierżanta. - W porządku, sierzancie?

Ten metodycznie sprawdzał dokumenty; właśnie porównując fotografie z właścicielami zaświecił Scruggsowi prosto w twarz.

- Ej, osłepisz mnie! - zaprotestował Scruggs, ale sierżant go zignorował.

Horn czekał sprężony, gotując się do ucieczki. Przy tak dokładnej kontroli od razu wyjdzie na jaw niezgodność wyglądu właściciela dokumentów z fotografią. Jedną ręką mocno chwycił płócienną torbę, do której Kay załadowała dokumenty z teczki Hessa. Drugi komandos stał przy bramie, jakieś dwadzieścia metrów dalej, ale wciąż zerkał w stronę samochodu. Horn zdecydował, że najlepszą drogą ucieczki będzie skok na prawo, w pobliskie zarośla, było do nich aż kilka metrów, w sam raz, by nie zdołali wystrzelić więcej niż raz, jednakże nawet w takim przypadku miał niewielkie szanse. Sierżant wyciągnął rękę w kierunku Horna - nadeszła jego kolej. Wyciągnął z portfela legitymację Traversa, obłożoną w celofan i nie wyjmując jej z opakowania, podał sierżantowi modląc się, by plastik choć trochę zmienił rysy twarzy na fotografii. Sprężył się do skoku.

- Wszystko w porządku, sierzancie - to sprawdzający wóz zakończył swoje zadanie.

- Dobrze - odpowiedział sierżant i nie patrząc nawet na zdjęcie oddał legitymację Hornowi.

Brama otworzyła się i samochód wjechał do bazy.

*

Główne biuro w budynku administracji lotniska, było pełne ludzi i hałasu. Były tu załogi, które przyprawiły ze Stanów dwadzieścia B-17c, przeznaczonych dla dziewięćdziesiątego dywizjonu bombowego RAF. Wszystkich było sześćdziesięciu: pilot, drugi pilot i nawigator każdej maszyny. Rząd USA wysyłał cywilne załogi jako gwarancję neutralności i jakoby normalnej sprzedaży starych maszyn, ale niemieckie dowództwo wiedziało doskonale, o co chodzi. W ten sam sposób załatwiono przekazanie pięćdziesięciu starych niszczycieli we wrześniu 1940 roku, tłumacząc to modernizacją marynarki i wyprzedzą wycofywanego sprzętu, nie tłumaczono tylko, dlaczego nagle marynarka modernizuje się na taką skalę i dlaczego stary sprzęt jest sprzedawany wyłącznie Wielkiej Brytanii.

Horn stał wraz ze Scruggsem i Tressenriterem przy jednej ze ścian. Powietrze było gęste od papierosowego dymu i głośnych rozmów. Spinner znów poczuł się źle i musiał koniecznie wyjść na świeże powietrze. Po drugiej stronie pomieszczenia zestawiano właśnie dwa stoły, i młody kapitan dowódca komandosów wskoczył na nie i zaczął wyjaśniać powody tego zgromadzenia.

- Panowie, przede wszystkim muszę prosić o uwagę!

Amerykanie rozwrzeszczeli się jeszcze bardziej; nie byli to ludzie w stylu angielskich gentelmanów, lecz twardzi i bezpośredni potomkowie poganiaczy bydła z Teksasu i takich jak oni nie można było przywołać do porządku grzeczną prośbą. Na przykład Scruggs i Tressenriter latali poprzednio w służbie leśnej i rzadko kiedy oglądali większe miasto, a poza tym wszyscy wiedzieli, że w drodze powrotnej będą pasażerami i nie szcędzili sobie tak łatwo tu dostępnej whisky. Wszyscy byli mocno podchmieleni i w jak najgorszych nastrojach. Z korytarza wszedł jeden z majorów USAF, dowodzący samolotami, które miały wracać do Stanów.

- Bobra, chłopaki, zamknijcie się! Wszyscy chcemy jeszcze dzisiaj polecieć do domu! - wrzasnął.

Hałas nieco przycichł i kapitan mógł wyjaśnić, że zostanie teraz przeprowadzone sprawdzenie tożsamości. Wszyscy obecni mają złożyć podpisy, które zostaną porównane z podpisanymi złożonymi na liście lotu, jeszcze w Ameryce.

Horn poczuł, że brakuje mu powietrza: teraz już na pewno nie miał żadnych szans. Sprawdzanie się zaczęło. Robili to dwaj Amerykanie z bazy, siedzący przy owych dwóch zsuniętych stołach. Delikwent podchodził, podpisywał się na specjalnym arkuszu i następowało porównanie z listą lotu. Przez cały czas przyglądał się temu z tyłu kapitan komandosów. Potem kontrolujący odfajkowywali coś na liście i sprawdzany wychodził przez drzwi obok nich. Koło stołów stał major USAP i palił cygaro, spoglądając co chwilę na zegarek.

Ponieważ nie istniała żadna możliwość przemknienia się bokiem, Horn postanowił bluffować. Wyciągnął portfel i zapoznał się z podpisem Traversa. Z przerażeniem stwierdził, że musiał on być leworęczny, bowiem litery były dziwnie pochylone i niemal niemożliwe do podrobienia. Podchodził z przekonaniem, że zaraz go wykryją.

Przed Hornem stał Scruggs - Kiedy wyciągnął drżącą rękę i nie trafił tam, gdzie powinien, sprawdzający uniósł oczy w górę.

- Hej, Scruggs, co ty robisz? Schlałeś się jak świnia!

- Nic z tego, ja zawsze jestem trzeźwy - wymamrotał bełkotliwie Scruggs i zachwiał się.

- Podpisz tutaj.

- Po co to wszystko?

- Nie wiem, szukają jakiegoś Niemca czy czegoś takiego...

Scruggs niezdarnie napisał swoje nazwisko, wstrzymując oddech i zagryzając wargi. Kiedy sprawdzający skrzywił się na widok tych bazgrołów, Horn doznał olśnienia. Człowiek za stołem odfajkował Scruggsa, teraz była jego kolej. Powoli wziął pióro i udając, że

również się zatacza, napisał koślawo: R. TRAVERS, przez cały czas czując na sobie spojrzenie kapitana. Scruggs stał jeszcze obok, szukając teraz po kieszeniach zapalek.

- Hej, Scruggs, stary...

Horn zatoczył się na Scruggsa i objął go ramionami; mały człowieczek prawie zniknął pod jego ciałem. Przy stole porównywano teraz podpisy.

- Trzymaj się, stary!

Scruggs starał się bezskutecznie wyplątać z serdecznych objęć kolegi. Sprawdzający przekręcał kartkę z podpisem na wszystkie strony, starając się uchwycić choćby ślad podobieństwa. Wreszcie podniósł wzrok: właśnie w tej chwili głowa Horna opadła w pijackiej rozpaczy na pierś Scruggsa,

- On jest z tobą? Znasz go?

- No pewnie! - odpowiedział Scruggs, któremu udało się nareszcie oswobodzić.

Sprawdzający rzucił ostatnie spojrzenie na podpis, potrząsnął niedowierzająco głową, a wreszcie machnął ręką i mrużąc coś o cholernych pijakach, odfajkował nazwisko.

Horn szedł powoli zadymionym korytarzem. Przez otwarte drzwi mógł już dojrzeć koniec pasa startowego i czekające samoloty. Udało się, za dziesięć godzin będzie już w Stanach. Nagle zatrzymał się. Oprócz czekającego na Scruggsa Tressenritera przy drzwiach było sporo ludzi. Wyciągnął szyję, by lepiej widzieć: w drzwiach stało dwóch komandosów i dokładnie obszukiwali każdego przechodzącego. Jednak za wcześniej było mówić o sukcesie, wystarczy jedno spojrzenie w głąb torby Kay i już nie będzie żadnych tłumaczeń czy ucieczki. Starał się przypomnieć sobie rozkład tego budynku. No tak, biuro, w którym pierwszy raz spotkał Kay było gdzieś po lewej. Usunął się w cień; Scruggs już rozmawiał o czymś z Tressenriterem i obaj nie zwracali wcale na niego uwagi.

Wewnątrz pokoju, dostrzegł z pewnym wzruszeniem czajnik, z którego po raz pierwszy Kay naląła mu swej doskonałej kawy. Wyjrzał przez okno: widział pas startowy oraz dwie maszyny, ale dostrzegł też strażników - patrol w składzie dwóch komandosów i wysportowanego sierżanta, wszyscy uważnie rozglądali się dokoła. Do samolotów można było dostać się szybko i cicho, ale ci trzej stanowili poważny i trudny do pokonania problem. Dopomógł mu Spinner, który wytoczył się z cienia przy jednym z baraków i nieprzytomnie oglądał lotnisko. Sierżant machnął ręką na swoich żołnierzy i razem pobiegli w jego stronę. Horn dostrzegł swoją szansę. Otworzył cicho okno, przerzucił torbę i wyskoczył, po czym zaczął iść w stronę samolotów, starając się trzymać zacienionych miejsc.

Cywilnych pilotów miały odwiedzić do kraju dwa Boeingi, pilotowane przez załogi USAF. Były to potężne maszyny, pomalowane na ciemnozielony kolor, z którym ostro kontrastowały jasnoniebieskie spody skrzydeł, stateczników i kadłuba. Na burtach wymalowane były białe gwiazdy w niebieskich kołach. Horn odetchnął z ulgą, gdy wszedł pod ich stustopowe skrzydła.

Dołączył do innych cywili, którzy wchodzili do środka. Ten samolot był bardziej wysunięty do przodu, więc wydawało mu się, że wystartuje jako pierwszy. Wewnątrz nie było Scruggsa ani Tressenritera, widocznie wsiedli do drugiej maszyny. Horn wyszukał sobie wygodne miejsce pod stanowiskiem strzelca pokładowego, rozsiadł się wygodnie i zaczął rozmyślać o Kay.

Minęła jeszcze prawie godzina, zanim wsiedli ostatni z pasażerów. Trzyosobowa załoga USAF zajęła swoje miejsca i zamknęto luk. Horn ze swojego miejsca mógł słyszeć wyraźnie słowa majora, dowodzącego samolotem, które, wymieniał z załogą i więźą kontrolną. Wreszcie, wypowiedział sakramentalne sformułowanie:

- Jedyńka start.

- Jedyńka na obrotach.

Kolejno włączano wszystkie cztery tysiącdwustukonne giganty Wrighta i Latająca Forteca zaczęła powoli toczyć się po trawie. Horn poczuł, że unoszą się w powietrze i zdołał dostrzec przez okno rząd dwudziestu dostarczonych B-17c, przeznaczonych dla RAF. W tej chwili był już pewny, że się udało.

*

Stojąc przy oknie kuchni Kay zauważyła małego, czarnego ptaszka, który usiłował wyciągnąć z gestwiny krzewów jakieś upatrzone piórko. Było już jasno i właśnie zastanawiała się, jak długo jeszcze ma zamiar spać Travers. Tuż przed świtem weszła na górę, ale był jeszcze zupełnie nieprzytomny, przykryty prześcieradłem, ciągle w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła, gdy wyjeżdżał Horn i reszta ekipy. Czarny ptaszek wyciągnął wreszcie piórko i odleciał na pobliskie drzewo. Cóż, problemy nareszcie się urwały, odtąd będzie już tylko dom, coś do jedzenia, rodzina... Kay odwróciła się i spojrzała na zegarek: Horn leciał już od jakichś pięciu godzin i był teraz nad środkiem Atlantyku. Nie mogła teraz pogodzić się z myślą, że tak nagle opuścił jej życie i to prawdopodobnie na zawsze. Naląła sobie drugi kubek kawy i poszła do salonu. Była zamysłona i aż podskoczyła, gdy zegar wybił połowę godziny.

Na górce rozległy się jakieś hałasy, a po chwili szedł po schodach Travers, już całkowicie ubrany, jeśli nie liczyć butów, które trzymał w ręku. Twarz miał zmęczoną, a w oczach kaca.

- Którą masz godzinę? - zapytał trochę nieprzytomnie.

- Dziewiąta trzydzieści.

- Jezu! - rozejrzał się bezradnie dokoła.

- Chcesz kawy? - zapytała Kay.

- Tak, poproszę.

Skakał za nią do kuchni na jednej nodze, zakładając na drugą but. Usiedli naprzeciwko siebie.

- Spóźniłem się na ten przeklęty samolot - powiedział.

Kay już od kilku godzin miała na to przygotowaną odpowiedź.

- Tak, wiem. Ja też zasnęłam... Przepraszam.

Travers wziął do ręki kubek i pił powoli.

- Nie ma sprawy, to nie twoja wina... A gdzie reszta?

- Myślę, że odlecieli...

- Chryste, mogli mnie obudzić... - dopił kawę. - Doskonała!

- Chcesz jeszcze?

- Nie, muszę wracać do bazy - wstał.

- Po co teraz ten pośpiech? - zapytała Kay, zastanawiając się gorączkowo nad sposobem zatrzymania go do momentu, gdy Horn będzie już bezpieczny w Stanach.

Spojrzał na nią i zawahał się, ale wreszcie potrząsnął głową.

- Dziękuję, ale lepiej już pójdę...

- Oni zabrali jeepa... Pewnie ktoś go później odprowadzi - spróbowała rozpaczliwie wybiegu.

- Przespaceruję się, potrzebuję świeżego powietrza. Trzymaj się i jeszcze raz dziękuję.

Otworzył drzwi. Kay wiedziała, że kiedy dojdzie do bazy i opowie swoją historię, będą mogli nadać to przez radio i Horn zostanie aresztowany, gdy tylko postawi nogę na amerykańskiej ziemi. Rozglądając się w desperacji, spojrzała na telefon: kiedy zamknęły się za nim drzwi, podniosła natychmiast słuchawkę.

*

Travers zrobił już połowę drogi do bazy, gdy obok zatrzymał się z piskiem opon policyjny kabriolet. Wskoczył z niego umundurowany oficer.

- Dzień dobry, sir - powiedział ostrożnie, przyglądając się Traversowi.

- Dobry, ale nie dla wszystkich - skrzywił się Travers.

- To tylko formalność, sir, ale czy może mi pan podać swoje nazwisko?

- Pewnie! Travers, Bob Travers.

Policjant wyciągnął notes i coś sprawdził.

- A pański adres, Mr Travers?

- Ma pan na myśli mój adres w Ameryce? Jestem Amerykaninem i pracuję jako pilot...

- Jest pan, sir... - to nie było pytanie.

Kierowca również wysiadł z wozu i stał teraz z drugiej strony Traversa.

- Po co to wszystko?

- Czy ma pan jakiś dowód tożsamości? - zapytał policjant.

- Pewnie! - sięgnął do kieszeni. - Jezus, nie ma mojego portfela!

- Zapomniał go pan? - zapytał kierowca, wymieniając znaczące spojrzenie z oficerem.

Travers odwrócił się do niego; nie mógł się skupić, za bardzo bolała go głowa.

- Nie jestem pewien...

- Może go ukradziono? - zapytał sceptycznie oficer.

- To możliwe... - po krótkim zastanowieniu zdecydowanie i mocno potrząsnął głową. - Nie, ostatniej nocy byłem z kumplami, mogłem zostawić go gdziekolwiek...

- Rozumiem, sir - powiedział kierowca. - Czy byłby pan uprzejmy pofatygować się z nami na posterunek?

- Po co?

- Żeby to wyjaśnić.

- Żeby wyjaśnić? Słuchajcie, moją tożsamość mogą potwierdzić w bazie w Prestwick.

- Tak, sir. Skontaktujemy się z nimi na posterunku.

Travers skinął głową i wszedł do samochodu.

*

Pokój przesłuchań na posterunku w Tarbolton był pomalowany na zielono i miał pojedyncze, wysokie okno na przeciw drzwi. Właśnie te drzwi otworzyły się, gdy Travers zapalał drugiego z kolei papierosa i stanął w nich inspektor Jean McDonald.

- Dzień dobry - powiedział, studiując twarz Traversa okiem profesjonalisty.
- Dobry - odburknął Travers; był w podłym stanie, ciągle bolała go głowa i chciało mu się pić.
- Policja znalazła pana, Mr Travers, w drodze na lotnisko w Prestwick?
- Zgadza się.
- Jest pan Amerykaninem, który spóźnił się na swój samolot i zgubił swoje dokumenty?
- Musiałem wczorajszej nocy wypić cokolwiek za dużo i to dużo za dużo...
- Mogło tak być, ale mogło też być zupełnie inaczej - inspektor spojrzał na niego uważnie.
- Mówiłem przecież, żebyście sprawdzili na lotnisku!
- Właśnie zamierzam to zrobić - inspektor odwrócił się stroną drzwi i wyszedł.

*

W potężnej kuchni zamku Buchanan Mrs Shand, kucharka, gderała stojąc nad piecem. Była niska i pulchna, już dobrze po sześćdziesiątce i wyglądała, jakby całe życie spędziła na gotowaniu w najlepszych kuchniach.

- Za dziesięć dwunasta i Niemiec chce drugie śniadanko! - sapała. - Dwa jajka, wyobraza to ktoś sobie?! A normalny człowiek nie widzi więcej niż jedno jajko na tydzień!

Bishop uśmiechnął się do niej i odwrócił się do stosu papierów, które zalegały jego biurko. Czego tu nie było: spis rzeczy z torby Hessa, raport pilota Spitfire'a i obserwatorów z wyspy Holly Island, kopie dwóch memorandumów Churchilla do Roosevelta w wiadomej sprawie i jeszcze wiele innych. Obawiał się, że nie dojdzie z tym wszystkim do ładru nawet za tydzień.

- Chce pan herbaty - zapytała Mrs Shand, patrząc na niego ze współczuciem.
- Jeśli byłaby pani tak miła, - Bishop znów odwrócił się do niej; jajka gotowały się już dziesięć minut. - Myślałem że mają być na miękko?

- Niemiec chce takie. Jak chce, to niech ma, może się udławi!

Bishop znów się uśmiechnął. Nagle zadzwonił nowo założony telefon. Podniósł słuchawkę - to był inspektor Jess McDonald.

- Myślę, że mamy pańskiego człowieka.
- Alfreda Horna?
- Na to wygląda. Zgarnęliśmy go, gdy był o milę od lotniska w Prestwick.
- Jak go znaleźliście?
- Ktoś zadzwonił, normalna sprawa. Ten człowiek nie zachowywał się jak typowy Brytyjczyk...
- Pilnujcie - go, będę za pół godziny.

*

Zegar na wieży kościoła w Tarbolton wybił godzinę dwunastą trzydzieści. Czekając samotnie W pustym pokoju Max Bishop sprawdził zegarek - od wyjazdu z zamku nie minęła jeszcze godzina. Zaraz po przyjeździe zobaczył się z zatrzymanym i z rozczarowaniem stwierdził, że to nie Horn. wyjaśnił Amerykaninowi powód zatrzymania, a ten z kolei opowiedział dzieje, ostatniej nocy. Teraz Bishop czekał na połączenie, z dowódcą jednostki USAF w Prestwick.

Wszedł konstabl i zameldował, że już jest połączenie, Bishop podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Panie pułkowniku, tu major Bishop z brytyjskiego kontrwywiadu.
- Czym mogę służyć, majorze?
- Dwa pytania. Po pierwsze, czy samoloty, którymi wczoraj wylecieli piloci transportowi, wylądowały już w Stanach?
- Ostatnio meldowali o przeciwnym wietrze u wybrzeży USA i na razie nie mam nowych wiadomości.
- Czy ma pan nazwiska ludzi na pokładzie?
- Mam przed sobą listę lotu.
- Panie pułkowniku czy jest tam nazwisko R. Travers?
- Spojrzymy... - chwila ciszy. - Tak, jest... Travers odleciał tej nocy... Czy coś się nie zgadza?
- Jeśli można, to wyjaśnię dokładnie później. Teraz powiem jedynie, że Travers jest ze mną tu, w Tarbolton.

Bishop nacisnął widełki i rozłączył linię.

- Dajcie mi centralę transatlantycką w Londynie - poprosił operatora. - Ta rozmowa ma absolutne pierwszeństwo!

*

Drugi pilot wychylił się z kabiny i wrzasnął, przekrzykując szum silników:

- Lądujemy za dziesięć minut, chłopaki!

Horn otworzył oczy i spojrzął na drzemiących ludzi, pomiędzy którymi chodził drugi pilot, depecząc po pustych butelkach i kartach do gry.

- Obudźcie się, do cholery! Logan Field za dziesięć minut, wy pijusy!

Horn zwinął koc i wyjął z torby termos z kawą. Nie uczestniczył ani w grze w pokera, ani w pijaństwie i teraz, po kilku godzinach snu czuł się na siłach stawić czoła oczekującym go niebezpieczeństwom.

W Ameryce nie był już od trzech lat, ale ten kraj był właściwie jego drugim domem. Nie miał większych trudności z przypomnieniem sobie slangu, jakiego na co dzień używali Amerykanie, nie było z tym żadnych problemów. Gorzej, że nie wiedział, co się tu ostatnio działo. Czy benzyna jest teraz racjonowana? Nie miał pojęcia... Gzy władze wprowadziły jakieś specjalne dowody tożsamości? Nie mógł pokonać swego niemieckiego racjonalizmu i zdać sobie sprawę, że to kraj, który żyje w pokoju.

Wdrapał się na stanowisko strzelca pokładowego i ponad potężnym kadłubem zobaczył wybrzeże Nowej Anglii. Rozejrzał się na boki, szukając drugiej maszyny - była, wirujące śmigła tworzyły połyskujące, świetliste tarcze. Luftwaffe nigdy nie posiadała samolotów o takim zasięgu i takim udźwigu, a w dodatku w nocy, gdy whisky rozwiązała im języki, kilku Amerykanów chwaliło się, że jest już nowa wersja o udźwigu czterdziestu ton, a do produkcji wejdzie jeszcze w tym roku. Wstrząsnęła nim myśl o takich maszynach, lecących nad niemieckimi polami i miastami...

Fortece powoli wytracały wysokość i w końcu siadły na pasie. Obie maszyny, jedna za drugą podkołowały do końca pasa, gdzie znajdowały się budynki portu lotniczego. Rozległy się śmiechy i otwarto wąż: zaczęli wyskakiwać z samolotu na trawę. Przy samolotach czekały już trzy jeepy i Horn wsiadł wraz z innymi do jednego z nich. Zastanawiał się, czy znów nie będzie kontroli dokumentów - w pełnym świetle od razu można było poznać, że to nie on figuruje na fotografii.

Podjechali pod sam budynek portu. Zobaczył, jak wraz z innymi z pierwszego jeepa wyskakuje Scruggs i Tressenriter i idą w kierunku wielkich, oszklonych drzwi. Zdecydował w jednej chwili, że nie dołączy do nich; byłoby to zbyt niebezpieczne, mogliby zacząć pytać o Traversa. Dostrzegł, że wychodzą z drugiej strony hallu i idą w kierunku postoju taksówek, więc wszedł do hallu i przez chwilę stał w miejscu zastanawiając się, co robić dalej.

- Jakis problem, chłopcze? - starszy sierżant, jak można było sądzić po siwych włosach, niedługo przed emeryturą, stanął w drzwiach jednego z biur, na grubej, skórzanej i plecionej smyczy trzymał parę dorodnych dobermanów.

- Czekam, aż cała ta banda zniknie - powiedział Horn. - Na pewno wykończyłbym się po jeszcze jednej rundzie z tymi pijakami! Sierżant poważnie skinął głową.

- Tak, słyszałem, że te loty są cholernie ciężkie, a przede wszystkim, jeśli chodzi o whisky!

Spojrzął na swoje psy, a potem na Horna.

- Vic i Sadie! - zaprezentował.

Popatrzył na Horna, nie dostrzegając na jego twarzy wyraźnego zrozumienia dowcipu.

- Vic i Sadie - powtórzył. - Tak, jak w tym programie radiowym!

- No pewnie - Horn przytaknął bez przekonania.

Stary aż zmienił się na twarzy.

- Czyś ty z księżycą spadł? Nigdy nie słyszałeś Vica i Sadiego? - zapytał agresywnie. - Przecież są codziennie!

Horn kiwnął głową i spojrzął na wyjście - taksówki już odjechały, rozwożąc lotników.

- No, ci moi już pojechali - powiedział.

Zebrał się do odejścia, a kiedy właśnie zarzucał na ramię torbę, usłyszał syreny policyjne. Psy zastrzygły uszami i zawarczały. Czy to była atawistyczna reakcja na odgłosy polowania, czy też wyczuły jego strach? Horn cofał się powoli. Starszy sierżant patrzył to na niego, to na swoje psy, to na policyjne wozy, zajeżdżające przed budynek.

- Co się dzieje? - zapytał, uważnie przyglądając się Hornowi.

Psy zaczęły wyrwać się w jego stronę. Horn znów cofnął się o kilka kroków i rozejrzał się rozpaczliwie. Sierżant ruszył za nim.

- Zostań tam, gdzie jesteś, chłopcze - powiedział łagodnie. - Vic i Sadie dopadną cię na każdym dystansie...

Policjanci zaczęli sprawdzać taksówki i obstawiali teraz wyjście.

- Wejść do biura i połóż na stole swoje dokumenty - polecił sierżant.

Horn wzruszył ramionami i spojrzął na drzwi, do których właśnie podchodzili policjanci. Mocniej chwycił torbę, a potem gwałtownie skoczył w stronę drzwi, prowadzących na lotnisko. Zanim do nich dotarł, usłyszał zgrzyt pazurów na linoleum i dwa cielska wpadły na niego z rozpędem. Jeden z psów szarpnął kłami za torbę, a drugi rzucił mu się wprost do gardła. Horn zasłonił się ręką i w tym momencie usłyszał głos sierżanta:

- Vic! Sadie! Leżeć! Powiedziałem leżeć, do diaska!

Psy przypadły do ziemi, ale dalej szczyrzyły kły.

- Jesteś chyba stuknięty, chłopcze! Żebyście uciec i to przed dobermanami!

Weszli do biura. Horn zauważył, że do hallu wchodzi policjanci i pobladł. Sierżant zamknął drzwi.

- Czego gliny chcą od ciebie? - zerknął na wypchaną torbę.

- Mały szmugiel whisky to jeszcze nie przestępstwo...

- To nie przestępstwo...

W kieszeni wymacał tabakierkę, którą dał mu w prezencie Frank. Wyciągnął ornamentowane caczuszko.

- To angielskie srebro - powiedział, podając tabakierkę sierżantowi. - Za coś takiego dają w Bostonie jakieś pięćdziesiąt dolców...

Sierżant dokładnie obejrzał z bliska pudełeczko, wreszcie spojrzął uważnie na Horna i wskazał okno.

- Tędy, jest otwarte. Dojdiesz do autostrady i nikt cię nie zauważy...

12

Max Bishop stał przy wychodzącym na lotnisko oknie i patrzył, jak palce pułkownika Tapa Garnera uderzają o blat stołu. Pułkownik za dwa lata odchodził na emeryturę i miał cichą nadzieję, że przez te dwa lata nic się nie zdarzy. Już samo przeniesienie z Dayton na dowódcę amerykańskiej bazy w Prestwick uważał za nieprzyjemną i niezasłużoną niczym niespodziankę. Zawsze lubił postępować słowo w słowo za regulaminem, a teraz spadła mu na głowę ta cała kołomyja z cywilami. Jak ognia bał się chwili, w której ta niezdyscyplinowana banda narobi mu bigosu, a teraz jeszcze ten major z wysokimi powiązaniami...

Był potężnym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce z rzadkimi, ciemnymi włosami na głowie, która wydawała się za mała w stosunku do reszty ciała. Dorobił się przezwiska Tap ze względu na to, że przy czytaniu jakiegokolwiek raportu lub przy rozmowie jego palce wybijały jakiś dziwny rytm. Ktoś zapukał do drzwi. Pułkownik spojrzął na Bishopa i przyglądził włosy.

- Proszę!

Drzwi otworzyły się i weszła Kay. Zerknęła ciekawie na Bishopa; ponieważ światło padało z tyłu, nie widziała go dokładnie.

- To major Max Bishop z Królewskiego Kontrwywiadu - powiedział pułkownik.

- Major... - Kay przyjrzała mu się uważnie.

Bishop odszedł od okna.

- Zechce pani usiąść, poruczniku.

- Major Bishop chciałby zadać pani kilka pytań - mruknął pułkownik, szykując się do wyjścia; wyraźnie chciał ich tu zostawić sam na sam.

- W takim razie wolałabym, żeby pan pułkownik był przy tym obecny - popatrzyła wyzywająco na Bishopa.

- To nie będzie konieczne - zaprotestował Bishop.

- W takim razie nie odpowiem na żadne pytanie.

- Poruczniku Hampton! - zdenerwował się pułkownik.

- Jestem tu jako oficer czy jako obywatel amerykański? - w nieco niegrzeczny sposób przerwała mu Kay...

Przygotowała się nieco do tej rozmowy, gdy tylko została wezwana. Postawiła teraz pułkownika w niezręcznej sytuacji, bowiem jako obywatel amerykański nie była obowiązana rozmawiać z Bishopem. A jeśli miała tu być jako oficer sojuszniczej armii, to wylaniał się nowy problem: Kay była członkiem sztabu generała Walkera, a generał i jego sztab byli przełożonymi pułkownika, wolał zatem nic nie mówić.

- Jest pani tutaj, by odpowiedzieć na kilka pytań - powiedział za niego Bishop. - Informacje te mogą pomóc nam przy dochodzeniu.

- Pan uważa, że mogę mu pomóc?

- Taką mam nadzieję.

- To dlaczego nie chce pan, by pułkownik został z nami?

- Jeśli pani tak bardzo na tym zależy... - odrzekł, krzywiąc się lekko; miał nadzieję przycisnąć ją trochę, ale na to nie mógł sobie pozwolić przy pułkowniku.

Wyciągnął w jej kierunku paczkę papierosów.

- Dziękuję.

- Gdzie jest Alfred Horn? - zapytał zniechęca Bishop, kątem oka patrząc na Kay.

- Nie wiedziałam, że go znam - była doskonale opanowana.

- To ten człowiek, którego spotkała pani tutaj w sobotę wieczorem.

Kay spojrziała na niego pytająco.

- Sierżant, który miał wtedy służbę, przypomina go sobie, barman też.

- Ma pan na myśli kapitana Vincenta?

- Vincent?
- Kapitan John Vincent.
- Takiego nazwiska użył?
- To było jego nazwisko - wzruszyła ramionami.
- W porządku, gdzie zatem jest kapitan Vincent? - zapytał zimno Bishop; ta kobieta była zbyt dobrym graczem.
- Nie mam pojęcia.
- Nie ma pani pojęcia, że wziął papiery niejakiego Traversa i wyleciał nielegalnie do Stanów?
- Dlaczego miałby to robić?
- Dlaczego poleciał do Stanów?
- Nie rozumiem pytania. On przecież jest Amerykaninem, a więc dlaczego nie mógłby lecieć do ojczyzny?
- A ja skąd mam o tym wiedzieć?
- Miał ze sobą jakieś papiery?
- Papiery?
- Dokumenty, mapy? Teczkę?

Kay nie odpowiedziała od razu; udawała że się namyśla. Wreszcie stwierdziła.

- Od momentu, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, nie miał ze sobą żadnych dokumentów ani teczeki.

Bishop czuł, że ona kłamie.

- Spędziła pani kilka dni i nocy z Johnem Vincentem, a tak niewiele pani o tym wie? - Bishop podkreślił szczególnie mocno słowo „nocy”.

- Czy ja mam spokojnie słuchać tych impertynencji, panie pułkowniku?

- Niech pani wybacz majorowi, ale czy nie mogłaby pani po prostu współdziałać z nim po przyjacielsku? - Palce Tapa przyspieszyły wybijany rytm.

- No właśnie! - wpadł mu w słowo Bishop. - A wracając do tego Traversa... Pamięta go pani?

- Oczywiście!

- Zaciągnęła go pani do baru.

Kay z wyrzutem spojrzała na pułkownika, a ten skrzywił się z niesmakiem, zerkając z ukosa na Bishopa.

- To on zaprosił mnie na drinka...

- Na wiele drinków. A potem zabrała go pani do wili?

Kay skinęła głową.

- Faktycznie nieźle się pani zabawia po wyjeździe generała...

- Pułkowniku, to już przekracza dopuszczalne normy!

- Majorze Bishop... - zaapelował desperacko Garner.

- Nie interesują mnie romanse pięknej pani porucznik, ale interesuje mnie Alfred Horn!

- Jeśli ma pan na myśli kapitana Vincenta, to działał on w bezpośrednim porozumieniu z generałem Walkerem.

Pułkownik pochylił się do przodu - to zaczynało być raczej niebezpieczne i należało jak najszybciej przerwać ten temat.

- Jest pani pewna? - zapytał Bishop.

- Tak!

Pułkownik namyślał się, patrząc na Bishopa, który zadał następne pytanie:

- Pani porucznik, czy pani też działała zgodnie z rozkazami generała?

- Dokładnie tak.

Bishop chciał powiedzieć coś jeszcze, ale pułkownik powstrzymał go ruchem ręki.

- To wszystko, poruczniku, jest pani wolna, ale proszę nie opuszczać bazy.

Kay zasalutowała, i wyszła z pokoju. Bishop usiadł ciężko na krześle i zapalił papierosa.

- Muszę skontaktować się z Londynem, by wydali nakaz jej aresztowania.

Jednakże pułkownik Garner już się zdecydował.

- W takim razie niech się pan pospieszy, bo za trzydzieści minut odlatuje samolot do Stanów, a porucznik Hampton nim polec...

Bishop zgniótł papierosa w popielniczkę, wiedział że nie może już nic zrobić. Tym niemniej miał kolejny klocek do układanki

Hessa: był nim dwugwiazdkowy generał USAF - Thomas Jefferson Walker.

*

Horn zapomniał już zupełnie, jak postępują ludzie w zupełnie normalnym kraju. W Niemczech lat trzydziestych samotny człowiek mógł godzinami stać na poboczu drogi i nikt by się nie zatrzymał; wozy polowe i ciężarówki mijałyby go, a kierowcy udawaliby,

że go nie widzą. Nie była to na pewno niemiecka złośliwość, tylko niemiecka ostrożność i strach przed tym, że autostopowicz okaże się „nieodpowiednim” człowiekiem: anarchistą, zbiegłym więźniem czy też może - Boże uchowaj! - Żydem.

Kierowca wielkiej cysterny, który zabrał go wczesnym popołudniem, był człowiekiem o ostrym wzroku i mocno ukształtowanych poglądach.

- Angielskie - powiedział Jerry Green, podając paczkę papierosów.

- Dziękuję - Horn kiwnął głową.

- Byłeś tu już kiedyś? - zagadnął kierowca i, zanim Horn zdążył odpowiedzieć, palnął się w czoło i wykrzyknął: - No tak! Logan!

Ty jesteś jednym z tych pilotów, co latają do Anglii?

Horn skinął głową.

- Tak, lecieliśmy nocą.

- No i co oni tam robią? - kierowca prowadził, odwróciwszy się do Horna.

- Kto robi? - nie zrozumiał Horn.

- No, ci dobrzy! Rozpoczęli już ofensywę na drugą stronę?

- To się jeszcze przeciągnie...

- Nie przeciągnie się, jeśli my zrobimy to, co powinniśmy zrobić już w zeszłym roku!

- Co?

- Aaa, dzieciak z ciebie! Powinniśmy wszyscy robić to, co ty i twoi kumple! Tacy jak wy odwalają swoją działkę w tej wojnie, latając do Anglii! A co robi cała reszta, wyłączając siedzenie na tyłku i czytanie w ciepłym mieszkaniu, że Londyn znów odparł siedem ciężkich bombardowań? Jestem z tobą, wejdziemy w to i zakończymy tę przeklętą wojnę, mówi ci to ojciec trzech synów-żołnierzy!

Horn milczał.

- Gdzie służą twoi synowie? - zapytał po chwili.

- Jeden w Port Benning, pozostali dwaj w Port Bragg. Powiedzieć ci, co tam robią?

Horn skinął głową.

- Całe to nasze wojsko jest w tej chwili bezstronnymi obserwatorami - kierowca powiedział to z wyraźną ironią. - A w listach zawsze mi piszą, co by było, gdyby to oni byli na miejscu Brytyjczyków, ale nie chcą być. Zgadza się, że Brytyjczycy mają spóźniony zapłon, jak piszą w gazetach. No, ale przecież dali popalić Luftwaffe w BITWIE O ANGLIĘ!

Horn poczuł gniew; sam kilkaset razy latał w sam środek tej bitwy i sam słuchał później BBC, jak dodawała ilość zestrzelonych maszyn niemieckich. Piloci RAP lubili przesadzać tak samo, jak piloci Luftwaffe: każda maszyna nawet lekko uszkodzona podawana była jako zniszczona, choć z drugiej strony Brytyjczycy, i ich sprzymierzeńcy naprawdę świetnie walczyli, przygotowanie strategiczne, było idealne. To zapewniło RAF panowanie w powietrzu. Wielka operacja LEW MORSKI, sławna inwazja została odparta, jeszcze zanim statki i barki opuściły porty kontynentu. Churchill drwił, wtedy: „Hitler powiedział, że nadciąga jego armia! Czekamy, ryby czekają również...”

- Zapowiada się długa wojna - powiedział. - Cokolwiek by się nie stało, to będzie to długa wojna.

Ciążarówka pędziła w świetle zachodzącego słońca ciągle na południe, przez New Haven, Bridgeport i Stafford do Nowego Jorku. Jak zapewniał Jerry Green, jutro będą w Waszyngtonie. Horn na pół drzemał, ukołysany monotonnym warkotem silnika.

Przed Nowym Jorkiem zatrzymali się, by coś przegryźć. Przydrożna restauracja była długą budą, pełną ludzi, głośnie i jasno oświetloną; większość klientów stanowili kierowcy ciężarówek. Horn i Green kupili za dwadzieścia centów jajecznicę na szynce i zanieśli swoje porcje do długiego stołu. Nad głową Horna wisiał głośnik radiowy, który nadawał właśnie najnowszy przebieg „Chiquita Banana”.

Gdy zaczęli jeść, rozpoczął się właśnie przegląd nowości tygodniowych. Horn słuchał jak zauroczony - Du Pont wprowadził właśnie do produkcji całkowicie nowy materiał - nylon, mogący zastąpić naturalny jedwab, restauracje, obniżały ceny, w tym tygodniu o jakieś dwa centy, a amerykańskie szaleństwo motoryzacyjne zostało usatysfakcjonowane nowymi typami Lincolнів, Cheviesów czy Oldsów - w tym ostatnim wprowadzono nowe urządzenie, które czyniło zbędną dźwignię zmiany biegów. Może amerykańskie społeczeństwo nie wyrwało się jeszcze z kryzysu, ale jego energia wciąż rosła. Amerykańska część Horna cieszyła się z tego, ale niemiecka po prostu była przerażona, że ta energia zostanie skierowana przeciw jego ojczyźnie.

*

Ameryka, przez którą wieczorem trzynastego maja 1941 roku pędziła ciężarówka Jerry'ego Greena, była w dziwnym nastroju. Według sondażu Gallupe'a, przeprowadzanych co miesiąc, siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent Amerykanów nie chciało, by ich kraj wplątywał się w europejską aferę. Z drugiej strony wojenne wieści, zamieszczane we wszystkich czasopismach od San Diego po Vermont, wywoływały poczucie winy. TIMES pisał, że Ameryka popadła w schizofrenię.

Były oczywiście i wypadki ekstremalne. Wschodnie Stowarzyszenie Liberalne, które było typową organizacją probrytyjską, urządzało całe demonstracje, nawołując do przyłączenia się do wojny. Inni - tacy jak Key Pittman, członek Komitetu Stosunków

Międzynarodowych - stwierdzali otwarcie, że wcale nie byłoby źle, gdyby Anglia wojnę przegrała, projektowali nawet usunięcie administracji brytyjskiej z terenu Kanady.

Prezydent Franklin D. Roosevelt rządził podzielonym narodem, dlatego też jego posunięcia były na pierwszy rzut oka sprzeczne. Rozpoczęto ograniczony pobór i naklejano wielkie plakaty z hasłem OHIO! - „Over the Hill in the October”. Do Lend-Leasu wciągnięto również czołgi, co było niezgodne z AKTEM O NEUTRALNOŚCI, jednak cały czas prezydent Roosevelt zapewniał o pokoju; pokój królowała w jego wypowiedziach, pokój w przemówieniach, pokój na prywatnych rautach i oficjalnych przyjęciach. Ale tylko najważniejsi politycy wiedzieli, że tej wiosny Franklin Delano Roosevelt już się zdecydował.

*

W domu Roosevelta przy Hyde Park nie wybiła jeszcze północ. Prezydent, siedzący w fotelu inwalidzkim z wysokim oparciem, patrzył uważnie na swego gościa.

Dyrektor Federalnego Biura Śledczego J. Edgar Hoover od dwudziestu lat był jedną z najważniejszych postaci w Ameryce. Na wszystkich polityków patrzył z góry, wiedząc o nich takie rzeczy, o których nieraz sami nie wiedzieli. Do prezydenta jednakże odnosił się z szacunkiem. Nie podobała mu się jego lewicowo-liberalna polityka, nie podobał mu się Nowy Ład, wiedział jednak, że ten przygięty chorobą człowiek w wózku inwalidzkim ma tak olbrzymią siłę i determinację, że mógłby bez większych problemów zniszczyć nawet jego.

- Mr Hoover, nie mogę powiedzieć nic więcej - powiedział prezydent. - Alfred Horn reprezentuje samym swoim istnieniem olbrzymie zagrożenie dla naszego kraju. To zagrożenie musi zostać zlikwidowane wszelkimi środkami, nawet ostatecznymi.

Hoover zauważył, że tego zwrotu w rozmowie prezydent użył już po raz piąty. Czyżby miał na myśli coś więcej, niż odszukanie i normalne aresztowanie niemieckiego lotnika?

- Panie prezydencie, rozumiem, że nie może mi pan powiedzieć więcej ze względów politycznych, ale przecież do aresztowania człowieka jest potrzebny jakiś prawny zarzut. W obecnej sytuacji możemy jedynie zarzucić mu nielegalny pobyt, a w świetle prawa nie jest to powód do aresztowania przez FBI...

- Mr Hoover, nie mam już nic do dodania - odpowiedział powoli Roosevelt. - Jeszcze raz podkreślam wagę tej sprawy... Proszę użyć wszystkich środków, jakie uzna pan za konieczne - rozciągnął twarz w uśmiechu. - Nie ma co przeciągać rozmowy, trzeba brać się do pracy. Tylko w ten sposób możemy uzyskać jakieś wyniki.

Wracając do domu swoją czarną limuzyną, Hoover zastanawiał się nad całą tą sprawą. Prezydent chciał śmierci Alfreda Horna, to nie ulegało wątpliwości, ale przekazał to tak, że decyzja i cała odpowiedzialność spadną na Hoovera.

*

W biurze na najwyższym piętrze budynku FBI Hoover przyglądał się, jak do pokoju wchodzi mały, łysy człowieczek. Zwykle dyrektor nie dzielił się z nikim swoimi wątpliwościami, jednakże w tej dziwnej sprawie chciał się poradzić z Johnem Dolyackim, swoim najzdolniejszym inspektorem do spraw międzynarodowych. Tego ranka ponownie zadzwonił do niego Roosevelt; głos miał zimny i nieprzystępny. Do Brytyjskiej ambasady w Waszyngtonie miał przyjechać oficer kontrwywiadu, major Max Bishop. Ma spotkać się z Hooverem i zostać dopuszczony do sprawy, a co więcej, należy mu ułatwić wszystko i wykonywać jego prośby. Ogólnie wygląda na to, że ten Anglik przejmie kontrolę nad operacją.

Hoover był wściekły - przecież to nie do pomyślenia, by Anglicy sprawowali kontrolę nad amerykańskim wywiadem! Był wściekły, ale nie mógł nic zrobić. Jeśli Roosevelt stawia tak twardo sprawę, to nawet on nic nie poradzi. - Dolyacki wszedł do biura i na zapraszający gest szefa przysiadł na rogu stołu. Legendarnego dyrektora FBI spotkał poprzednio zaledwie kilka razy. Dziś Hoover był wyraźnie zły.

- Wczoraj pewien niemiecki oficer dostał się do naszego bombowca w Anglii i przyleciał do Bostonu - powiedział powoli dyrektor; odchylił się do tyłu i wziął z półki plik papierów. - To są telexy na temat tego, co wiada o nim Brytyjczycy; to może być prawda, to może być część prawdy i może to też być stek bzdur...

Dolyacki patrzył, jak jego szef przegląda druki.

- Dane z Luftwaffe... Rodzina na Pomorzu, ojciec generał, zmarł w 1931, matka Niemko-Amerykanka, zmarła w 1938. Co to, u diabła, znaczy Niemko-Amerykanka? Jakby napisali, że to Amerykanka, to i tak... - przewracał kartki. - Zestrzelony nad Wielką Brytanią, ucieka do Ameryki...

Odłożył papiery na stół i spojrzał na podwładnego.

- Dlaczego jest to takie ważne, Dolyacki? Dlaczego sprawę przekazał mi bezpośrednio prezydent? Dlaczego ma brać udział w tej sprawie major z angielskiego wywiadu? No, o co w tym chodzi, Dolyacki?

Dolyacki czytał właśnie telex: czuł, że zbliża się coś bardzo ważnego. Hoover nie wyciągnął z tych informacji żadnych wniosków, ale on, który specjalnie interesował się wydarzeniami za granicą, czuł to. Horn wyleciał z bazy w Prestwick, oddalonej zaledwie o piętnaście mil od miejsca, jak podał szkocki HERALD, wylądował Rudolf Hess. Dolyacki czuł, że nadarza się okazja do zrobienia kariery. John Dolyacki był siódmym dzieckiem Węgra i Czeszki, urodzonym w małym miasteczku w Karpatach. Kiedy w rodzinie

Dolyackich urodził się pierwszy syn, pierworodny po sześciu córkach, zabrzmiały dzwony. Potem rodzina mieszkała w Pradze, gdzie ojciec był średnim urzędnikiem państwowym. Niestety, nadszedł dzień, gdy Kiklos Dolyacki został zwolniony z posady i osadzony w więzieniu pod zarzutem korupcji. Młody Jan Karl, bo tak brzmiało europejskie imię Johna Dolyackiego, musiał wziąć swój los we własne ręce. Natychmiast wstąpił do wojska, do Trzeciego Imperialnego Regimentu Ułanów i wraz z nim pomaszerował na front włoski, pod Triest. Odgrodzeni całkowicie od włoskiej armii przez armaty i zwoje drutu kolczastego oficerowie nudzili się w swych kwaterach na Caserma Rosetti w Trieście, pili szampana, grali w karty i włóczyli się po lupanarach. Podczas tej czteroletniej wojny młody Jan przywoził do domu prawie co tydzień spore sumki pieniędzy. Nadeszła wreszcie chwila, kiedy armia niemiecka poddała się na froncie zachodnim. Kaiser abdykował i Imperium Austro-Węgierskie zaczęło chwiać się w anarchii. W tym samym roku umarła matka Jana, ale ojciec został przez nowy rząd wypuszczony na wolność i zamieszkał u swego brata w Tyrolu. Siostry powychodziły za mąż lub poprzyłączały się do socjalistycznych ruchów w Pradze czy w Wiedniu, a Jan Karl Dolyacki został zwolniony z obowiązku opieki nad rodziną. Pół-Węgier, pół-Czech mówiący po niemiecku Jan Dolyacki ruszył do Ameryki i postarał się tam o obywatelstwo amerykańskie. Nigdy się nie ożenił; miał kilka miłosnych przygód, nawet homoseksualnych, ale z nikim nie związał się na stałe. Zdarzyło się mu wpłatać w zabójstwo pewnego Anglika i w ten sposób nawiązał kontakt z Federalnym Biurem śledczym. Ponieważ mówił po węgiersku, czesku, niemiecku, włosku i angielsku, został najpierw zatrudniony jako ekspert językowy. Przez okres kilku lat wykazał się przy różnych, międzynarodowych prawach i teraz, w maju 1941 roku był już samodzielnym i energicznym inspektorem.

Dolyacki zerknął znad papierów na szefa - nie miał zamiaru dzielić się z nim swoim odkryciem na temat związku Horna z Hessem.

- Prezydent powiedział wyraźnie, że ten Alfred Horn musi być złapany - powiedział powoli Hoover i na chwilę umilkł.

- Przy użyciu wszelkich środków...

Oczy obu pracowników FBI spotkały się.

- Wszelkich środków, inspektorze. Musimy go mieć żywego lub martwego... Zrozumiał mnie pan?

- Bardzo dobrze, sir.

- Proszę mnie informować na bieżąco o przebiegu sprawy.

*

Wjechali do miasta, gdy wschodzące słońce ledwo prześwitywało przez niską mgłę. Jerry Green, ostrożnie prowadząc swoją wielką maszynę w miejskim tłoku, rozmawiał ze swoim pasażerem.

- Mówisz, że masz tu interes... jeśli szukasz kotka, to ja mogę pokazać, gdzie znajdziesz takiego, że hej!

- Raczej nie - odpowiedział ostrożnie Horn głowiąc się, o czym mówi Green.

- Najlepsza w Waszyngtonie! - zachwalał kierowca. - I ma pokój w naprawdę dobrym hotelu. Bierze dziesiątaka minimum - to nie te za trzy dolce!

Horn uśmiechnął się - już wiedział.

- Dziękuję - powiedział.

Na rogu przy Union Station wyskoczył z kabiny.

- Musisz się ogolić i umyć - powiedział Green. - A jeżeli będziesz chciał kupić nowe ubranie, nie daj się nabrać na więcej niż jakieś osiemdziesiąt dolców. Trzymaj się!

Trzasnął drzwiczkami, uśmiechnął się i wduśił gaz.

*

W maju 1941 roku mieszkańcy Waszyngtonu zaczęli wierzyć, że dziwny, pięcioboczny budynek przy Potomacu zostanie ukończony. Wiadomo było, że był przeznaczony na nową kwaterę główną dowództwa US Army i zaczęto już nazywać go PENTAGONEM. Dwa boki były już ukończone i każdego ranka, brązowe Lincolny przywoziły generałów, którzy krzywili się na nowoczesne wyposażenie wewnątrz swoich biur. Kiedy w 1940 roku rozpoczęto budowę tego gmachu wydawało się, że będzie to pomnik biurokracizmu, przewagi kierownictwa nad konkretnym wojskiem, ale mobilizacja zmieniła wszystkich: już pod koniec roku PENTAGON kontrolował jedną z największych oraz najlepiej wyposażoną armię na świecie.

Generał Thomas Jefferson-Walker zajmował biuro na pierwszym piętrze, z okien którego rozciągał się widok na nieukończoną budowę. Słychać było gwar robotników, szum samochodowych silników i dźwigów. Ale w ten środowy poranek generał Thomas J Walker nie miał czasu na przypatrywanie się postępowi prac budowlanych. Przed nim siedziało dwóch mężczyzn, uważanych za najpotężniejszych w Waszyngtonie.

Ted Markland i John Caspiani byli senatorami z ramienia Partii Demokratycznej i w niedawnej kampanii wyborczej byli w posiadaniu mandatów kandydackich na prezydenta. Po zwycięstwie Roosevelta ze zgrozą patrzyli na triumf wschodnio-liberałów i program Nowego Ładu - który musiał przecież zniszczyć indywidualność i niezależność Stanów.

- Radio niemieckie podało dziś, że Hess zaginął i... Według nich planował opuszczenie Niemiec - powiedział Markland.

- W BBC jeszcze nic nie było - Caspiani potrząsnął głową.
- Jeśli Brytyjczycy mieliby w rękach zastępcę Fuhrera, to na pewno chcieliby, żeby dowiedział się o tym świat...
- W istocie - powiedział przygnębiony Walker. - No cóż, po prostu musimy przyjąć, że jego samolot rozbił się nad Morzem Północnym albo co gorsza został zestrzelony już nad lądem...
- Dlaczego co gorsza? - zapytał Markland. - Czy rozbił się nad morzem, czy został zestrzelony przez RAF nad Szkocją, to i tak cała sprawa się skończyła.
- Dlatego gorzej, że Brytyjczycy mogą łatwo się domyśleć, gdzie leciał Hess - przecież jest tam nasza baza.
- No i? - zapytał Caspiani. - Co w tym złego, że będą myśleć, że Ameryka chciałaby zakończyć tę wojnę?
- To, że ja dowodzę tą bazą, a nikt nie dał mi oficjalnego polecenia nawiązania stosunków z tym Niemcem. Polityka to polityka, ale nie chcę być kozłem ofiarnym.
- Co z pańskim człowiekiem w Szkocji? - Markland zignorował wybuch generała.
- To kobieta, porucznik Kay Hampton. Miała się ze mną porozumieć, gdy tylko będzie coś wiedzieć, a teraz nie mamy w ogóle żadnego kontaktu ze sobą... - spojrzal na obu senatorów. - Spójrzmy prawdzie w oczy: jest tylko jedno wyjaśnienie tego faktu...
- Jakże? - zimno zapytał Caspiani.
- Brytyjczycy mają Hessa. Kiedy go złapali, zmusili do mówienia, a kiedy dowiedzieli się, że miał dotrzeć do Prestwick, bez trudu znaleźli Kay Hampton.
Caspiani spojrzal na Marklanda, który wolno skinął głową; obaj wstali.
- Mogło się tak stać, generale i byłby to wielki cios dla nas.
- Jeszcze chwilę, panowie! - ostry ton Walkera sprawił że obaj odwrócili głowy. - Mówiliście, że ten człowiek, Hess, miał się tu spotkać z jednym z największych polityków naszych czasów...
- To prawda, generale - odpowiedział sucho Caspiani. - Tak wielkim, że drugi po Hitlerze człowiek w Niemczech chciał się z nim spotkać, nie zważając na trudności.
Generał Walker poszarzał na twarzy.
- Chcę znać nazwisko człowieka, do którego miał przybyć Rudolf Hess.
Markland popatrzył na niego jak na wariata.
- Zapomnij pan o tym - powiedział szybko Caspiani. - Jak sam pan powiedział, sprawa jest zakończona.
- Ale ja ponoszę odpowiedzialność! - rozłościł się Walker.
- Wiedział pan, w co się pan pakuje, generale - powiedział spokojnie Markland.
- Potrzebuję pomocy, a kto może udzielić mi lepszej, jak nie ten człowiek?
Senatorowie jak na komendę potrząsnęli głowami.
- Ten człowiek nie może panu pomóc - Caspiani położył rękę na klamce. - Proszę zrozumieć, że jeśli Hess jest w rękach Brytyjczyków, to nazwisko tego człowieka w żadnym wypadku nie może zostać opublikowane.
Kiedy byli już na pustym korytarzu, Markland potrząsnął głową.
- Ten generał już nigdy nie pójdzie wyżej.
- Zapomnij o nim. A co do jutra... Przyjdziesz?
- Jutro wieczorem. Mam nadzieję, że do tego czasu wszystko się uspokoi...
- Nie denerwuj się tak - powiedział Caspiani. - Ludzie wybrani do tej roboty są w porządku.
- Może...

Obaj mężczyźni opuścili budynek, kierując się do zaparkowanego obok Lincoln.

*

Alfred Horn przeszedł przez Union Station, kierując się w stronę automatów telefonicznych. Czekala przed nimi mała grupka ludzi, więc przyłączył się do nich. Po chwili oczekiwania nadeszła jego kolej: kobieta, rozmawiająca w jednej z kabin odwiesiła słuchawkę i zbierała się do wyjścia. Horn podszedł i przytrzymał jej drzwi; uśmiechnęła się w podziękowaniu.

W biurze generała Walkera zadzwonił telefon. Pochylił się nad biurkiem i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Ktoś do pana, generale - powiedziała sekretarka. - Mówi, że z wiadomościami od porucznik Hampton.

- Proszę go połączyć.

Twarz mu się rozpogodziła. Może jeszcze nie wszystko jest stracone, może będą o nim jeszcze mówić, że był tym, który nie bał się zaryzykować, by przywrócić pokój w Europie.

- Generale Walker, muszę się z panem niezwłocznie spotkać - mówił bez wątpienia Amerykanin.

- Rozumiem - powiedział Walker; spojrział szybko na zegar, zawieszony na ścianie. - Powiedzmy, za pół godziny w moim biurze. Będzie pan mógł?

- Będę tam - powiedział Horn i odwiesił słuchawkę.

Jeszcze przez chwilę stał w budce i zapalał papierosa, aż następny z kolejki podszedł i ostro zapukał w szybę. Poszedł szukać taksówki; za budynkiem dworca zobaczył długą linię żółtych wozów.

- Chciałbym się dostać do tego nowego budynku po drugiej stronie rzeki - powiedział Horn, wsiadając do pierwszej z brzegu.

- Do tego cholernego pałacu? Dobra. Ludzie nazywają go po prostu PENTAGONEM.

Droga była krótka. Horn zapłacił taksówkarzowi i powoli podszedł do strażnika, przepuszczającego właśnie ciężarówkę z piaskiem. Ten bez sprawdzania dokumentów wskazał mu drzwi, gdzie mógł dowiedzieć się o generała Walkera i wszedł do hallu. Nie zauważył tu nic niepokojącego, tylko przy schodach stał sierżant w białej czapce i rozmawiał z jakimś cywilem. Horn podszedł do kaprała, który siedział za biurkiem, by zapytać o generała. W tej właśnie chwili sierżant i cywil przerwali rozmowę i nagle Horn zobaczył dwugwiazdkowego generała, schodzącego po schodach w otoczeniu dwóch oficerów z MP. W pewnej chwili wzrok generała napotkał spojrzenie Horna i Walker opuścił głowę. Sierżant MP otworzył drzwi, a Horn zwrócił się do kaprała:

- Co tu się dzieje?

Kapral też patrzył, jak zamykają się drzwi za Walkerem i jego eskortą.

- To, co pan widział, sir. Myślę, że ten generał został po prostu aresztowany... - spojrział uważnie na Horna. - Czym mogę panu służyć?

Horn spostrzegł, że sierżant i jego cywilny towarzysz podchodzą do biurka, przy którym stał.

- Z kim pan chciał się widzieć? - ponowił pytanie kapral.

Sierżant i cywil przysłuchiwali się z zainteresowaniem. Horn położył torbę na blacie biurka..

- Z tobą - powiedział do kaprała.

- Ze mną?

- Dlaczego nie, mój synu? - Horn uśmiechnął się łagodnie.

- Jestem John Chapman z Kościoła Chrystusa Ukrzyżowanego. Chciałbym porozmawiać z tobą o wierze, a tutaj mam książki, o których możemy rozmawiać...

- Nie dzisiaj - skrzywił się kapral.

- Nie ma lepszego czasu niż obecny - namawiał Horn.

- Proszę dać mi spokój; powiedziałem, że nie dziś - kapral popchnął torbę w kierunku Horna. - W ogóle jestem katolikiem.

- Aha... - Horn udał rozczarowanie; potem odwrócił się do tamtych dwu. - A panowie?

- Idź swoją drogą, bracie - powiedział bezceremonialnie ów cywil.

- Znowu katolicy? - zapytał Horn przeproszającym tonem.

- Powiedziałem, żebyś ruszał swoją drogą. To instytucja wojskowa!

- Wojskowi też potrzebują Boga, przyjacielu.

Cywil wskazał mu drzwi.

- Won! I żebyś cię tu więcej nie widział!

Horn uniósł ramiona w geście poddania i wziął swą torbę. Kiedy się odwrócił, zadzwonił telefon. Kapral podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał i w momencie, gdy Horn był o dwa kroki od drzwi powiedział do cywila:

- Strażnik mówi, że chciał pan wiedzieć o każdym, kto pyta o generała Walkera...

Horn pchnął ramieniem drzwi i wybiegł na zewnątrz. Zanim tamci wybiegli za nim, miał już trzydzieści metrów przewagi; kiedy biegł, usłyszał trzask drzwiczek samochodu. Przed nim grupa robotników przerwała kopanie, by popatrzeć na dziwny pościg.

Dolyacki, siedząc obok prowadzącego wóz sierżanta zobaczył, że uciekinier biegnie w tę stronę, skąd nie ma ucieczki - plac był z trzech stron ogrodzony metalowymi dźwigarami. Uśmiechnął się lekko.

Horn także dostrzegł, że wpadł w pułapkę. Popatrzył na dźwigary i kiedy jeep Dolyackiego dojeżdżał już do niego, podjął szaleńczą decyzję: przerzucił swoją torbę nad rzędem stalowych prętów, a potem na oczach zdziwionych robotników skoczył, czepiając się prętów i wspinając na nie. Z wysiłkiem przerzucił ciało nad szczytem dźwigarów i znikł z oczu pościgu.

Sierżant MP zaklął, zawracając jeepa. Dolyacki był teraz absolutnie pewien, że ten człowiek był sportowcem i że jest to na pewno Alfred Horn.

Tymczasem Horn, silnie chwyciwszy torbę gnał pomiędzy przeszkodami w rodzaju metalowych dźwigarów, betonowych słupów czy dołów, wypełnionych brudną wodą. Nawet gdyby był w pełni sił, jak podczas olimpiady, i tak nie uzyskałby takiego czasu, ale wtedy nie gonił go strach. Teraz usłyszał za sobą pierwszy strzał i podwoił wysiłek zupełnie bez udziału woli. Kiedy wreszcie zatrzymał się przy jakiejś drewnianej szopie, oddychał ciężko i drżały mu mięśnie. Rozejrzał się ostrożnie. Niedaleko była brama, przez którą wjeżdżały i

wyjeżdżały ciężarówki. Strażnicy dokładnie sprawdzali te wjeżdżające, ale wyjeżdżające odprawiali szybko. Horn podszedł bliżej, kryjąc się za czym się tylko dało. Kiedy mijała go kolejna ciężarówka, podbiegł od tyłu i podciągnął się na pakę, gdzie cicho przywarował w kącie. Ciężarówka zatrzymała się przy strażnikach, ale ci szybko ją przepuścili.

Siedząc w głębokim cieniu na pace ciężarówki Horn zauważył, że jadą z powrotem przez most na drugą stronę rzeki w stronę miasta. Całe życie spędził w walce, jako uczestnik igrzysk olimpijskich i jako pilot myśliwca, to nauczyło go opanowania. Zapalił papierosa, gdy ciężarówka wjechała do miasta i zaczął zastanawiać się, kim byli ci jego prześladowcy. Nigdy przedtem nie widział tego cywila, ale coś mu mówiło, że będzie to jego najgroźniejszy przeciwnik. Na światłach wyskoczył z wozu i wszedł na chodnik.

Zbliżał się wieczór, ulice pustoszały. Horn zastanawiał się, co robić - samotny przechodzień z dziwną torbą na ramieniu na pewno zwróci uwagę policji. Z tą torbą musi coś zrobić... Czuł, że nawet jeśli go złapią, to bez tych papierów ma większe szanse. W pierwszej chwili pomyślał o Kay. Ona miała tu gdzieś mieszkanie i było ono w miarę dobre na kryjówkę, bo nawet jeśli przesłuchują ją teraz, to nikomu nie przyjdzie do głowy interesować się jej mieszkaniem trzy tysiące mil dalej. W budce telefonicznej sprawdził adres Kay, a potem w jakiejś kafejce przy szklance herbaty powsadzał wszystkie dokumenty do kopert i ponaklejał na nie znaczki. Po chwili zaadresowane koperty powędrowały do skrzynki na listy. Kay nie było, a jej mąż, ten marynarz Ralph, przybędzie dopiero za kilka dni. Przez te kilka dni dokumenty poleżą spokojnie u niej, a jeśli będzie trzeba, to włamie się do jej skrzynki pocztowej... W ten sposób jeden problem miał z głowy.

Kiedy znów ruszył stwierdził, że znalazł się w innej dzielnicy - spotykał po drodze więcej czarnych i biedoty. Był to rejon tanich hotelików z czerwonymi neonami nad oknami tuż przy ziemi. Zatrzymał się przed hotelem CHELVERTON. Wiedział, że ryzykuje, że być może policja już go tu też poszukuje, ale gdzieś musiał spędzić tę noc, a czuł instynktownie, że jednak będzie bezpieczniejszy w hotelu niż gdzieś w parku czy przy drodze.

Zszedł po kilku kamiennych stopniach i otworzył oszklone drzwi. W małej recepcji, pomalowanej na jasny orzech, siedział błądy człowiek w lekko brudnej koszuli i czytał gazetę. Gdy uchyliły się drzwi, spojrzął na Horna, który położył już torbę pod kontuarem.

- Chciałbym pokój na noc. I, jeżeli macie, to z prysznicem.

Recepcjonista odłożył gazetę.

- Dolar czterdzieści z prysznicem, mister.

- Okay.

- I ćwierć za klucz.

- Dobra.

Sięgnął pod kontuar i wyciągnął wielką księgę.

- Na jedną noc, powiedział pan?

- Może dłużej, nie jestem jeszcze pewien.

- Dolar czterdzieści teraz i dolara za każdy kolejny dzień u nas, jeśli będzie pan przychodził tylko na noc.

Horn zeszywniał.

- Gwarantujemy, że nikt nie będzie używał pańskiej pościeli, mister.

Horn potrząsnął głową.

- Biorę na cały dzień. Płacę za dwa dni.

- Proszę tutaj.

Człowiek podsunął mu księgę. Horn wziął do ręki ołówek, przywiązany do księgi i po sekundzie namysłu wpisał: JOHN P. LOCKE, SAN DIEGO, KALIFORNIA. Wyglądało na to, że byłoby to wszystko. Człowiek za kontuarem wziął pieniądze i podał mu klucz do numeru 32.

- Trzecie piętro bez windy - powiedział. - Potem do końca korytarza.

Horn wziął klucz i wszedł na schody. Numer 32 był małą, prostokątną kłitką dziewięć na dwanaście stóp ze skrzynią, w której mieścił się prysznic. Z okna widać było tory kolejowe, a za nimi lokomotywnię. Rzucił torbę na podłogę. Przede wszystkim musiał się czegoś napić, a potem coś zapalić. Siedząc na brzegu łóżka, bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem w życiu, czuł się bliski załamania. Całe życie sportowca, a potem lotnika nie przygotowało go do takiego przebiegu wydarzeń. Przez moment ciałem wstrząsnął spazm, ale oczy pozostały suche. Wreszcie wstał i wyszedł by znaleźć jakiś bar.

Dolyacki stał w wykładanej dębem sali w brytyjskiej ambasadzie przy Massachusetts Avenue i spoglądał przez okno na czerwono-białe dywany róż. W nastrojowym świetle małych latarni przechadzali się dzisiejsi goście ambasady. W grupie kilku osób, wznoszących właśnie jakiś toast kieliszkami pełnymi szampana nietrudno było rozpoznać sylwetkę lorda Halifaxa, ambasadora, strzeżonego

dyskretnie przez młodych ludzi w eleganckich, ciemnozielonych mundurach z naszywkami Królewskiego Pułku Strzelców. Gdy spoglądał na ochronę ambasadora, przypominały mu się czasy austriackiej kawalerii: wtedy cała Europa była pełna różnokolorowych mundurów. Po raz pierwszy od lat poczuł przyływ nostalgii. Odwrócił się od okna i w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Wszedł przez nie szczipły oficer w mundurze majora i John Dolyacki od razu wiedział, że to zapowiadany Max Bishop.

- Dostał pan moją wiadomość o generale Walkerze? - zapytał Bishop po krótkim powitaniu.

- Aresztowałem go dziś wieczorem - odpowiedział zdawkowo Dolyacki. - Przyniósł pan zdjęcia Alfreda Horna?

Bishop podał mu plik zdjęć w kopercie. Dolyacki wyciągnął pierwsze z nich i przyjrzał się uważnie; po chwili pokiwał głową.

- On był u generała Walkera wieczorem. Niestety, zdołał nam uciec, dosłownie rozplynął się w powietrzu. Szkoda, że nie dostałem tych zdjęć wcześniej.

- Pracuje pan szybciej niż myślałem - powiedział Bishop. - Zbyt szybko... Zastanawiam się, czy nie pospieszycie się z aresztowaniem Walkera.

Spoglądali na siebie w półmroku, panującym w pokoju; z ogrodu dolatywały dźwięki muzyki i strzępy rozmów.

- Dobra - powiedział wreszcie Dolyacki. - Myślę, że wyjaśni mi pan, o co w tym wszystkim chodzi. Nie mogę prowadzić dochodzenia, nie znając szczegółów.

- Pan nie będzie go prowadził, Dolyacki - odparował Bishop zimno. - Ja będę.

- Potrzebuję informacji.

- Mam jedynie dowiedzieć się, co pan wie, a nie odwrotnie. Taka była umowa naszych rządów...

- Nic nie wiem poza tym, że zastępca Fuhrera zdecydował się lecieć do Szkocji.

Dolyacki spróbował zaszokować go swoimi wiadomościami i zmusić do błędu, ale Bishop milczał.

- Dobra - kontynuował Dolyacki. - Idźmy dalej, Alfred Horn przyleciał razem z Hessem i chcieli dostać się do Waszyngtonu, ale Hess złamał rękę czy nogę i od tego czasu Horn działa sam, starając się dostarczyć dokumenty do generała Walkera...

Bishop popatrzył na niego z niekłamanym podziwem.

- No i mamy dwie osobne sprawy, majorze: po pierwsze odzyskać te papiery, po drugie dostać Alfreda Horna.

- Dostać?... - wolno zapytał Bishop.

- Dostać, zanim zaczniesz mówić wszystkim, którzy zechcą go słuchać, o co tu chodzi. Milczenie jest złotem...

Bishop wyjął z kieszeni papierosa, włożył jednego do ust i zapalił. Mocno akcentując słowa powiedział:

- Mam rozkaz odszukać tego Alfreda Horna i aresztować go. Rząd USA zgodził się na jego deportację do Kanady.

Dolyacki popatrzył na niego z ukosa, ale nie powiedział ani słowa.

- Jeśli ma pan inne rozkazy, Mr Dolyacki, muszę o tym wiedzieć.

Dolyacki potrząsnął głową.

- Nie mam, majorze.

- Aresztować i deportować do Kanady. To są nasze rozkazy...

- Tak, majorze - przytaknął Dolyacki. - Dokładnie tak..

Zapadła cisza. Bishop zrozumiał, że Alfred Horn nigdy nie zostanie ujęty żywy przez inspektora Dolyackiego.

- Dobra - powiedział Dolyacki po minucie ciężkiej ciszy. - Powiedziałem, co wiem. Od czego teraz zaczniemy?

*

Nie miał żadnego planu, gdy tak spacerował po ulicach, oprócz kupienia butelki whisky, i nowej paczki papierosów. Bez tej przeklętej torby nie odróżniał się już tak od innych przechodniów, nikt by nie powiedział że to oficer Luftwaffe, pośród tych wszystkich spieszących się do autobusów czy czytających gazety z najświeższymi wiadomościami. Mijali go różni przechodnie, mężczyźni bez marynarek, kobiety w krótkich, kolorowych sukienkach, nikt nie zwracał na niego, uwagi. Pomyślał o Kay... Co robi teraz na tej dalekiej wyspie, pogrążonej w wojennym mroku?

Przeszedł skrzyżowanie, minął jakieś wystawy, kino, potem znów wystawy. Nagle zatrzymał się, zawrócił odruchowo i wszedł do kina. Kupił bilet za trzydzieści centów na „To zdarzyło się pewnej nocy” i już po chwili siedział w fotelu wśród strzałów i okrzyków, dobiegających z ekranu. Widownia była w połowie pusta w mroku mógł zauważyć cienie głów innych widzów. Tu, z dala od wciśniętych oczu mógł wreszcie nieco się odprężyć i pomyśleć, co dalej.

Na ekranie Claudette Colbert, ostrzyżona na chłopaka i ze swym sławnym na cały świat uśmiechem, od którego tworzyły się na jej twarzy śmieszne dołki rozpoczynała kłótnię z Clarkiem Gable. Horn zaczął oglądać film, zrzucając myśli o przyszłości na samo dno umysłu. Pół godziny później pojawiły się napisy końcowe i rozpoczął się przerywnik z wiadomościami. Jakiś człowiek o nazwisku Fitzgerald komentował swój reportaż z wizyty w Japonii. Były odwiedziny wielkiej świątyni Shinto w Tokio i początek herbacianej ceremonii - wszystko utrzymane w słodkim, pastelowym nastroju. Ani słowa o manewrach krążowników admirała Yamato czy o militarystycznych demonstracjach w Kraju Kwitnącej Wiśni. Potem znów rozpoczął się western: strzelaniny, preria, okrzyki Indian, a po

kilkudziesięciu minutach Claudette Colbert znów po raz pierwszy spotkała Clarka Gable. Horn wysiedział do końca, potem cały dodatek o Japonii i znów rozpoczął się film.

W połowie filmu przymknął oczy. Znow ogarnęła go nostalgia: chciał ponownie usłyszeć niemiecki głos, znów móc mówić po niemiecku. Gdyby poszedł teraz do niemieckiej ambasady, mógłby wyłożyć całą sprawę przed, wyższymi dyplomatami. Tacy ludzie - normalni Niemcy - zrozumieliby go i na pewno potrafiliby przekazać jego wyjaśnienia Berlinowi, a dokumenty, które wysłał do Kay, mógł odebrać... Czy wyjaśnił wszystko Kay? Czy ona, Hans Forster i Frank powiedzieli mu prawdę? Mogli się mylić lub być nieco stronniczy... Przecież Niemcy nie są rządzone przez ludzi pokroju Himlera i Heydricha, niemiecka armia nie składa się z Gestapo i SS - to tylko margines. Tradycje Wehrmachtu nigdy nie dałyby oficerom takim, jak on stać się Sicherheitdienst.

Otworzył oczy. Co teraz robi Kay? Czy jednak nie przekazała całej sprawy do konsulatu USA w Glasgow? W takim razie dowództwo niemieckie musiało teraz odwołać atak na Rosję... Strzały na ekranie wyrwały go z zamyślenia. Ależ, na Boga, jest przecież niemieckim oficerem! Po co roztrząsa kwestie polityczne? To nie należy do niego! On powinien iść do niemieckiej ambasady i powiedzieć o wszystkim! Natychmiast wstał i wyszedł z kina. Jak mógł dać się wplątać w tę śmierdzącą politykę?!

Zapał już mrok, gdy zatrzymał taksówkę i zapytał o ambasadę niemiecką. Kierowca kiwnął głową i ruszyli. Radio w samochodzie było włączone na pełny regulator i zachłystywało się muzyką. Taksówka wjechała na Massachusetts Avenue i przejechawszy obok jasno oświetlonej ambasady brytyjskiej dotarła w pobliże domu z czerwonej cegły, nad którym powiewała flaga ze swastyką. Horn pochylił się do przodu.

- Proszę się tutaj zatrzymać - powiedział.

Taksówkarz podjechał do krawężnika; Horn dał mu dwadzieścia dolarów, nie żądając reszty i zatrzasnął drzwi.

Horn popchnął wielkie, czarne drzwi i stanął przed metalową kratą. Stojący za nią dwaj cywile zauważyli go i natychmiast podeszli.

- Czym mogę służyć, sir? - zapytał jeden z nich w poprawnej angielszczyźnie.

Horn dostrzegł, że drugi włożył rękę pod marynarkę i uważnie mu się przygląda; było już dużo żydowskich demonstracji przed ambasadą w maju 1941 roku i nie można było lekceważyć nawet samotnego petenta. Horn skinął głową.

- Hauptmann Horn - przedstawił się po niemiecku. - Chciałbym się widzieć z attache wojskowym.

- Czy Herr Hauptmann był umówiony?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział ostro Horn. - To sprawa bardzo poważna. Proszę robić, jak mówię! Otwórzcie kratę i prowadźcie mnie do niego!

Ton, akcent i władcze zachowanie zostało natychmiast poznane przez strażnika; wyciągnął klucz z kieszeni.

- Idź do von Axhausena - powiedział do kolegi.

Klucz szczechnął w zamku i kratka otworzyła się. Alfred Horn wszedł do wykładanej dębową boazerią poczekalni. Stał przez kilka chwil bez ruchu, ignorując strażników - pochłaniał wzrokiem szereg fotografii na ścianie: były to najpiękniejsze widoki z Niemiec. Strzeliste wierzchołki gór we wschodzącym słońcu, schludne, małe wsie, zamki nadreńskie, przemysłowy krajobraz Ruhry... Schodami schodziło z piętra dwóch młodych ludzi i Horn z radością wsłuchał się w ich rozmowę, prowadzoną w języku niemieckim.

- Kiedy zapytałem, czy ma ochotę na obiad powiedziała, że chce iść do TALLY-HO! Mój Boże, powiedziałem, chyba zwariowałaś i zaprowadziłem ją do tego baru przy Mayflower...

Przeszli przez poczekalnię i zniknęli za jednymi z bocznych drzwi. Chwilę później te same drzwi otworzyły się i wszedł szczupły mężczyzna w średnim wieku.

- Sekretarz von Axhausen, Herr Hauptmann - powiedział cicho strażnik.

Horn wyszedł naprzeciw sekretarza i wyciągnął rękę.

- Alfred Horn, Hauptmann, Luftwaffe.

Von Axhausen uścisnął mu dłoń.

- Von Axhausen - odpowiedział. - Co mogę dla pana zrobić?

- Muszę porozmawiać z panem w cztery oczy i muszę być pewny, że wie pan, kim jestem.

- Ma pan jakieś dokumenty?

- Nie.

- Tak... - skinął głową. - Proszę do mojego gabinetu.

Odwrócił się i poprowadził przez drzwi na długi korytarz.

- Pan skąd pochodzi? - zapytał.

- W Niemczech? Wolgast, Pomorze.

Axhausen zatrzymał się.

- Horn?... Freiherr Horn von Thalberg?...

- To mój wuj - powiedział Horn.

Axhausen otworzył któreś z kolejnych drzwi i znaleźli się w prosto umeblowanym pokoju; na ścianie wisiała fotografia Adolfa Hitlera.

- Nie jest to najbardziej komfortowe biuro, ale niestety nie mogę służyć niczym lepszym - powiedział Axhausen i pokazał Hornowi krzesło. - Może zna pan von Zeit-Apolde?

- Bardzo dobrze, polowaliśmy w Schloss Bergenfeld wiele razy.

Axhausen uśmiechnął się.

- Tak... - spojrzał uważnie na Horna.

Horn czekał.

- No, dobrze, Herr Horn - Axhausen odprężył się i usiadł na krawędzi stołu. - Proszę mi opowiedzieć pańską skomplikowaną historię...

- Obawiam się, że będzie ona dosyć długa...

- Nigdzie się chyba nie spieszymy? Proszę mówić spokojnie.

Kiedy Horn zapalił papierosa, Axhausen wyciągnął butelkę koniaku i dwa kieliszki.

- Podarunek od tutejszego korpusu dyplomatycznego - powiedział, nalewając. - Mamy tu bardzo marny budżet, sami nie moglibyśmy pozwolić sobie na taki luksus. Wydajemy prawie wszystko, co mamy na pomoc dla rodaków. A właśnie... Co z panem? Okradli pana w jakimś hotelu? Tu co krok, to złodziej, co za kraj ta Ameryka...

Horn potrząsnął głową.

- Nie, nic z tych rzeczy... - potarł ręką czoło. - Chciałbym, by zorganizował mi pan spotkanie z attache wojskowym.

- Z Herr Thomsenem?

- Tak... - Horn znów potarł czoło. - Czy są jakieś wiadomości z kraju o Stellvertreterze?

Axhausen pokiwał głową..

- Herr Hess został uznany za zaginionego, prawdopodobnie nie żyje. To wszystko było w amerykańskich gazetach, Berlin nic dodatkowo nie przekazał.

- Ja leciałem razem z Herr Hessen z Augsburga w poprzednią sobotę wieczorem.

Axhausen zamrugał oczami.

- Pan był z Hessem?

- Leciliśmy do Szkocji, Stellvertreter został ranny. Ja mam dokumenty, które wiozł ze sobą.

Axhausen odstawił kieliszek na stół; kiedy Horn chciał mówić dalej, dyplomata uniósł dłoń.

- Jedną chwilę, Herr Horn. Sądzę, że to, co chce pan teraz powiedzieć, jest przeznaczone jedynie dla attache. Proszę chwilę zaczekać...

Poszedł szybko do drzwi; wychodząc, odwrócił się na moment.

- Proszę dowolnie dysponować koniakiem - uśmiechnął się.

Kiedy już za Axhausenem zamknęły się drzwi, Horn, szącąc powoli koniak poczuł, jak robi mu się lekko na duszy. Nawet zdjęcie Der Schnurrbart, „Pana Wąsika”, jak niekiedy oficerowie nazywali w prywatnych rozmowach Hitlera, nie psuło jego optymizmu - wreszcie postąpił jak trzeba. Już po kilku minutach Axhausen powrócił.

- Widziałem się z Herr Thomsenem - powiedział. - Musi coś jeszcze załatwić, zanim będzie mógł spotkać się z panem... My przez ten czas skosztujemy tego boskiego napoju.

Nalał im obu.

- Przekłete miejsce ten Waszyngton... Miejmy nadzieję, że nie będzie pan musiał zostać tu do końca wojny.

- Dotychczas myślałem o Waszyngtonie jako o nazwie jednej z poczt - powiedział Horn. - Wydaje mi się teraz, że jednak w stosunku do Londynu czy Paryża jest ładniejszy.

- O, Waszyngton to piękne miasto! - uśmiechnął się Axhausen. - Jednakże nikt w kraju nie orientuje się, że jesteśmy tu jakby w stanie wojny. Jeżeli jest pan niemieckim dyplomata, to nikt pana nie zaprosi do towarzystwa; jedynie Włochy, Japonia i Rumunia akceptują pana.

- Ma pan na myśli, że nas nie lubią?

Axhausen wzruszył ramionami.

- Nie wiem, co pan słyszał w kraju, ale w każdym razie nie jesteśmy tu zbyt popularni. Kiedy wojna się skończy, nasze kraje będą musiały wiele sobie wyjaśnić.

Horn przytaknął. W tym samym momencie zadzwonił telefon i Axhausen podniósł słuchawkę.

- Axhausen...

Sluchał przez chwilę, po czym pokiwał głową.

- Natychmiast idę na górę - powiedział i odłożył słuchawkę.

Horn wstał.

- Mam iść z panem?

- Jeszcze nie, teraz Herr Thomson ma radiowe połączenie z Berlinem - dostaniemy od nich instrukcje. Zejdę na dół i powiadomię pana, gdy zajdzie potrzeba.

Horn usiadł z powrotem. Instrukcje radiowe z Berlina, na pewno z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dobrze, był w pełni usatysfakcjonowany takim obrotem sprawy. Teraz będą długie wyjaśnienia, składane attache wojskowemu, potem zostaną przekazane do Berlina via Ministerstwo i w ten sposób ani Gestapo, ani SS nie będą mogły włączyć się do tej sprawy. Tak samo, jak większość oficerów Wehrmachtu za żadną cenę nie chciał mieć nic wspólnego z policją ani z tymi rzeźnikami z SS, a poza tym, w przeciwieństwie do innych oficerów, bał się ich teraz znacznie bardziej. Stały mu jeszcze przed oczami wydarzenia na szkockiej plaży i ten morderca, który pojawił się w willi...

Zapalił następnego papierosa i wpatrzył się w zegar w oprawie z czarnego marmuru, stojący przed portretem Hitlera. Axhausen wyszedł już dziesięć minut temu. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Zauważył tomy z tytułami w języku angielskim i niemieckim; WHO IS WHO i WER IST WER z roku 1940. Wyciągnął jeden i otworzył na swoim nazwisku: Alfred Maximilian Horn, lekkoatleta, uczestnik olimpiady... Hauptmann, Luftwaffe, kawaler Krzyża Rycerskiego za waleczność i odwagę w kampanii polskiej... Uśmiechnął się do siebie. Co teraz napiszą? Odłożył księgę, przejrawszy jeszcze wpisy kilku przyjaciół i znów usiadł na krześle. Gdy ponownie spojrzął na zegar zorientował się, że od wyjścia Axhausena minęło już pół godziny. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, stanął w nich Axhausen, trzymając dłoń na kłameczce. Horn wstał, odstawił kieliszek na stół i, odwróciwszy się w kierunku drzwi, spojrzął na twarz Axhausena: wstrząsnął nim widok strachu i zaszczucia, widoczny na twarzy i w spojrzeniu dyplomaty.

- Proszę za mną - powiedział cicho sekretarz i położył rękę na ramieniu Horna.

Weszli na piętro.

- Tędy, proszę - powiedział Axhausen, przepuszczając go.

Horn zatrzymał się krok przed nim i odwrócił.

- Co się stało, Axhausen? Co złego się stało, do diabła?

Axhausen zatrzymał się także.

- Jest mi przykro, Horn - powiedział. - Jest tak niewymownie przykro...

Horn poczuł, że zaczynają mu drżeć ręce.

- Na Boga, Axhausen, co się stało?!

- Herr Hauptmann! - zawołał jakiś głos.

Horn rozejrzał się i zauważył dwu ludzi, stojących w cieniu. Nawet bez światła mógł rozpoznać blond włosy i ostre rysy twarzy. Nawet w cieniu wyglądali jak prosto ze szkoły SS w Bad Tolz.

- Chciałem widzieć się z attaché. - Horn odwrócił się do Axhausena starając się, by jego głos nie drżał.

Axhausen potrząsnął głową

- Herr Thomson jest teraz bardzo zajęty - powiedział, opuszczając wzrok. - Prosił majora Niewiga, by zajął się tą sprawą...

Odwrócił się i powoli odszedł do swego gabinetu; z jego sylwetki biła rezygnacja.

- Proszę tędy, Herr Hauptmann - odezwał się Niewig.

Szli korytarzem podobnym jak na parterze. Niewig wprowadził go do jednego z biur i wskazał mu krzesło. W pomieszczeniu był jeszcze jeden mężczyzna, niski, potężny, z długimi rękami. Miał wygląd goryla, na pośmiewisko ubranego w ludzkie ubranie.

- Będziemy rozmawiać po angielsku - powiedział Niewig. - A to z tego powodu, by Stratmann nie wiedział, o czym mówimy... - wskazał człowieka o wyglądzie małpy. - Oczywiście, nie z powodu jego nielojalności, ale jest zbyt głupi, aby powierzać mu takie tajemnice.

- To dlaczego w ogóle tu jest? - zapytał Horn.

Niewig zignorował go.

- A teraz powróćmy do wydarzeń z kilku ostatnich dni, Herr Hauptmann. Jak pan prawdopodobnie wie, dostaliśmy właśnie instrukcje z Berlina...

Umilkł na chwilę.

- Te instrukcje nadeszły bezpośrednio od Herr Heydricha...

- Co to za instrukcje? - Horn starał się opanować.

Niewig znów zignorował pytanie.

- Herr Hess wywiózł ze sobą, podczas tego lotu do Anglii ważne dokumenty. Pan powiedział, że te dokumenty ma tutaj w Ameryce.

- Tak.

- Gdzie one teraz są, Herr Hauptmann? - Niewig chodził dokoła krzesła Horna. - Widzę, że nie ma ich pan ze sobą...

- Nie.

- W takim razie gdzie są?

- Ukryłem je w bezpiecznym miejscu, majorze.

- Jak już mówiłem, mam instrukcje od Herr Heydricha, aby zdobyć te dokumenty za wszelką cenę...

Przeszedł na drugą stronę biurka i usiadł za nim.

- Majorze... - zaczął ostrożnie Horn. - Niech pan pamięta, że poleciałem do Szkocji na bezpośredni rozkaz Stellvertretera, nie wiedziałem zresztą dokąd lecę. Przez ostatnie kilka dni z narażeniem życia chroniłem te dokumenty... To powinno przemawiać za moją lojalnością.

- To nie ma nic do rzeczy, nie mówimy o pańskiej lojalności. Pan ma mi tylko dać te dokumenty.

- Jestem oficerem Wehrmachtu, majorze Niewig. Miałem się widzieć z attache wojskowym, ale on w dziwny sposób wycofał się, a na temat tych dokumentów mogę rozmawiać tylko z nim. Bez urazy, ale dziwię się, dlaczego w ogóle rozmawiam z panem na ten temat...

Niewig wstał gwałtownie.

- Gdzie są te dokumenty, Horn?!

Horn kątem oka dostrzegł ruch Stratmanna, a przecież w ogóle Niewig nie dał mu żadnego sygnału. Ludzka mała pochwyciła go za kłapy i rzuciła na blat biurka. Niewig zamachnął się i Horn usłyszał własny krzyk, gdy pięść majora uderzyła w jego twarz. Nie zdążył się zerwać, zaszokowany rozwojem wypadków, potoczył się i spadł na podłogę, a Niewig kopnął go między nogi. Przez chwilę nie mógł oddychać, a przed oczami miał kolorowe koła. Tamci dwaj znów rzucili go na stół. Niewig bił go po twarzy kluczem, który wypadł mu z kieszeni.

- Jaki to hotel, ty śmierdząca świnię?! Jaki hotel?!

Umysł Horna jakby odchodził od bitego ciała; nie czuł bólu, patrzył na wszystko jakby z zewnątrz, wreszcie zakreśliło mu się w głowie i zemdlął. Niewig i Strataann uczyli się swego fachu w Kolumbiahaus w Berlinie...

Teraz Stratmann wyrzucił Horna do drugiego pokoju, przy okazji otwierając nim drzwi. Horn ocknął się i zobaczył od razu, że są w niewielkiej, pomalowanej na biało łazience, z wanną pod jedną ze ścian; do wanny lała się właśnie woda. Ktoś chwycił go za włosy i wcisnął, mu głowę pod wodę. Horn zaczął się szarpać, ale nic to nie dało i poczuł, że się topi. Po chwili wyszarpnięto go z wody; woda lała się z ust i nosa, mieszając się z krwią.

Kiedy zastosowali tę metodę po raz czwarty czy piąty, usłyszał ponownie pytanie nad głową. - CHELVERTON... CHELVERTON...

Był odurzony, nie wiedział, co się z nim dzieje, gdzie jest ani kto zadaje pytanie, chciał jedynie by dano mu spokój. Leżał na zimnej podłodze łazienki w kałuży wody i krwi. Sekretarka z Gestapo, w białej koszuli i czarnej spódnicy, której właśnie major Niewig polecił sprawdzić adres hotelu, uśmiechnęła się na widok leżącej bezwładnie postaci. Ona też była szkolona w Kolumbiahaus.

*

Przy oknie na drugim piętrze domu stojącego naprzeciw niemieckiej ambasady agent Stranhan odłożył lornetkę i zaciągnął się głęboko Chesterfieldem. W tej chwili pokój, w którym siedział, był pusty i ciemny; okno było zasłonięte, a w zasłonie wycięto niewielki otwór. Odwrócił się w stronę drzwi - agent Bill Fry, jego kolega wszedł właśnie z dwoma kubkami kawy.

- Chcesz czarną? - zapytał Fry. - Lepiej, żebyś chciał...

- Oczywiście zapomniałeś o śmietance?

- Tak.

Stranhan uniósł oczy w niemym potępieniu; przez chwilę spoglądał na przyczepioną do ściany fotografię i napis pod nią: CIEMNE WŁOSY, JASNE OCZY, WZROST SZEŚĆ STÓP, WAGA STO PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ FUNTÓW, WIEK TRZYDZIEŚCI JEDEN, ATLETYCZNA BUDOWA CIAŁA. Bez imienia, bez narodowości - to jak zwykle ostrożność tego inspektora... jak mu tam? Dolyacki... Nigdy nie dowierzał nawet swoim ludziom.

Wziął papierowy kubek z rąk Billa Fry. Popijając gorzki napój zaczął ponownie obserwować okna i otoczenie ambasady. Od dwóch godzin, gdy ulokowali się tutaj, nie widzieli żadnego ruchu w biurach, jedynie w kuchni, przez jakiś czas paliło się światło, ale zgasło dwadzieścia minut po jedenastej wieczorem.

- Ta kawa nie byłaby taka zła, gdybyś ją posłodził... Jezu Chryste! - koledze Stranhana opadła szczęka gdy dostrzegł jak ten odstawia swoją kawę i do połowy wychyla się z okna.

W budynku z czerwonej cegły otworzyły się boczne drzwi, Stranhan zgniótł butem swoje cygaro i szybko uniósł lornetkę. W dole trzech mężczyzn wychodziło właśnie na ulicę. W świetle padającym z otwartych drzwi Stranhan mógł dostrzec wyraźnie dwóch z nich:

wysokiego blondyna i niskiego mężczyznę o potężnej budowie. Pomiędzy sobą ciągnęli trzeciego, którego stopy bezwładnie ocierały się o bruk. Stranhan nastawił ostrość: czoło tego człowieka obwiązano bandażem. Gała trójka stanęła przy drzwiach i czekała.

Stranhan obliział wargi. Wzrost i budowa tego trzeciego zgadzały się z parametrami poszukiwanego, wiek zdaje się też, ale nie mógł dostrzec twarzy - padał na nią cień...

- Co tam masz? - zapytał Fry zza jego pleców.

- Bóg wie.

Stranhan czekał niecierpliwie, by mężczyźni odwrócili się do światła. Nagle z uliczki wyjechał samochód i reflektory oświetliły całą trójkę. W tym momencie Stranhan był już całkowicie pewien. Szybko podszedł do polowego telefonu, chwycił słuchawkę i zakręcił korbką. Zgłosił się dyżurujący na parterze agent Lomax.

- Nasz człowiek. Wygląda na to, że gdzieś go wloką - szybko, powiedział Stranhan.

- Mój Boże! - Lomax rzucił słuchawkę i wybiegł na ulicę.

Na małej, bocznej uliczce Stratmann wpychał Horna na tylne siedzenie Cadillaca, a Niewig chodził przy samochodzie, rozglądając się dokoła; przez cały czas trzymał rękę w kieszeni swojego skózanego płaszcza. Lomax cofnął się w cień, gdy Cadillac przejeżdżał obok niego. Potem samochód skręcił w lewo w Massachusetts Avenue i ponownie w lewo. Lomax odprowadzał go wzrokiem aż zniknął za budynkami, a potem szybko przebiegł przez ulicę i dał znak agentom Faccini i Chappelowi, którzy obserwowali front ambasady z małego Forda, dyskretnie zaparkowanego po przeciwnej stronie jezdni. Samochód ruszył ostro, opony zapiszczały. Lomax szarpnął drzwiczki i wskoczył do środka.

- Cadillac? - zapytał Faccini.

- Tak. Nie zgubcie go, bo Dolyacki...

*

Dwunastocylindrowy Cadillac jechał na północ, a za nim w bezpiecznej odległości posuwał się mały Ford. Wciśnięty pomiędzy Niewigiem a kanciastym Siratmanem na tylnym siedzeniu Horn starał się opanować drżenie ciała. Jego ubranie było przemoczone, a chociaż oddali mu płaszcz, to ciągle jeszcze nie mógł się rozgrzać. Zastanawiał się nad tymi dziwnymi zmianami losu i swoimi naiwnymi wyobrażeniami. Oczywiście, w normalnych czasach ambasadą kierowali dyplomaci, kiedy jednak z Berlina odezwał się Heydrich, wówczas kierownictwo przejęła prawdziwa siła, ten blond major SD i jego ludzie. Teraz już wiedział, że był naiwnym głupcem... Prawa i przywileje oficera Wehrmachtu! Czuł, że wzbiera w nim histeryczny śmiech, gdy myślał o Alfredzie Hornie, kawalerze Krzyża Rycerskiego, który wyparłby się nawet własnej matki, byleby tylko nie być po raz drugi nękanym przez tych brutalni. Dlaczego nie powiedział im, że wysłał te dokumenty do Kay? Ponieważ ci sadyści go o to nie pytali, ale mogą jeszcze zapytać... Poczł napływającą falę paniki i skulił się, naciągając płaszcz. Po chwili zdołał się opanować i po raz pierwszy rozejrzał się dokoła. Był w jednej z tych oficjalnych limuzyn ze znakami CD i małą, metalową chorągiewką ze swastyką. Przed sobą widział szofera, dalej za szybą przesuwające się ulice Waszyngtonu. Prawdopodobnie kierowali się ku przedmieściom. Jeżeli Niewig dostanie w swoje ręce dokumenty Hessa, on na pewno zginie... Poczł dreszcze; zdecydował, że nie może powiedzieć im nic więcej, bo to jest jego jedyna szansa przeżycia. Był jeszcze jeden powód: podobnie jak stary Frank, pogrążający się w śmierci na samotnej, szkockiej plaży, tak i Horn zdecydował się, że nigdy więcej nie pozwoli tym potworom na odczucie satysfakcji sukcesu. Znow poczuł się człowiekiem i jego myśli skierowały się w nowym kierunku - ucieczki. Na twarz spłynął mu wąski, strumyk wody z mokrych włosów. Gdy ocierał twarz grzbietem dłoni, poczuł jak Niewig napręży mięśnie...

- Daleko jeszcze? - zapytał po niemiecku kierowcę.

- Dwa, trzy kilometry, Herr Major.

*

W małym Fordzie z głośnika krótkofalówki słychać było głos Dolyackiego.

- Na razie wszystko w porządku, tylko nie zgubcie ich.

- Tak, sir - odpowiedział Faccini.

- Musimy dostać tego człowieka na lotnisku, ukrywając...

Dalsze słowa inspektora zagłuszyły trzaski.

- Co on powiedział? - zapytał Lomax, pochylając się mocno do przodu.

- Cholera go wie! - Faccini walnął pięścią w bok krótkofalówki. - Ta cholerna maszynka nigdy nie działa dobrze cały dzień, wysiada zawsze, gdy potrzebuje się jej naprawę!

Chappel, siedzący za kierownicą wskazał ręką przed siebie i powoli zahamował.

- Zatrzymali się.

*

Kiedy Cadillac zatrzymywał się przed hotelem, w recepcji właściciel rzucił szybkie spojrzenie przez przeszkłone drzwi i znow skupił swoją uwagę na mężczyźnie o twarzy buldoga, stojącego po drugiej stronie kontuaru.

- Proszę się wpisać - powiedział, podsuwając ku niemu poplamioną, grubą księgę i patrzył, jak ów człowiek usiłuje podpisać się z wyraźnym wysiłkiem.

Miał około czterdziestu lat, jego ubranie pochodziło z dobrej firmy, ale w tej chwili było nieco przybrudzone; oczy miał rozbiegane, a twarz czerwoną z nadmiaru alkoholu. Recepcjonista odebrał od niego księgę, zdjął klucz z haka i podał gościowi, po czym odwrócił rejestr, starając się odczytać niewyraźne bazgroły. W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Niewig, a za nim Stratmann z ręką na ramieniu Horna. Skierowali się w stronę schodów; kiedy przechodzili obok kontuaru, Horn spojrzął na właściciela, wzrokiem prosząc o pomoc. Nie mógł zrobić nic więcej, bo czuł uwierającą go w plecy lufę Lugera. Właściciel hotelu miał już wiele lat doświadczenia w tym, co należy, a czego nie należy dostrzegać; w tej chwili wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie dostrzegł niczego.

- Okay, Mr Baker. Pokój 37, trzecie piętro; to będą cztery dolary - zwrócił się do podpitego klienta.

Stojąca obok dziewczyna spojrzała na niego.

- Cztery dolary? - wymamrotał Baker. - Pokój miał być za dolara...

- Cztery dolary.

Baker wyciągnął portfel i szperał w nim przez chwilę. Gdy podawał banknoty recepcjoniście, ten mógł dostrzec, że wewnątrz portfela znajduje się duża suma pieniędzy.

- I ćwierć dolara za klucz.

Baker uniósł wzrok w niemym wyrzucie i znów sięgnął po portfel. Wziął klucz i odwrócił się do dziewczyny - obdarzyła go uśmiechem. Wzięli się pod ręce i skierowali ku schodom.

*

Lomax wyszedł z bocznej uliczki, do której przylegał ów hotel i podszedł do Facciniego, stojącego przy wejściu.

- Tylko drabina przeciwpożarowa, nie ma tylnego wyjścia.

- Dobrze - powiedział Faccini, zapalając papierosa.

- Gdzie jest Joe?

- Poszedł zadzwonić do Dolyackiego, bo to cholerne radio ciągle nie działa.

Lomax spojrzął na róg ulicy, gdzie stała budka telefoniczna.

- Co robimy? - zapytał, nerwowo zacierając ręce.

Faccini zastanowił się.

- Lepiej zaczekajmy na resztę. To faszyci, może być gorąco...

- Bobra. Gdzie jest ich samochód?

- W dole ulicy. Kierowca jest w środku.

Faccini wyciągnął rękę i Lomax dostrzegł Cadillaca, zaparkowanego kilkadziesiąt jardów dalej.

- Zaraz wrócę - powiedział. - Zostań tutaj.

Faccini kiwnął głową i Lomax wszedł w boczną uliczkę, kierując się na tyły hotelu.

*

Stratmann popchnął go i Horn omal nie upadł, potykając się na progu pokoju numer 32. Major Niewig przezornie zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni, po czym zapalił światło. Stratmann sprawdził okno i zaciągnął brudne zasłony. Niewig spojrzął na leżącą na podłodze płócienną torbę, a potem na Horna, który spokojnie skinął głową, bo już wcześniej postanowił, że jeżeli jego ucieczka ma się udać, to powinien jak najdłużej utrzymać w tajemnicy, że wysłał dokumenty do mieszkania Kay. Niewig rzucił torbę na łóżko i rozsunął zamek błyskawiczny; trzy głowy pochylły się nad otwartą torbą. Po chwili Niewig powoli uniósł głowę i spojrzął na Horna - był wyraźnie zaskoczony. Odwrócił się i dał znak Stratmannowi. Kiedy tamten zaczął przeszukiwać pokój Horna, Niewig wyciągnął paczkę papierosów i w milczeniu wyciągnął ją w kierunku Alfreda. Ten wyjął jednego i pozwolił podać sobie ogień. Obaj palili spokojnie, podczas gdy Stratmann kontynuował metodyczne poszukiwania. Jego potężne ręce myszkowały w tej chwili pod łóżkiem, po chwili wyprostował się i popatrzył na osiadły na nich kurz i brud.

- Kurwa, tu chyba nikt nie - sprzątał od kilku lat!

To były pierwsze słowa, jakie Horn usłyszał z jego ust. Mruczając coś pod nosem, Stratmann przewrócił materac i znów zaklął, po czym zabrał się za jedyne krzesło w pokoju.

- Wporządku - powiedział powoli Horn. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać...

- Rozmawiać? - zdziwił się Niewig.

Stratmann zatrzymał się by posłuchać, ale major gestem nakazał mu kontynuowanie poszukiwań. Horn patrzył na Niewiga i zastanawiał się, co robić dalej. Musiał grać dalej na zwłokę i spróbować zaprowadzić ich do innej, fikcyjnej kryjówki.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia, Hauptmann.

*

Siedzący w policyjnym samochodzie Dolyacki chwycił się fotela, gdy kierowca wziął ostry zakręt. Stojący w budce telefonicznej Chappel usłyszał zbliżające się syreny i natychmiast wybiegł na chodnik, a gdy minęły go cztery wozy policyjne, zaczął biec w stronę hotelu.

Niewig i Stratmann również usłyszeli syreny i pisk hamulców pod hotelem. Spojrzawszy na twarz majora, Horn dostrzegł cień paniki na jego twarzy. Stratmann szybko zgasił światło i otworzył okno w chwili, gdy na dole trzasnęły drzwi; Stratmann cofnął się szybko, słysząc tupot nóg. Patrząc w dół mógł dostrzec kilku ludzi, biegnących ulicą z tyłów hotelu.

Na dole w recepcji Dolyacki podsunął fotografie Horna pod nos właściciela.

- Ten człowiek i jeszcze dwóch! Gdzie są?

Właściciel hotelu z reguły nie reagował na podobne pytania, ale dostrzegł niepokojące błyski w oczach Dolyackiego, zaciśniętą pięść i wpadających do hotelu policjantów, nie miał więc problemów z podjęciem decyzji.

- Pokój 32, trzecie piętro.

- Klucz zapasowy! - Dolyacki wyciągnął rękę.

Właściciel hotelu podał mu klucz i Dolyacki rzucił się w kierunku schodów; zaraz za nim biegł Faccini i Lomax.

Na trzecim piętrze Niewig stał niespokojnie przy futrynie drzwi. Nie miał powodu przypuszczać, że policja szuka właśnie ich. Na korytarzu słyszał trzask drzwi, tupot nóg gdzieś na dole i wykrzykiwane rozkazy. Przekręcił klucz w zamku i lekko uchylił drzwi. Teraz tupot było słychać już na schodach. Stojący przy oknie Stratmann wycelował pistolet w stronę Horna, ale całą uwagę skupił na tym, co dzieje się za oknem. Horn dostrzegł swoją szansę: zaciśnął pięść i z całej siły uderzył majora w żołądek. Niewig skulił się, potknął o próg i wypadł na korytarz; Horn chwycił go za kłapy, uniósł i rzucił nim w Stratmanna, samemu wyskakując na korytarz. Balansując przez moment na śliskiej podłodze dostrzegł za znajdującym się na końcu korytarza oknem szczebelki drabiny przeciwpożarowej. Za sobą słyszał tupot nóg; z łatwością wyobraził sobie, jak lufa pistoletu unosi się i celuje w jego plecy. Zanim udałoby się mu dopaść do okna, na pewno zostałyby zastrzelony, ale okno cudem było otwarte. Przerzucił ciało przez parapet i chwycił mocno metalowe szczeble.

Dolyacki wraz z Faccinim i Lomaxem dobiegli wreszcie na trzecie piętro. Niewig stał w otwartych drzwiach pokoju w jednym ręku ściskając pistolet, a drugą obejmując brzuch. Stratmann biegł właśnie w stronę okna.

- Stój! - wrzasnął Dolyacki, wyszarpując pistolet z kabury pod pachą.

Stratmann zignorował ostrzeżenie. Dolyacki strzelił; uderzony pociskiem w pierś Niemiec upadł. Niewig rzucił swą broń na podłogę.

- Jestem urzędnikiem ambasady Rzeszy, mam wszystkie prawa dyplomatyczne!

Dolyacki zignorował to i wszedł do pokoju.

- Co się tu dzieje, do diabła?

W drzwiach numeru 37 stanął podпиты mężczyzna; zza jego pleców wyglądała przerażona i jednocześnie zaintrygowana młoda dziewczyna. Lomax poszedł do nich.

- Proszą zostać w pokoju - popchnął lekko mężczyznę i zamknął za nimi drzwi.

Dolyacki rozejrzał się z dezaprobatą po pokoju 32 - nie zdążył, pokój był pusty.

- Inspektorze! - usłyszał krzyk z dołu.

Dolyacki podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Co jest?

- Mamy go, sir! Schodzi po drabinie pożarowej!

- Otoczcie go! Zaraz tam będę!

W recepcji pomiędzy jednym z agentów a umundurowanym policjantem stał ze spuszczoną głową schwytyany mężczyzna. Dolyacki, który pokonał schody w tempie cztery stopnie na jeden skok, stanął jak wryty.

- Kto to jest, do cholery?! - poczerwieniał na twarzy.

Agent i policjant popatrzyli ze zdumieniem najpierw na siebie, a potem na zatrzymanego - z urwanym do połowy kołnierzem marynarki, chwiejąc się na nogach Baker patrzył na czubki swoich butów.

- To chyba jakaś pomyłka... - zaczął cicho, podnosząc zaszczute spojrzenie na twarz inspektora.

- Puście go! - warknął Dolyacki. - Cholerny pijak!

Odwrócił się do Lomaxa.

- Zgubiliśmy tamtego!

*

Ze swego miejsca na dachu budynku Horn widział, jak jakiś człowiek schodzi na dół po drabinie. Gdy tylko postawił nogę na ziemi, dopadło go pięciu ludzi i po krótkiej szamotaninie powlekli do głównych drzwi hotelu.

Zaczął teraz powoli schodzić na dół, rozglądając się uważnie dookoła. Zeskoczył na bruk i pobiegł w kierunku muru, który oddzielał uliczkę od torów kolejowych. Wiedział, że nie ma czasu na zastanawianie się; przeskoczył przez mur i pobiegł w kierunku cystern. Przebiegł obok jakiejś lokomotywy, obok starego samochodu. Jeszcze nie czuł się bezpieczny i wyczerpał wszystkie siły, gdy nagle potknął się i upadł, uderzając twarzą o szynę. Potoczył się do przodu, przycisnął rękę do zranionego policzka i przez chwilę leżał nieruchomo. Za nim, w świetle padającym z okien motelu majaczyły sylwetki policjantów, przeszukujących teren. Zaczął czołgać się w ciemnościach.

- Hej...

Horn wzdrygnął się.

- Tutaj, chłopcze...

Odwrócił się - za nim nie było nikogo, kilka metrów dalej widział zarysy następnej linii cystern.

- No, chodźże, chłopcze...

Zauważył jakiś ruch w cieniu, rzucanym przez ostatnią cysternę. Wyglądało na to, że ma szczęście; jak pijany zaczął iść w tym kierunku. Gdy był już przy buforach wagonu jakiś mały człowiek chwycił go za rękę i pociągnął za sobą. Zobaczył, że na niewielkim placu za cysternami stoi drewniana szopa, otoczona wrakami wagonów.

- Dobrze, że zobaczyłem cię, jak szedłeś w tę stronę - mały człowieczek ciągnął go w kierunku baraku. - Dobrze dla ciebie, że zauważyłem!

Zanim weszli do środka, Horn obejrzał się i dostrzegł z daleka światła latarek policjantów, którzy w dalszym ciągu przeszukiwali teren. Wewnątrz baraku panowały nieprzeniknione ciemności; uderzył się o jakiś stół.

- Stój, gdzie stoisz, chłopcze. Musimy mieć trochę światła...

Błysnęła zapalona zapalka. W żółtym świetle lampy naftowej mrok cofnął się powoli. Horn zobaczył dwie, a potem pięć zarośniętych twarzy.

- Siadaj, Billy - powiedział opiekun Horna. - Billy miał pewne kłopoty tu niedaleko, jak zresztą każdy z nas.

Tamci pokiwali ze zrozumieniem głowami. Horn usiadł powoli przy ścianie; w migoczącym świetle lampy widział, że człowiek, który go tu przyprowadził jest niski, tęgawy i ma pomarszczoną twarz, która już dawno nie oglądała brzytwy; jego oczy miały łagodny, spokojny wyraz.

- Henry - powiedział stary człowiek i wskazał na siebie; reszta mężczyzn ponownie pokiwała głowami. - Ty będziesz u nas Billy.

Jeden z mężczyzn sięgnął gdzieś wyżej i wyciągnął wielką butelkę; rozciągnął zęby w szerokim uśmiechu, pokazując szerniałe zęby i podał ją Hornowi. Czując, że musi wypić, Alfred przytknął flaszkę do ust i pociągnął duży łyk - zatkało go i zaczął łapać powietrze po czystym spirytusie.

- W Kalifornii znam takie miejsce, gdzie sprzedają whisky po dwadzieścia pięć centów za butelkę - powiedział jeden z mężczyzn.

Henry skrzywił się i zabrał butelkę od Horna.

- Nie słuchaj tego idioty, zaraz zacznie opowiadać, jak to jego stary był grubą rybą. Ciągłe mu się wydaje, że inni powinni mówić do niego „sir”!

- Może ma rację - powiedział Horn, starając się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

Z cienia za nimi odezwał się jakiś głos:

- Słyszałem o takim miejscu, gdzie połąci się butelką za... Francuzkę!

- To młody Lefty - powiedział Henry. - Brał udział w wojnie... Stracił rękę i miał cholerne szczęście, że nie utracił czegoś więcej!

W ciemności rozległo się pokasywanie.

- Francuzki nie są takie, jak inne - powiedział Lefty.

- Właśnie są takie jak inne - odpowiedział autorytatywnie człowiek z czarną twarzą. - Chcą tego samego, co inne: one chcą dolarów!

Butelka krążyła po całym towarzystwie.

- Mieszkacie tu wszyscy? - zapytał Horn, i natychmiast zrozumiał, że nie jest to dobre pytanie.

Stary człowiek uśmiechnął się.

- Kto żyje w jednym miejscu?

- Wędrujesz, Henry?

- Jakżeby inaczej? W zeszłym tygodniu byłem na Florydzie i gliny mnie capnęły. Próbowali mnie przekonać, żeby się ustakować, przestać jeździć i znaleźć sobie babę... - uśmiechnął się. - Przez całe trzydzieści lat nie miałem porządnej baby i powiedziałem im to tydzień wcześniej tak samo było w Miami...

- Gliny sprawiają dużo kłopotu?

- Z nimi zawsze są jakieś kłopoty, chłopcze.

Siedzieli dłuższy czas w milczeniu, przekazując sobie bez słowa butelkę. Horn odpiął kieszeń i wymacał kilkadziesiąt dolarów. Nie miał pojęcia czy to co chce zrobić, będzie dobre, ale czuł że, że powinien się im jakoś odwdziżyć.

- Myślę, że tam na zewnątrz już się wszystko uspokoiło...

Henry tylko wzruszył ramionami.

- Zobaczymy się w Kalifornii albo gdzieś indziej, Billy...

Horn wziął butelkę i podniósł ją do ust, potem położył ją na podłodze, a obok zwitek banknotów; jeśli nawet któryś z mężczyzn to zauważył, to nie powiedział ani słowa.

- Co się stanie, jeśli ktoś przyłapie was tutaj?

Henry uśmiechnął się.

- Co może się stać? Więzienia są przepelnione... Nie ma się czego obawiać, chłopcze - to wolny kraj...

*

W pomalowanym na zielono pokoju przesłuchań na posterunku numer piętnaście Niewig siedział naprzeciw Dolyackiego, a w rogu pokoju usiadł Bishop, siorbując powoli kawę i przypatrując im się w milczeniu.

- Mr Niewig, jeśli jest to pańskie prawdziwe nazwisko... - powiedział Dolyacki. - Przebywał pan w tym hotelu z nielegalnym emigrantem.

- Jestem oficjalnym przedstawicielem Rzeszy Niemieckiej, akredytowanym przy ambasadzie - podniósł głos Niewig. - Ja domagam się uznania moich praw!

- Niewig, dla nas jesteś po prostu podejrzanym. Zanim jeszcze sprawdzimy, czy masz jakiegokolwiek prawa, radziłbym odpowiedzieć na jedno pytanie: co robiłeś w tym hotelu?

- Odmawiam odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania! Złożę protest! Będę protestował także z tego powodu, że jest tutaj obywatel nieprzyjacielskiego kraju! - rzucił szybkie spojrzenie na Bishopa. - Tak, wiem, że on jest Anglikiem, wiem także, dlaczego nawet nie otworzył ust od chwili swojego przybycia!

Dolyacki zignorował jego wybuch.

- Widziałem się już z twoim przyjacielem, Stratmannem, w szpitalu - powiedział spokojnie. - Wyjaśnił nam, że byliście w hotelu po jakieś dokumenty...

- Dlaczego tak powiedział? Przecież to nieprawda!

Dolyacki spojrzał na Bishopa, który wzruszył ramionami!

- Okay, Niewig - wstał. - Zaraz zadzwonimy do ambasady i, jeżeli potwierdzą pańską tożsamość, to pana tam odwieziemy i pożegnamy się - uśmiechnął się szyderczo. - I oczywiście, jeżeli jest pan tym, za kogo się pan podaje, to przepraszam pana za wszelkie nieporozumienia.

*

To mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze domu po drugiej stronie rzeki w Arlington. Drewniane stopnie prowadziły do ciemnego, zimnego hallu.

Znalazł się w tym hallu wczesnym rankiem i spojrzał na listę lokatorów: kapitan RALF F. HAMPTON i Mrs KAY HAMPTON zajmowali apartament D. Zaczął iść po schodach, zatrzymał się przed drzwiami i rozejrzał dookół, po czym wyciągnął spod płaszcza krótki łom i wsadził między drzwi i futrynę; zamek ustąpił z trzaskiem. Horn popchnął drzwi i wszedł do środka. Po chwili poczuł się bezpiecznie i odprężył się; nie przypuszczał, że pójdzie to tak łatwo. W skrzynce na drzwiach dostrzegł przez szpary cztery duże koperty. Przeszedł szybko przez przedpokój, wyłożony drewnianą boazerią i przez pokój z wielkim, perskim dywanem na jednej ścianie, po czym wyjrzał przez okno. Wszędzie panował spokój. Poszedł do kuchni, wybrał jeden z noży i wrócił do drzwi wejściowych. Po kilku sekundach otworzył skrzynkę i koperty wypadły na podłogę; pomiędzy nimi było kilka fotografii Ralfa Hampmana na mostku jego okrętu, nie było jednak fotografii Kay. Horn z kopertami pod pachą poszedł do łazienki, zdjął z siebie mokre ubranie i wsadził głowę pod prysznic, delikatnie obmywając twarz, by nie urazić zranionych miejsc. Poczul się teraz zupełnie wyczerpany. Zakręcił wodę i narzucił na ciało ciemnoniebieski szlafrok, a potem wyszedł z łazienki. Był zbyt zmęczony, by cokolwiek jeść; opierając się o ściany poszedł do sypialni, a po kilku sekundach już spał.

*

Nie miał pojęcia, która jest godzina, nie wiedział, co dzieje się dookoła, ale coś go zaalarmowało: jakiś ruch czy jakieś odgłosy wyrwały go ze snu. Po chwili drzwi do pokoju otworzyły się i zobaczył Kay Hampton, stojącą na progu; na ramieniu miała zawieszoną wojskową torbę.

Przez kilka sekund nie mówiła nic, wpatrując się w jego twarz; wreszcie zamknęła drzwi za sobą i podeszła do niego.

- Myślałam, że cię aresztowali - powiedziała, siadając na brzegu łóżka.

- Prawie że - odpowiedział i uniósł się na łokciu.

Zobaczyła zakrzepłą krew na jego policzku.

- Wyglądasz kiepsko... - dotknęła jego policzka. - Czy to część tej historii?

Bez słowa usiadł, pochylił się do przodu i objął ją, a ona pozwoliła pociągnąć się w jego stronę. Przez moment trzymała głowę pochyloną czując, jak całuje jej włosy, potem powoli podniosła twarz i zaczęli nieprzymtomnie się całować. Dopiero po kilku minutach odsunęli się od siebie.

- Byłam pewna, że tu, w Waszyngtonie wszystko pójdzie bez żadnych kłopotów - powiedziała, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. - Co się właściwie stało?

- Aresztoweli generała Walkera, Kay - byłem przy tym.

- Szuka cię FBI?

- Policja, FBI i jeszcze kilku innych, ale nie udało im się mnie dostać...

- Dlaczego wysłałeś te koperty na mój adres?

- Widziałeś je?

Kiwnęła głową.

- Znalazłam je, kiedy brałam twoje mokre rzeczy - podała mu szare koperty. - ubranie kazałam zabrać do pralni - powinno być gotowe za jakąś godzinę.

Przeszli do przedpokoj. Zakręciło mu się w głowie tak, że chwycił się za skronie. Kay odwróciła się i spojrzała na niego uważnie.

- Zrobię kawę - powiedziała. - Myślę, że przyda ci się jeszcze i brandy - jest w kredensie...

Spojrzała na koperty.

- A potem... - zagryzła wargi, wpatrując się w nie intensywnie. - Potem musimy zdecydować, co z tym zrobimy...

*

Kiedy Dolyacki i Bishop wyszli z biura J. Edgara Hoovera, inspektor wybuchnął:

- Słyszałeś go? Słyszałeś i ty, i dyrektor!

- Słyszałem - odpowiedział Bishop. - Żąda wyników... Nie jest zbyt zadowolony z tego, co przedstawiliśmy.

- I nic lepszego nie będziemy mogli przedstawić w przyszłości. Proszę posłuchać, majorze! - Dolyacki był wściekły.

- Pracuję ze związanymi rękami. Co to, do diabła, za dokumenty?

Bishop lekko się uśmiechnął; od pewnego czasu czuł do tego człowieka pewną sympatię.

- Jeśli pański rząd uzna za stosowne, że powinien wiedzieć pan więcej, to panu powiedzą. Dobrze pan wie, że nie mogę na to nic poradzić. Skoncentrujmy się na odszukaniu Alfreda Horna.

- Jezu Chryste! - Dolyacki zacisnął pięści.

- Generał Walker miał skontaktować się z nim w Szkocji - powiedział Bishop. - Tam była pewna Amerykanka z jego sztabu, porucznik Kay Hampton...

Dolyacki spojrzał mu w oczy.

- Gdzie ona jest?

- Wróciła do Waszyngtonu, może tu być w każdej chwili.

*

Zapiął czystą koszulę i kontynuował rozmowę przez półotwarte drzwi do sypialni.

- To jest wolny kraj - to właśnie powiedział ten człowiek, zanim odszedłem. Może myślał tak naprawdę? Wolny dla włóczęgów, pijaków... Ale czy ta wolność pozwala na udzielanie pomocy takiemu jak ja?

Wszedł do salonu, a Kay popatrzyła na niego uważnie.

- Jeśli starasz się usprawiedliwić z pójścia do niemieckiej ambasady, to przestań - powiedziała łagodnie.

Wzruszył ramionami.

- Tak, to chyba niepotrzebne...

Wstała.

- I co teraz?

Wypoczęty, ubrany w czyste rzeczy i po trzech czy czterech szklaneczkach brandy Horn poczuł zdeterminowanie.

- Jesteśmy teraz sami, Kay, ale wreszcie to zrobimy!

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Co zrobimy?

- Mamy notatnik Hessa.

- Zapiski z konferencji?

- Te dokumenty, jak pamiętasz, miał dostać ktoś, kogo Hess nazywa AMBASADOREM.
- Ale to może być ktokolwiek; nie wiemy, czy miał na myśli konkretnego ambasadora. Nie wiemy nic...
- Ktoś musi wiedzieć. Może ktoś ze sztabu Walkera, sekretarka, żona...

Podniosła rękę do ust.

- Co się stało, Kay?
- Mrs Walker, żona generała...
- Znasz ją?
- Spotkałam ją przy moim pierwszym pobycie w sztabie, zamieniliśmy kilka słów.

Horn milczał przez chwilę.

- To cholerne ryzyko, Kay - powiedział po chwili. - Aresztowali generała, na pewno aresztują i ją...
- Alfred, zbyt długo żyłeś w kraju rządzonym przez Gestapo. Tutaj nie ma nawet jednej szansy na milion, by ona też została aresztowana. Możliwe, że ją wypytywali, ale nie mogli aresztować jej tylko za to, że jest Mrs Walker...
- Ale jeśli FBI będzie u pani Walker, kiedy my tam przyjdziemy...
- Kiedy ja tam przyjdę - powiedziała Kay zdecydowanie. - W tej chwili jesteś tu bezpieczny, na pewno nie podejrzewają, że mieliśmy się spotkać, przecież nie miałam pojęcia, że wrócę do Stanów następnym samolotem...

14

Waszyngtoński hotel BLAIR został wybudowany w końcu ubiegłego stulecia. Ciężki, nieestetyczny budynek z ornamentami, które były mieszkanką różnych stylów od mauretańskiego zaczynając a na gotyku kończąc, prezentował się jednakże bardzo okazale.

Pani Irena Walker mieszkała tu od czasu, gdy przeniosła się za mężem do Waszyngtonu. Kiedy Kay Hampton mówiła, że pójdzie do niej do domu, miała oczywiście na myśli hotel BLAIR; teraz siedziała w jej apartamencie. Pani Walker pamiętała ją jeszcze z pierwszego spotkania - spodobała ale jej ta szczupła, energiczna Kalifornijka. Teraz, gdy Kay poprosiła o chwilę rozmowy, Mrs Walker nie wahała się ani chwili. Wiadomość o aresztowaniu męża załamała ją, nie potrafiła wyobrazić sobie żadnych powodów tego, co się stało. Teraz, przecierając czerwone od płaczu oczy podniosła do ust swoje martini. Była drobną, ciemnowłosą kobietą po pięćdziesiątce.

- Nic nie wiem, nic o tym nie wiem, Kay, proszę mi Uwierzyć... Od chwili, gdy w niedzielę wrócił z Anglii, nie poznawałam go. Nie mogę uwierzyć, że popełnił jakieś przestępstwo... Wszyscy wiedzą, że Tom był jednym z najbardziej lojalnych wojskowych...

- Pani Walker, to polityka – powiedziała delikatnie Kay. - Pani mąż przystąpił do projektów, w które wierzył aż do końca. Teraz został postawiony w sytuacji, w której musi stać się lwem pomiędzy lwami albo zostanie przez nie pożarty - Kay uśmiechnęła się smutno. Na pewno nie zrobił nic takiego, czego miałyby się pani teraz wstydić.

- Dobrze, że chociaż tyle mi pani powiedziała... Podniosło mnie to na duchu...

- Cieszę się, Mrs Walker, ale potrzebuje pani pomocy. Może zna pani kogoś, prawdopodobnie polityka, z którym pani mąż spotykał się ostatnio? Być może chodzi tu o cudzoziemca, na przykład ambasadora...

Mrs Walker potrząsnęła głową.

- Nie, nikt mi nie przychodzi na myśl. Właściwie nie obracaliśmy się w kołach politycznych, nasi przyjaciele to raczej wojskowi... Myślę, że jedynym przyjacielem męża, którego można zaliczyć do polityków będzie John Caspiani.

- Senator Caspiani?

- Tak, Tom grywał z nim w golfa.

- Jak się spotkali?

- Zaczęło się to gdzieś na początku tego roku, ale nie mam pojęcia, jak się spotkali. Potem senator zapraszał mojego męża na jakieś przyjęcia, ale on nie poszedł - Tom mówił, że te przyjęcia nie są w jego typie...

- A golf?

- Myślę, że zaczęło się to w tym samym czasie. Senator należy do najlepszych klubów, a Tom był tam kilka razy...

Kay pokiwała wolno głową.

- Senator Caspiani to demokrat, nieprawdaż?

- Tak, ale bywa na wszystkich spotkaniach, organizowanych przez Roosevelta.

- Na pewno orientuje się we wszystkim, co dzieje się w naszym rządzie...

- O, tak, nie ma najmniejszych wątpliwości. Wydaje mi się, że Tom zmienił swoje poglądy od pierwszego spotkania z senatorem - mało kto może wyobrazić sobie generała jako izolacjonistę.

- Izolacjonista?

- Senator jest stuprocentowym przeciwnikiem interwencji, a Tom zgadzał się z nim. Nie wszyscy generałowie są tacy żądni krwi...

- Tak, znam generała... - Kay dopiła swojego drinka. - Musi mi pani. darować, Mrs Walker, że zakłóciłam pani spokój, ale bardzo mi pani pomogła i sądzę, że swojemu mężowi także...

Wracając do domu, Kay triumfowała - senator, izolacjonista o wysokich ambicjach na pewno prowadził wraz z generałem tę skomplikowaną sprawę. Caspiani mógł być AMBASADOREM - łącznikiem mieczy Rudolfem Hessem a rządem Startów Zjednoczonych.

*

Dolyacki obserwował przez szybę, jak taksówka zatrzymuje się trzydzieści jardów przed nimi. Rozpoznawszy sylwetkę kobiety, która z niej wysiadła, zwrócił się do siedzącego obok Bishopa...

- To ona?

Bishop skinął głową.

- Ale dlaczego nie podjechała pod same mieszkanie? Co robimy?

Dolyacki trzymał już rękę na klamce.

- Zostaw to mnie - uśmiechnął się.

*

Kiedy taksówka odjechała, Kay zaczęła powoli iść chodnikiem, przyglądając się wystawom małych sklepów, usytuowanych na Tremont Street. Samotna lampa rzuciła raczej nikle światło na ulicę, ale w pewnej chwili dojrzała jakiś ruch za stosem kartonów. Zwolniła, a zaraz potem zatrzymała się. Coś tam się wyraźnie działo, a wreszcie dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Zrobiła dwa lub trzy kroki do tyłu, i wreszcie odwróciła się i zaczęła uciekać, gdy mężczyzna zaczął iść w jej stronę. Przebiegła przez ulicę i zaczęła krzyczeć, bowiem mężczyzna był szybszy: chwycił ją za rękę i pociągnął ku sobie, choć wrywała się z całej siły. Oparła się plecami o ścianę; nagle nad nimi rozbłysło światło i otworzyło się okno.

- Co się tam dzieje, u licha?!

Dolyacki ścisnął mocno ramię Kay.

- Inspektor Dolyacki, Federalne Biuro Dochodzeniowe.

Uspokoila się natychmiast.

- Zamknij to cholerne okno! - wrzasnął Dolyacki. - Policja!

Okno zamknęło się z trzaskiem, a Dolyacki rozluźnił swój chwyt i Kay wyrwała ramię z uścisku; była wściekła.

- Po pierwsze, proszę mi pokazać swoją legitymację - powiedziała. - Poza tym ostrzegam, że pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie udanie się do FBI i złożenie skargi!

Ponownie chwycił ją za ramię.

- Nie urodziłem się wczoraj i dobrze o tym wiesz, kotku! Chcę wiedzieć, gdzie jest Alfred Horn i chcę to wiedzieć w tej chwili!

Popchnął ją w stronę ulicy i w tym momencie spadł cios. Stojący za nim Horn po uderzeniu złapał go za kołnierz i silnym pociągnięciem rzucił między kartony. Dolyacki nie stracił przytomności i, jeszcze leżąc na ziemi, starał się dosięgnąć swego pistoletu. Szybko udało mu się opanować drzenie rąk i wyciągnąć broń. Uniósł lufę w górę. Horn stał trzy metry dalej z oczami wlepionymi w lufę. Zanim Dolyacki zdążył nacisnąć spust, okno nad nimi otworzyło się ponownie.

- Słuchajcie, wy! - wrzasnął człowiek na górze. - Jak mi tu będziecie, gliny czy nie...

Chlusnęła woda. Zaskoczony i oślepiony Dolyacki zdjął palec ze spustu i chciał coś odpowiedzieć, ale zanim otworzył usta, zobaczył przed nosem but Horna, a potem potoczył się pod ścianę. Kilka sekund później klęcząc i trzymając się za rozbity nos zobaczył, jak Horn i Kay znikają za rogiem ulicy.

*

Przy bocznym stoliku w małej, włoskiej restauracyjce Kay zauważyła, że ciągle jeszcze drżą jej ręce. Przed minutą kelner postawił przed nimi butelkę „Bardolo”. Alfred napełnił szklanki i teraz zapalał papierosa.

- Mieliśmy szczęście - powiedział. - Czekałem na ciebie, ale po drugiej czy trzeciej whisky zacząłem się denerwować. Zauważyłem stojący naprzeciw domu samochód i zacząłem go obserwować. Po pewnym czasie podeszło do niego dwóch ludzi. Jednym z nich był policjant, który aresztował generała Walkera.

- Dolyacki - powiedziała Kay. - On jest z FBI.

- Drugi to Anglik, Max Bishop.

- Znasz go?

- Bardzo dobrze, byliśmy razem w Berlinie w 1936 roku. Na pewno ożeniłby się z moją siostrą, gdyby nie zginęła w wypadku samochodowym.

- To ten sam major Bishop, który wypytywał mnie w bazie w Prestwick...

- I ten sam, którego widziałem przy ambulansie, gdy SS-mani zabili Hessa. W każdym razie, gdy ich rozpoznałem, wyszedłem z mieszkania i schowałem się na poddaszu. Dolyacki wszedł do budynku i zaczął wypytywać dozorcę.

- I co dozorca mu powiedział?

- Że wyszłaś, a przedtem słyszał kogoś w twoim mieszkaniu.

Milczała chwilę.

- Oni nie uznają żadnych reguł. Myślę, że zabilby cię, ale uratowało nas to okno...

- Pewnie takie mają rozkazy.

- Żeby cię zabić? - potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Pomyśl chwilę, Kay: po prostu inaczej nie da się mnie uciszyć. Pamiętaj, że moje jedyne przestępstwo w świetle amerykańskiego prawa to to, że jestem nielegalnym emigrantem, właściwie mógłbym nawet prosić o azyl polityczny...

- I sądzisz, że Dolyacki dostał rozkaz, by cię zabić?

- Mnie na pewno. Być może, ciebie także...

Gdy jedli zamówioną pizzę, powiedziała mu o Caspianim.

- Ale czy w tej chwili możemy powierzyć mu te dokumenty? - jej wielkie, szare oczy wpatrywały się w jego twarz. - A może przekazać materiały o japońskim ataku do WASHINGTON POST, a resztę spalić?

Potrząsnął głową.

- Jesteś zmęczona, Kay i, tak jak ja, lekko zaszczała...

Podniósł rękę, przywołując kelnera.

- Nie widzę powodów, by zmieniać nasze plany.

*

Wielka sala była pełna tytoniowego dymu, około kilkunastu ludzi siedziało przy stołach i rozmawiało jednocześnie przez telefony i było gorąco - mężczyźni siedzieli bez marynarek i krawatów. Dla Bishopa, który szedł właśnie samym środkiem tej sali, pytania i odpowiedzi w amerykańskim slangu były prawie niezrozumiałe. Wraz z Dolyackim szedł w kierunku oszklonego pomieszczenia przy końcu sali, gdzie na ścianie wisiała wielka mapa Waszyngtonu. Gdy przechodzili obok ludzi, Bishop wylapywał zrozumiałe fragmenty zdań:

-...w tej chwili może być w towarzystwie kobiety...

-...wiek trzydzieści pięć lat, blondynka, wzrost około stu siedemdziesięciu centymetrów...

-...prawdopodobnie w wojskowym mundurze...

-...fotografie dostarczymy za chwilę...

- To robi wrażenie, Dolyacki. Macie wspaniałe warunki, a to powinno przynieść jakieś efekty - powiedział Max Bishop i wszedł za Dolyackim do oszklonego pomieszczenia.

- Przyniesie efekty, jeśli go złapiemy - odrzekł Dolyacki bez przekonania.

- Jeśli go złapiemy?...

- Już mówiłem, że pracuję ze związanymi rękami. Gdyby była to normalna sprawa, fotografie tego człowieka byłyby już na pierwszych stronach wszystkich gazet na wschodnim wybrzeżu, każda stacja radiowa przestrzegalaby ludzi przed nim, a po godzinie nie mógłby nawet wejść do publicznej toalety, bo na pewno by go rozpoznano!

- Nie polega pan na swoich ludziach?

- To nie ma nic wspólnego z zaufaniem do moich ludzi, ich jest po prostu za mało. Nie wiemy nic o tym człowieku, nie możemy nic wydedukować: gdzie będzie, co będzie robił. Nawet jeśli każdy glina w tym mieście dostanie jego fotografie, to i tak może z tego nic nie wyjść, mogą go po prostu przeoczyć albo ten Horn może zmienić trochę wygląd.

Dolyacki mówił szybko, był zdenerwowany i podniecony. Bishop, patrząc na jego twarz, dostrzegł cienie gniewu i nienawiści, gdyby Horn był teraz w jego zasięgu, to życie Niemca wisiałoby na włosku.

- Musimy porozmawiać, majorze...

Dolyacki zamknął drzwi; odgradzeni od głównej sali centymetrem szkła, poprzedni hałas odbierali jako szum. Dolyacki odwrócił się do Bishopa i wycelował w niego palec.

- Nie możemy krążyć wokół tego jak kurczęta przy ziarnie - usiadł na stole. - Widzę jedynie dwie osoby, które mogą nam pomóc w poszukiwaniach: generał Walker i Rudolf Hess. Generał przed sądem nie powiedział nic i jest teraz w areszcie armii, poza moim zasięgiem - nie możemy mu nic zrobić. Wiem, że nie lubi pan rozmawiać o waszym więźniu, ale ja muszę uwolnić sobie ręce. Musimy o nim porozmawiać, majorze...

Bishop stał i nic nie mówił.

- Pański kraj jest w stanie wojny, a ten wasz więzień to wróg. On musi wiedzieć, gdzie miały dotrzeć te dokumenty i nie będzie mi pan chyba wmawiał, że nie rozmawialiście z nim na ten temat?

- Proszę dalej, Mr Dolyacki, ja na razie słucham.

- Dobra. Mam zamiar skontaktować się z waszymi władzami i wymóc na nich zastosowanie określonych nacisków w celu wymuszenia na nim zeznań na temat miejsca pobytu Horna! Zrobię to jeszcze dziś wieczorem.

*

W gabinecie lorda Halifaxa w ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie rozdzwonił się zielony telefon. Ambasador uniósł słuchawkę - z drugiej strony odezwał się zirytowany głos Churchilla; ambasador skrzywił się lekko.

- Panie premierze, jest u mnie pewien officer, major Bishop, prosił mnie o umożliwienie skontaktowania się z panem w bardzo ważnej sprawie.

Bishop patrzył, jak lord Halifax kilka razy skinął głową i podał mu słuchawkę.

- Panie premierze - Bishop był zdenerwowany, zwilżył językiem suche wargi. - Tu major Max Bishop z kontrwywiadu. Sądzę, że jest pan poinformowany o mojej misji w Waszyngtonie?

- Jestem - warknął głos w słuchawce.

- Jest mi bardzo przykro, sir, ale niestety nie widzę możliwości osiągnięcia celu takimi środkami jakimi tu dysponujemy, szczególnie, jeśli chodzi o informację. Nie możemy działać tylko w USA.

- Co pan sugeruje?

Bishop rozejrzał się bezradnie dokoła, jakby szukając drogi ucieczki przed tym, co musiał powiedzieć.

- Co pan sugeruje, majorze?

- Proponowałbym, sir, żeby zastępcę Hitlera zmusić siłą do wyjawienia miejsca przeznaczenia dokumentów...

Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki panowała cisza, wreszcie Churchill powiedział, cedząc wolno słowa:

- Pułkownik Henderson przekaze panu te wiadomości najdalej jutro wieczorem.

W słuchawce stuknęło: połączenie było przerwane. Bishop stał jeszcze ciągle ze słuchawką w dłoni. Był szkolony do wojny od chwili, gdy w 1931 roku przekroczył próg Królewskiej Akademii Wojskowej, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że można tak łatwo zdecydować się na torturowanie drugiego człowieka.

Wysoka postać ambasadora zbliżyła się do niego i lord Halifax delikatnie wyjął słuchawkę z jego ręki.

- Czas, by przespał się pan trochę, młody człowieku, czas na nas obu...

*

Na wielkim łóżku, przykrytym skórą tygrysa, zabawiały się dwie dziewczyny - w takt płynącej z głośnika patefonu muzyki obejmowały się i całowały. Gdy zmieniła się melodia, dziewczęta zmieniły obiekt swoich pieśczęt i zaczęły teraz obejmować swoich partnerów. Oprócz tej czwórki w pokoju znajdowało się jeszcze sześć czy siedem par, zajętych sobą i szczerze szafowaną whisky.

Z dala od nich siedział na krześle samotny Caspiani. Obserwował właśnie, jak opada sukienka z jednej z dziewcząt, gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Wśród towarzystwa zapanowała pewna nerwowość - bądź co bądź spożywali nie tylko alkohol i bujne przymioty ciał różnokolorowych dziewcząt; w pokoju bez trudu można było odnaleźć ślady białego proszku i wyczuć słodkawy zapach dymu. Czyżby policja?

Caspiani wstał.

- Ejże, co to za panika? - uśmiechnął się. - Po prostu zaprosiłem jeszcze kilka dziewczyn. Zajmijcie się sobą, zaraz wrócę z posiłkami!

Ted Markland, choć wypił już pięć dużych drinków, wcale nie uważał się za pijanego. Wstał z podłogi, gdzie na grubym dywanie całował czarną piękność i powiedział do niej coś przepraszająco. Poszedł na klatkę schodową za Caspianem - wiedział, że tamten najlepsze zostawia, na później, a chciał przyjrzeć się nowym budzikom.

Kay, stając przed drzwiami wytwornego domu na przedmieściu Georgetown, przez chwilę poczuła panikę, ale opanowała się szybko i nacisnęła przycisk dzwonka po raz drugi. Kiedy drzwi się otworzyły, stanął w nich wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, spoglądając na nią przyjaźnie.

- Właż do środka - powiedział.

Poczuła alkohol i coś jeszcze, bijące od niego.

- No, nie stój w drzwiach! - zachęcił. - Czekamy już trochę...

Zmarszczyła nos.

- Oczekiwał mnie pan?

- No pewnie!

Z przyjemnością obserwował tę szczupłą, dodrze wyglądającą kobietę, kiedy wchodziła do hallu. Była starsza, niż się spodziewał, ale pełna uroku - widocznie Madame odgadła jego życzenia. Zwykle zamawiał osiemnasto-, najwyżej dwudziestolatki, bo takich pragnęła większość jego przyjaciół, ale sam wołał właśnie takie, o większym doświadczeniu i dojrzałej urodzie. Wskazał zapraszająco schody.

- Jestem Kay Hampton - przedstawiła się.

- Dobra, Kay.

- Czy to Mrs Walker powiadomiła pana, że przyjadę?

Skrzywił się, starając przypomnieć sobie coś na ten temat.

- Mrs Walker? Ta pani z telefonu przedstawiała mi się jako Mrs Dupont... Skąd pani wytrzasnęła to nazwisko?

Kay zatrzymała się na pierwszym stopniu szerokich schodów w kolonialnym stylu; z góry dobiegały jakieś odgłosy i muzyka.

- Przejdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli być sami?

- Później - odpowiedział. - Teraz mamy na górze drinki i muzykę, a poza tym przyjemną zabawę. Zacznijmy najpierw od tego...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zauważyła na schodach drugą sylwetkę. Ted Markland także rozpoznał w niej coś lepszego od tych gumożurek w pokoju na górze i podszedł bliżej.

- Mów mi Ted - powiedział. - Przede wszystkim chodźmy się czegoś napić, złotko.

Gdy weszli na piętro, popchnął drzwi łokciem. Poprzez rozszerzającą się szparę Kay ujrzała kilka par w różnych pozach, a na pierwszym planie Murzynkę, ubraną tylko w wysokie, eleganckie buty. Kiedy drzwi otworzyły się całkowicie, w jej stronę odwróciły się czerwone twarze mężczyzn w średnim wieku. Teraz sobie przypomniała, co mówiła żona generała o przyjęciach senatora Caspianiego i wybuchnęła śmiechem.

Markland zamrugał oczami, a Caspiani wyciągnął dłoń w jej kierunku.

- Co w tym śmiesznego?

- Myślę, że zaszła tu mała pomyłka, senatorze - powiedziała, opanowując się teraz nie była już nawet uśmiechnięta. - Nie jestem z podmiejskiego burdelu, zostałam tu skierowana przez Mrs Walker, żonę generała Walkera... Muszę bezzwłocznie z panem porozmawiać, to bardzo ważne.

Caspiani wytrzymał prawie natychmiast i szybko zamknął drzwi do pokoju.

- Chodźmy na dół do mojego biura. To jest senator Ted Markland, on też w tym siedzi.

Markland też doszedł do siebie podczas krótkiego przejścia do gabinetu na parterze. W gabinecie Caspiani podał wszystkim jedynie po szklance wody sodowej.

- Okay, Mrs Hampton - powiedział, gdy już usiedli. - Pani zaczyna tę partię.

Kay kiwnęła głową.

- Pan wie, że generał Walker został aresztowany?

- Tak.

- Jeszcze wczoraj z jego rozkazu byłam w bazie w Prestwick w Szkocji...

Markland rzucił szybkie spojrzenie na Caspianiego, ale obaj w dalszym ciągu milczeli.

- Myślę, że wiecie, iż Hess miał dotrzeć do tej właśnie bazy?

Caspiani wstał; patrzył przez chwilę na blat biurka, po czym powiedział:

- Tak, Mrs Hampton, wiemy. Czytaliśmy dokładnie brytyjskie raporty.

- Nawigator, który z nim leciał, jest teraz tu, w Waszyngtonie - powiedziała. - Ma wszystkie dokumenty Hessa...

Markland wziął głęboki oddech i niespodziewanie zainteresował się jakąś plamą na swoich spodniach. Caspiani usiadł na krawędzi biurka.

- Wygląda na to, że karty zostały rozdane po raz drugi, a my znów jesteśmy w grze, Ted. Jedyнным problemem jest to, jak mamy je teraz rozegrać?

- Alfred Horn czeka na zewnątrz - powiedziała Kay. - Chyba powinnam go tu poprosić?

Caspiani ześlizgnął się z blatu biurka.

- Czy ma ze sobą dokumenty Hessa?

- Tak.

- Nazwa tej gry zmieniła się od chwili, gdy Generał Walker został aresztowany - potrząsnął głową. - Nie chcę w moim domu tych dokumentów!

Kay spojrzała na niego krwiozerczo.

- Boże! - szepnęła. - Przecież one zawierają szczegóły ataku Japończyków na nasz kraj...

Caspiani spojrzał ostro na Marklanda.

- Co robimy, Ted?

Obaj świadomie zignorowali ostatnie słowa Kay.

- Pasujemy.

Caspiani potaknął.

- Ale czy damy Mrs Hampton nazwisko człowieka, do którego miał przybyć Hess?

Podczas gdy Kay przyglądała im się uważnie, rozwiali w milczeniu wszystkie wynikające teraz możliwości. Po pewnym czasie Markland wstał i dołał do swojej szklanki nieco whisky.

- Głosuję za - powiedział stanowczo.

- Dobrze, Mrs Hampton - powiedział powoli Caspiani. - Pani następny ruch to Massachusetts, a dokładniej - Cape Cod.

*

Gdy druga igła wbiła się w jego skórę, Rudolf Hess otworzył już oczy. Poczul przejmujący strach na widok dwóch ciemnych postaci, pochylających się nad prawym ramieniem. Koniec igły dotarł do jego żyły i momentalnie otrząsnął się ze snu. Zaczął się rzucać, starając się wydostać z rąk swoich prześladowców; igła złamał się i pociekła strużka krwi. Dwaj lekarze odskoczyli, przerażeni jego reakcją i zaczęli wzywać pomocy sierżanta Gwardii, czekającego przy drzwiach. Rudolf Hess skulił się w kącie pokoju jak przerażone zwierzę, z oczu płynęły mu łzy, wywołane szokiem.

- Honor... - szeptał. - Honor...

Wyciągnął złamany koniec igły ze skóry i rzucił przez pokój. Sierżant stał teraz przed nim, ostrożnie trzymając rękę na kolbie pistoletu w otwartej kaburze.

- Słowo dżentelmena! - krzyknął Hess.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale poczul, że nawet oddychanie, nie mówiąc już o najmniejszym ruchu, sprawia mu trudność. Kiedy pochylił się bezładnie do przodu, sierżant chwycił go za piżamę i pociągnął na łóżko.

Kiedy dziesięć minut później wszedł do pokoju oczekiwany psychiatra, nie było nawet śladu po tym incydencie. Rudolf Hess leżał spokojnie jak dziecko, a dwaj lekarze mierzyli mu ciśnienie. Psychiatra miał dwadzieścia dziewięć lat, naszywki kapitański nosił od niecałego roku, ale jego ruchy zdradzały wybitną inteligencję. Odwrócił się do lekarzy.

- Dziękuję wam, panowie. Proszę mi wybaczyć ale mam rozkaz, by badanie przeprowadzić na osobności.

- Obaj lekarze wyszli razem z sierżantem, który zamknął za sobą drzwi. Kiedy psychiatra został sam, otworzył swoją torbę i postawił ją na małym stoliku przy łóżku Hessa. David Morgan-Smith badał halucynogeny od czasu gdy został wysłany przez St. Bartholome Hospital do Meksyku. Tam natknął się na Indian, żujących peyotl i obserwował, jak ten narkotyk wywołuje u nich dziwne wizje. Przez wiele lat badał neuropeptydy, ekstrahował coraz coraz to nowe substancje ze zwierzęcych mózgów. Potrafiły one wywoływać wzrost percepcji, zaniki pamięci, pobudzać seksualnie oraz wywoływać wiele innych efektów. Wojna przerwał jego badania, ale ta sama wojna dała mu możliwość wypróbowania tych środków na ludzkim organizmie. Teoretycznie możliwa była całkowita zmiana osobowości człowieka bez zabijania go. Teraz otrzymał polecenie wydobycia za wszelką cenę pewnej informacji, nie miał zatem żadnych ograniczeń, a mógł przy okazji badać wpływ swoich preparatów na żywy, ludzki mózg.

Badania wykazywały, że największy wpływ poza bezpośrednim wstrzykiwaniem preparatów pod czaszka miała inhalacja przez nos. Teraz David Morgan-Smith założył inhalator na twarz śpiącego Hessa i napelił go dwoma centymetrami jednego z roztworów, po czym wziął notes i usiadł na krześle przy łóżku Hessa. Po kilku minutach był pewien, że śpiący znajduje się już pod wpływem narkotyku. Teraz należało pokierować torem jego snów i myśli - to był największy problem, w tym tkwiło zwycięstwo lub porażka. Morgan-Smith pochylił się nad leżącym.

- Stellvertreter... - szepnął. - Stellvertreter...

Pod zamkniętymi powiekami gałki oczne Hessa wykonywały szaleńcze ruchy.

- Stellvertreter... Pańska misja nie jest skończona... To porażka, Stellvertreter, porażka...

Hess zaczął rzucać głową na wszystkie strony.

- Przez ciebie i Fuhrer poniósł porażkę - mówił miękko David. - Nie dotarłeś do Ameryki, nie spotkałeś człowieka, z którym miałeś się spotkać... To porażka...

Człowiek na łóżku przestał się rzucać, na twarz wystąpił mu pot.

- Fuhrer wie... - wymamrotał. - Fuhrer musi znać prawdę...

- Prawdę? - zapytał cicho psychiatra.

- Poświęciłem się dla jego...

- To tylko słowa! - powiedział ostrym tonem psychiatra. - Dla Fuhrera jesteś zdrajcą!

- Moje poświęcenie... - załkał Hess.

- Poleciałeś do Anglii i zawiodłeś Fuhrera...

- Nie... - głos Hessa stał się silniejszy.

- Fuhrer myśli, że uciekłeś do Anglii!

- Do - Ameryki...

- Dlaczego do Ameryki?

- Lojalność w poświęceniu...
- Dlaczego Ameryka?
- Poświęcenie w lojalności... - po policzkach Hessa potoczyły się wielkie łzy.

Dziwne przesłuchanie ciągnęło się powoli. Przez następne dwie godziny Morgan-Smith dodał jeszcze osiem centymetrów sześciennych preparatu. Hessowi zaczęło się wydawać, że znów jest w Pałacu Sportu i przedstawia po raz pierwszy setkom tysięcy zgromadzonych Niemców małą postać Hitlera.

- Hitler to Niemcy, Niemcy to Hitler! - wrzeszczeli generałowie z Kwatery Głównej.

Potem szedł między dwoma szeregami stojących w mroku ludzi, wśród których rozpoznawał Goeringa, Himmlera, tajemniczego Bormanna... Zbliżał się do miejsca, gdzie stał w blasku Adolf Hitler, a za nim sam jego Przewielebność papież Pius. Błogosławili go za jego poświęcenie dla Niemiec, ale gdzieś obok słyszał jakiś natarczywy głos, głos sumienia:

- Teraz jesteś niczym, Stellvertreter... - mówił łagodnie Morgan-Smith. - A przecież wszystko to mogłoby się wydarzyć, gdybyś spotkał się w Ameryce z...

Hess oddychał ciężko, usta z trudem łapały powietrze.

- Spotkał w Ameryce z...

Wyglądało na to, że Niemiec znów pogrąża się w normalnym śnie. Zdesperowany David Morgan-Smith podał mu sześć centymetrów roztworu w pojedynczej dawce uderzeniowej. Teraz ciało Hessa wyprężyło się. Psychiatra widział, jak jego ciężkie wargi z trudem formułują nazwisko AMBASADORA.

15

Joseph F. Kennedy, były ambasador USA na dworze świętego Jerzego, odwołany z Londynu z uwagi na swoje antybrytyjskie przekonania, siedział teraz przy biurku i dokładnie studiował pokreśloną różnokolorowymi liniami sztabową mapę, leżącą przed nim. Czuł się wytrącony z równowagi od momentu, gdy przybyli do niego ci dwoje, siedzący teraz naprzeciw niego.

Horn, przyzwyczajony do surowości swego rodzinnego zamku, na Pomorzu, nie mógł się nadziwić, jak można żyć w takiej rezydencji, gdzie każdy szczegół domu, ogrodu i innych miejsc trącił dorobkiewiczostwem i dziecinną egzaltacją, a dekadencja była widoczna na każdym kroku, nawet w ubraniu człowieka za biurkiem.

Kennedy odsunął papiery.

- Potrafię, oczywiście, czytać po niemiecku - powiedział z silnym akcentem bostońskim. - Nie wiem jednakże, czy mogę ufać waszym wyjaśnieniom, dotyczącym tych dokumentów...

Złożył rękę za kraj marynarki.

- Kiedy pan, kapitanie, po raz ostatni widział Herr Hessa?

- Tak, jak już panu mówiłem, Rudolf Hess nie żyje - odpowiedział stanowczo Horn. - Widziałem, jak zastrzelili go ludzie, wysłani przez SS w szpitalu koło Dungavel.

- Brytyjczycy utrzymują, że jest żywy i przebywa w odosobnieniu...

- Proszę posłuchać, Mr Kennedy! - wybuchnęła Kay. - Anglicy mogą mieć milion powodów, by udawać, że Hess żyje, ale mogę powiedzieć, że byłam wtedy przy tym szpitalu, słyszałam strzelaninę, a kapitan Horn był w samym szpitalu i widział to wszystko!

- Rozumiem.

- Ale ja nie! - powiedziała agresywnie Kay. - Czy pan musi wiedzieć, że Hess żyje, czy nie?

- To nie jest ważne - odparł Kennedy.

- W takim razie co jest ważne?

- Dla mnie jest ważne, Mrs Hampton, czy to Adolf Hitler chciał jego śmierci.

- Po co?

- Od tego zależy, co zrobię z tymi dokumentami.

- W jaki sposób zależy, Mr Kennedy? - zapytał Horn; czuł antypatię do tego człowieka, ale czuł także, że jest to człowiek nieprzeciętny.

- Jeśli Adolf Hitler zgadza się w stu procentach z propozycjami Hessa, to mogę wpłynąć na prezydenta Roosevelta, by zniósł Lend-Lease. Mówiąc krótko, jeśli naprawdę Hitler proponuje pokój Wielkiej Brytanii, wstrzymanie dostaw zakończy wojnę.

- A jeśli Hitler nie zgadza się z tymi propozycjami? - powoli zapytał Horn.

- Wtedy także pójdę do Roosevelta z tymi planami i dla mojego kraju efekt będzie podobny. Najważniejsza będzie kwestia Japonii, o pomocy dla Wielkiej Brytanii nie będziemy nawet wspominać.

- A plany ataku na Rosję?

Kennedy podniósł dłoń.

- Nie leżało w intencjach Hessa zdradzanie militarnych intencji Hitlera; informacje te miały być przekazane jako zapewnienie prawdziwości, tylko dlatego je przyjąłem. Na pewno nie zostaną ujawnione!

- Pan mnie nie rozumie, Mr Kennedy... Ja zrobiłem to wszystko po to, by oba ataki zostały udaremnione.

Kennedy spojrzał na młodego Niemca z niedowierzaniem.

- Przecież to zdrada, kapitanie...

- Tak.

Kennedy potrząsnął głową.

- Pan jest wierzący, kapitanie?

- W każdym razie byłem. Podczas drogi utraciłem dużą część wiary.

- Katolik?

- Dokładniej luteranin.

- Pan wie, co się dzieje z wierzącymi w Związku Radzieckim, kapitanie?

- A czy pan wie, co dzieje się z Żydami w moim kraju?

Był podniecony, musiał to powiedzieć. Kay spojrzała na niego z zaskoczeniem, ale i cichym poparciem. Kennedy popatrzył na nich uważnie.

- Wiem, że obecna sytuacja w Niemczech nie jest zbyt atrakcyjna... Ale Niemcy są w stanie wojny i nie mogą wprowadzać u siebie tak demokratycznych metod, jak chociażby w Anglii...

- To co mówiłem, dotyczyło jeszcze czasów przed Wojną...

Światło biurowej lampy odbiło się w okularach Josepha Kennedy'ego. Przez chwilę siedział nieruchomo i przeżuwał coś w myślach; nie było widać jego oczu, ale Horn czuł na sobie jego spojrzenie.

- Proszę mi powiedzieć, czy pan po to dostarczył te dokumenty, by następnie powiadomiono o nich Związek Radziecki?

- To było częścią mojego planu.

- Czy pan jest komunistą, młody człowieku?

Horn spojrzał na Kay w desperacji.

- Nie, Mr Kennedy, nie jestem komunistą. Po prostu wierzę że Rosja i Stany Zjednoczone, ostrzeżone na czas, rozpoczną negocjacje, które doprowadzą do końca wojny. Jeżeli pan lub rząd USA nie przekazacie tych dokumentów Rosji, będę się starał sam im to przekazać.

- Kapitanie, jutro z samego rana polecę prywatnym samolotem do Waszyngtonu. Proponuję, by pan i Mrs Hampton poczekali na mój powrót. Podwożę państwa do przyjemnego zajazdu parę mil stąd i jeśli wszystko dobrze pójdzie, możecie spodziewać się mnie jutro wieczorem. Wtedy zadecyduje pan, co powinien pan robić.

*

Asquith, szef służby bezpieczeństwa ambasady brytyjskiej skinął na Bishopa, gdy zadzwonił zielony telefon.

- To na pewno do ciebie, Max.

Podniósł słuchawkę.

- Ambasada w Waszyngtonie, mówi Asquith. Proszę o pański kod identyfikacyjny.

Sluchał przez chwilę.

- Major Bishop jest tu ze mną, panie pułkowniku.

Odwrócił się ze słuchawką przy twarzy, ciągle słuchając; jego usta otworzyły się, jakby chciał zaprotestować. Wreszcie powiedział:

- Myślę, że jest pan pewny tej wiadomości, panie pułkowniku...

Znów milczał przez chwilę i uważnie słuchał; od czasu do czasu spoglądał na Bishopa.

- Zrozumiałem! - zakończył rozmowę.

Podał słuchawkę Bishopowi.

- Będę na zewnątrz.

- Max, tu pułkownik Henderson. Mam te informacje dla ciebie. Niespodzianka - nasz więzień planował spotkanie z Josephem Kennedy, który jeszcze kilka miesięcy temu był ambasadorem w Londynie. Przeniesiono go z powodu jego antybrytyjskich zapatrywań, ale przede wszystkim jest on antykomunistą.

Bishop skinął głową, bez zaskoczenia akceptując te informacje.

- Jeszcze jedno pytanie, panie pułkowniku...

- Tak?

- Czy mogę wiedzieć... Czy ciężko było to z niego wydobyć?

- Te informacje?

- Tak.

- Ależ ty masz wyobrażenia, Max! Era ciemnych lochów i wyrafinowanych tortur odeszła wraz z Inkwizycją - no, w każdym razie u nas. Teraz robi się to przez zastrzyk, a informacje zdobywał nie kat, ale psychiatr. To było zupełnie bezbolesne...

- Rozumiem.

- Czym ty się przejmujesz, Max?

- Nie, w porządku. Mam nadzieję, że odbyło się to aż tak prosto, jak pan mówi, panie pułkowniku...

- Przypuszczam, że Hess będzie miał trudności z przypomnieniem sobie, co się w ogóle stało.

Kiedy Bishop odłożył słuchawkę, dostrzegł stojącego w drzwiach Asquitha, który wszedł do środka gdy zobaczył, że rozmowa została zakończona. Teraz wyjął z szafki butelkę brandy i napenił dwa kieliszki.

- Proszę - powiedział, podając jeden Bishopowi.

Max wziął kieliszek machinalnie.

- Jest doskonała! - powiedział Asquith, - Pierwszy gatunek w swoim rodzaju.

Bishop wyczuł, że coś jest nie w porządku.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

- Tak. Zmieniły się twoje rozkazy...

- Coś, czego Henderson nie chciał przekazywać mi osobiście?

- To trochę skomplikowane...

Bishop pokiwał głową.

- O Alfredzie Hornie?

- Tak. Henderson mi powiedział, że to twój osobisty przyjaciel jeszcze sprzed wojny...

- To prawda.

Asquith łyknął brandy.

- No, wyduś to z siebie!

- Pułkownik Henderson wyjaśnił mi to tak, jak mógł. Chodzi o to, że w każdym przypadku po złapaniu trzeba Horna wyeliminować z całej tej sprawy...

Bishop zrozumiał.

- Tak... - mruknął. - Wyeliminować...

- Tak to bywa, że rozkazy się zmieniają, Max. To ciężkie dla przyjaciela tego Niemca...

- Rozumiem - Bishop odstawił kieliszek. - Londyn rozkazuje mi zabić Alfreda Horna.

*

Przejechali przez wąską bramę; portier wskazał kierunek i podał klucze. Prowadziła Kay, cały czas milcząc.

- Ta wojna się rozprzestrzeniła, Kay - powiedział po chwili Horn.

- Tak, wiem. Zbyt wielu ludzi chce wygrać swoje własne batalie, by mogło dziać się inaczej. Kennedy i jego papież chcą walczyć z Rosją, Churchill i Roosevelt chcą walczyć z Niemcami, Japończycy chcą zaatakować USA...

Jechali w milczeniu przez kilka chwil; światła reflektorów wyluskiwały z mroku wydmy, pokryte trawą.

- Niecały miesiąc temu latałem Messerschmittem w eskorcie bombowców w czasie nalotów na Londyn - powiedział w zadumie Horn. - Tam, w powietrzu, nigdy nie miałem wątpliwości. Piloci RAF-u byli tak samo dobrzy jak my, ich samoloty można było porównywać z naszymi - to była czysta walka z regułami wprost z dawnej kawalerii... Teraz widzę, że była to walka dla samej walki i zastanawiam się, która walka jest gorsza: ta, w której walczy się dla dreszczu ryzyka, czy ta, w której na zimno planuje się eksterminację wroga?

Kilka mil za Chatham zjechali z nadbrzeżnej drogi, powoli przejechali przez otwartą, drewnianą bramę i zatrzymali się u stóp białej willi Cape Cod.

- Co teraz zrobisz? - zapytała.

- Bóg wie! - westchnął. - Właściwie logicznym następstwem mojej zdrady byłoby zaoferowanie usług Stanom Zjednoczonym, ale sądzę, że jeszcze nie jestem gotów. Mam kuzynów i wujów - wszyscy w Wermachcie...

Otworzyła drzwiczki wozu. Reflektory oświetlały budynek - niską, długą willę z płaskim dachem. Wyłączyła światła i oboje weszli do środka. Wnętrze było jeszcze okazalsze, niż mogłoby się wydawać z zewnątrz: kamienne schody i kominek dawały posmak luksusu, a na piętrze były dwie sypialnie z ciężkimi, dębowymi łóżami i doskonale wyposażona łazienka. Dziesięć minut po ich przybyciu do drzwi zapukał mężczyzna, który przyniósł dwie duże torby z szynką, jajkami, kilkoma butelkami doskonałego burgunda i kilkoma innymi rzeczami. Położył rzeczy na stole i zniknął w mroku nocy, rozpalając przedtem w kominku.

Kay spojrzała na Horna, gdy zamknęły się już drzwi.

- To musi być przyjemne, gdy jest się bogatym - rozlała do kieliszków wino i stanęła, patrząc w ogień. - Czy ty jesteś bogaty, Alfredzie?

Potrząsnął głową.

- Nie tak, jak Kennedy. Zresztą, po tym wszystkim prawdopodobnie w ogóle nie... Do ostatniej soboty byłem właścicielem stu hektarów na Pomorzu, to niezła ziemia... Poza tym kamienny dom, wyglądający jak mały, angielski zamek, kilka stawów rybnych i przyjemny domek myśliwski - uśmiechnął się. - Troszkę bogaty... Odziedziczyłem to po moim ojcu, który umarł kilka lat temu.

Kay zabrała zapasy do kuchni i zaczęła przygotowywać ze spokojem lekką kolację.

- Dziwne - powiedziała. - Nigdy nie sądziłam, że jesteś właścicielem ziemskim, niemieckim ziemianinem. Czy to robi z Ciebie junkra?

Wyciągnął się na sofie naprzeciw ognia, spoglądając w jej kierunku.

- Tak, wygląda zresztą, że nie tylko to. Każdy mężczyzna z rodu był w wojsku, mój ojciec zawsze chodził z monoklem...

Kiedy kolacja była już gotowa, otworzył następną butelkę wina; jedli, patrząc w ogień.

- Wygląda na to, że jako junkier miałeś coś w rodzaju *droit de seigneur*, prawa pierwszej nocy w podległych ci wioskach. Użyłeś kiedyś tego zwyczaju?

- Te prawa dawno już nie funkcjonują, Kay - uśmiechnął się do niej. - Ludzie ze wsi inaczej nas już traktują, nie jesteśmy panami. Pamiętam, jak jeszcze byłem chłopcem, tuż po pierwszej wojnie, walkę o naszą ziemię... Wtedy wsie obierały same przywódców takich, jak mój ojciec i maszerowały na Polaków...

Na chwilę przestała jeść.

- Na Polaków?

- Po tamtej wojnie panowała anarchia, oni chcieli mieć dla siebie swój kraj, my chcieliśmy mieć swój. Granice były płynne. To była krwawa walka...

- Co zrobiliście?

- Z naszego terenu wyparliśmy ich, z innych oni nas wyparli. Potem, pamiętam, zaczęła się era swastyk, Freikorpsu i trupów, które znajdowano z przestrelonymi głowami; jednych znaleźliśmy, innych nie... To było szaleństwo!

Spojrzała na niego..

- Przepraszam... - powiedziała prawie szeptem. - Wydaje mi się, że przeze mnie naszły cię złe wspomnienia...

Machnął ręką i wziął butelkę, by dolać jej wina, lecz zasłoniła swój kieliszek dłonią.

- Nie, dziękuję, nie teraz. Muszę zatelefonować.

- Do kogo?

Wstała.

- Do Ralpa, mojego męża; właśnie dziś miał przyjechać do domu.

Telefon wisiał pod schodami, przy osiemnastowiecznym, angielskim krześle. Wykręciła numer mieszkania w Waszyngtonie; sygnał powtarzał się cztery, pięć razy aż pomyślała że jeszcze nie przyjechał, aż wreszcie z tamtej strony podniesiono słuchawkę i usłyszała głos męża. Silniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Ralph? Tu Kay.

- Kay? - w jego głosie brzmiał niepokój. - Wszystko w porządku, złotko?

- W porządku.

- Słuchaj, co się tu działo? Gdy przyszedłem, całe mieszkanie było wywrócona do góry nogami przez FBI, twoje rzeczy rozrzucone po całej sypialni i nikt nie chciał mi wyjaśnić, o co właściwie chodzi...

- Jestem w Massachusetts, Ralph, będę z powrotem za dzień lub dwa..

- Za dzień lub dwa?

- Tak.

- Co się stało, Kay? W co ty się wplątałaś?

- Nie wplątałam się, Ralph...

- Jeśli nie, to...

- Proszę, nie zadawaj mi teraz pytań - powiedziała łagodnie.

Po chwili milczenia zapytał podejrzliwym tonem:

- Nie jesteś tam sama?

Wzruszyła ramionami.

- Nie, Ralph, nie jestem sama, ale to nie to, o czym myślisz.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza.

- Wrócę za dzień, Ralph.

Usłyszała jego westchnienie.

- I przyrzekam, że wtedy wszystko ci opowiem.

- Tak... - powiedział wreszcie; głos miał zgaszony. - Cóż, dziękuję choć za to, Kay...

- Ja bardzo bym chciała być teraz z tobą, Ralph!

Znów długa przerwa; czekała, trzymając słuchawkę przy uchu. Po chwili powiedział:

- Ja też bym chciał, żebyś była już ze mną. Postaraj się wrócić jak najszybciej.

Rozłączyli się.

- Jaka ze mnie świnia! - powiedziała do siebie przypominając sobie wszystkie momenty, w których przepraszała go za swoich przygodnych przyjaciół.

Przeszła przez Living-room i wzięła do ręki duży kieliszek wina. Wypiła wszystko, stojąc pośrodku pokoju, podczas gdy Horn przypatrywał się jej uważnie.

- Opowiedz mi o swoim mężu, Kay...

Potrząsnęła głową.

- Chciałbym wiedzieć...

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Chciałbym wiedzieć, czy go kochasz.

- Tak - powiedziała i zacisnęła usta. - Zawsze respektowałam obowiązki, małżeńskie, nigdy go jeszcze nie zdradziłam. A teraz oboje jesteśmy zdrajcami naszych krajów, być może mordercami... Wydaje mi się, że skok w bok to bardzo mały grzech.

- Skok w bok?

- Jesteś młodym i atrakcyjnym mężczyzną, Alfredzie...

Napełnił jej kieliszek.

- Zadzwoisz mnie, Kay - powiedział powoli. - Choć przecież mówiłem ci jeszcze w Szkocji, że gdy nadejdzie czas i w innym miejscu...

Otrząsnęła się.

- O Boże! - powiedziana szybko. - Jak mogłam być tak głupia?

Zrobiła kilka kroków w kierunku schodów.

- Idę do łóżka, Alfredzie. Przedtem coś mnie napadło. Biorę tę drugą sypialnię.

Chwycił ją za rękę i odwrócił ku sobie.

- Jesteś ze mną bezpieczna, Kay. Przyrzekam, że nic się nie zdarzy. Wezmę inną sypialnię, ale nie chciałbym spędzić tej nocy samotnie...

Nie odpowiedziała; kiedy puścił jej dłoń, odwróciła się i poszła na górę. Siedział samotnie, pijąc wino i słuchał jak bierze prysznic. Kiedy skończyła, usłyszał szybki tupot i trzask zamykanych drzwi. Była w swojej sypialni. Powoli zgasił papierosa w popielniczce, nalał do kieliszka resztę wina z butelki i poszedł z nim na górę. W swojej sypialni rozebrał się i stał przez chwilę nago przy otwartym oknie, słuchając szumu morza, wreszcie odwrócił się i wdrapał na wielkie, dębowe łożo. Powoli sączył wino, kiedy usłyszał ciche kroki na korytarzu. Pił dalej wino i obserwował uważnie klamkę. W półmroku zamajaczył kształt kobiecego ciała; spoglądał na nią bez słowa. Stała pośrodku sypialni w długiej koszuli nocnej.

- Skok w bok, jak powiedzieliśmy...

Uniósł się na łokciu i skinął głową.

- Jeśli chcesz w ten sposób...

- Nic się nie zdarzy?

- Nie.

- Po prostu małe przedstawienie?

- Cóż, zdarza się...

Zrobiła dwa kroki do przodu, a on uniósł się wyżej i pociągnął ją za rękę na łóżko.

- Czy uzyskam za to przebaczenie? - zapytała.

- Nie.

- Bądź co bądź, nie miałam innego mężczyzny od ośmiu lat.

- Teraz będzie lepiej...

- A to się dopiero zobaczy.

- Więc zaczynamy...

Pociągnął wstążkę jej koszuli i ukazały się wspaniałe, kształtne piersi. Zaczął pieścić jedną z nich, a gdy zaczął je całować, objęła go mocno. Długo pieścili się i całowali; związek między nimi stawał się coraz bardziej ścisły. Czuli gorąco swoich nagich ciał, słyszeli swoje przyspieszone oddechy. Kiedy w nią wszedł, westchnęła namiętnie.

- Skok w bok - powiedział leżąc na niej i wpatrując się w jej oczy.

Uśmiechnęła się.

- I co dalej?

*

Prywatny samolot unosił się nad Bostonem w promieniach wschodzącego słońca, kierując się na południe przez Charles River. Joe Kennedy siedział samotnie w małej kabinie pasażerskiej, smakując podaną przed chwilą przez stewarda kawę. Wiedział że odbywa teraz najważniejszą podróż w całej swojej karierze, od kilku najbliższych godzin zależeć będzie spełnienie się większości jego ambicji.

Poza życiem rodzinnym nie miał czasu na sentymenty, ale ten jego własny projekt był dla niego wszystkim. Kilka dni temu był pewien, że przegrał, kiedy dowiedział się, że w Szkocji złapano Hessa, prawie się upił, ale teraz miał nową nadzieję. WIELKI PLAN nie rozpadł się jeszcze w gruzy, TAJNA KRUCJATA, jak nazwał go jego przyjaciel, Eugenio Pacelli, czyli papież Pius XII, miała spowodować zaprzestanie walki pomiędzy Imperium Brytyjskim a Niemcami i co więcej, oba te narody miały zjednoczyć się przeciwko Bezbożnym Sowietom. Pius XII rozpoczynał pracę nad tym planem jeszcze wtedy, gdy pracował w Niemczech jako nuncjusz papieski. Zdobył wtedy zaufanie tego romantycznego mistyka, Rudolfa Hessa, który wierzył, że TAJNA KRUCJATA leży w interesie ich wszystkich i przede wszystkim w interesie jego Fuhrera. Pracowali nad nią ciężko w latach 1939-1940, borykając się z napadami szalu Hitlera, tracącego swe pułki w Polsce i we Francji. Powoli przekonywali Fuhrera, zawziętego na Brytyjczyków jeszcze od czasów I wojny światowej; wreszcie wydawało się, że Adolf Hitler uwierzył już we współpracę obydwu mocarstw i w to, że ich jedynym wrogiem są rosyjscy barbarzyńcy. Teraz, po miesiącach przygotowań, po ryzykownym, samotnym locie przez Morze Północne Rudolf Hess stracił swoją szansę na przejście do historii, jednak dzięki temu młodemu, niemieckiemu lotnikowi do rąk Joe Kennedy'ego dotarło przesłanie i tylko on mógł uratować świat chrześcijański. Ponadto dokumenty, które miał w teczce, mogą wynieść go na szczyt; ten typ działania Joe lubił najbardziej - idealne balansowanie między dobrem publicznym i własnymi korzyściami.

*

Horn obudził się, gdy na twarz padł mu promień wschodzącego słońca. Obok niego leżała na brzuchu Kay, naga, z podkurczonymi nogami i jedną ręką pod głową. Przez kilka minut nie ruszał się. Zza okna dolatywał śpiew ptaków i ostrożnie, by nie obudzić Kay, wyslizgnął się z łóżka, po czym podszedł do okna. Widział piaszczystą, prostą linię wybrzeża, bliżej domu dostrzegł starego ogrodnika, strzygącego żywopłot. Słońce na bezchmurnym niebie grzało jak w lecie. Nic z ostatnich, dziwnych dni nie pozostało już w nim; po wyrzeczeniach, strachu i ucieczkach czuł, że znów wraca do normalnego życia.

Kay poruszyła się i otworzyła oczy. Horn podszedł bliżej i usiadł na brzegu łóżka.

- Cześć.

Przeciągnęła się rozkosznie.

- Hej... - w jej głosie czuć jeszcze było senność.

- *Werd ich zum Augenblicke sagen: Verweile doch, Du bist so Schon.*

- Co mówisz? - zapytała.

- Nie jestem pewien, czy mogę ci to powiedzieć...

Milczała przez chwilę.

- To znaczy?

- Mówię do chwili - zatrzymaj się, jesteś zbyt piękna, by odejść... To Goethe.

Uniosła się na łokciu; jej duże, kształtne piersi poruszyły się.

- Myślę, że dogadaliśmy się ostatniej nocy - nic się nie zdarzyło.

Popatrzył na jej płaski brzuch i znów podniecony, zaczął opuszczać rękę na jej ramię.

- *So schon du bist - diese Augenblick werden nicht verweilen.*

Uniosła pytająco brwi.

- Nie przejmuj się, Kay - ta chwila już nigdy nie wróci...

Wstał i patrząc w stronę okna powiedział:

- To cholernie piękny dzień, nie strąmy go.

*

Pojechali do Chatham. Zatrzymali się na skraju drogi i patrzyli, jak człowiek w żółtej koszuli wyrabia przed swoim małym sklepikiem świece. Potem w narożnej drogerii Kay kupiła okulary słoneczne, a Horn przeglądał mapę okolicy. Kiedy szli chodnikiem, ze

złotego nieba lał się żar, osłabiony nieco chłodnym powiewem znad morza. Nawet na głównej ulicy nie było dużego ruchu, w witrynach sklepów leniwie stali ich właściciele, popatrując spod przymkniętych powiek na turystów, spacerujących po ulicy. Prawdziwy ruch zaczęło się dopiero w czerwcu, lecz oboje, Kay i Horn, po prostu cieszyli się chwilą nie wiedząc, co przyniesie ta przyszłość.

*

Kiedy Joseph F. Kennedy wszedł do Okrągłego Pokoju na pierwszą audiencję poobiednią w sobotę, siedemnastego maja, Roosevelt uśmiechnął się zapraszająco i unosząc ręce, powiedział:

- O, ile to już czasu, Joe! Dawno chciałem cię zobaczyć...

Kennedy zmrużył oczy.

- To nie moja wina, panie prezydencie - powiedział zimno Joe. - Przybyłbym do Waszyngtonu, kiedy tylko by mi pan to polecił, wie pan dobrze, że czekam na nową pracę, a ja i Rose mieszkamy niedaleko.

- To nie jest takie proste, Joe - Roosevelt uśmiechnął się smutno. - Muszę znaleźć stanowisko, które byłoby odpowiednie dla ciebie, a te najwyższe nie zwalniają się z dnia na dzień.

- Może pomoże to coś, gdy pokażę, co mam.

Kennedy wyjął plik dokumentów i położył je na stoliku obok prawej ręki Roosevelta.

- Czy wybierasz się na Florydę tej zimy, Joe? Pamiętam, że oboje z Rose lubiliście tam bywać.

- Tak, byliśmy tam raz czy dwa - poprawił okulary. - Panie prezydencie...

- Będzie mi miło zobaczyć cię znów w Waszyngtonie, Joe - mamy tu kilka kłopotów z kilkoma agencjami federalnymi, na pewno będziesz mógł mi pomóc.

- Panie prezydencie, te dokumenty ukażą panu sprawy najwyższej wagi.

Roosevelt uśmiechnął się lekko.

- Mam tyle spraw na głowie... Czy wiesz, kto ma się spotkać ze mną?

- Być może nic z tego nie będzie - sapnął Kennedy. - W porównaniu z tymi dokumentami reszta jest mało ważna...

- Co ty chcesz ode mnie, Joe? Przez telefon byleś taki tajemniczy...

- Panie prezydencie, przyleciałem do Waszyngtonu z informacjami najwyższej wagi dla całych Stanów Zjednoczonych... Wczoraj młody oficer Luftwaffe powierzył mi te dokumenty.

- Wal dalej, Joe...

- Panie prezydencie, kładę przed panem losy świata. Wierzę, że pańskie działania doprowadzą do końca wojny.

- Skąd właściwie to masz, Joe?

Roosevelt w dalszym ciągu nie spuszczał oczu z Kennedy'ego.

- Pochodzą wprost od Rudolfa Hessa. Był właśnie w drodze do mnie, kiedy złapali go Brytyjczycy.

- Rozumiem. A ty wiedziałeś, że on jest w drodze do ciebie?

- Tak, spotkanie zostało zaaranżowane przez jego Przewielebność Piusa XII.

Roosevelt dotknął papierów.

- To musiało wymagać wielu zabiegów...

- Spotkałem się z jego Przewielebnością, gdy byłem jeszcze ambasadorem w Wielkiej Brytanii. Oczywiście, dyskutowaliśmy o sprawach światowych - zastanawialiśmy się, czy w wypadku wybuchu wojny światowej Stany Zjednoczone będą po stronie Rosji...

- Nie rozumiem, jak mogliście myśleć w ten sposób...

- To były tylko prywatne spekulacje, panie prezydencie.

- Jeżeli jest się ambasadorem Stanów Zjednoczonych, żadne przypuszczenia nie mogą być prywatne, szczególnie podczas dyskusji na takim szczeblu.

Joseph F. Kennedy poszarżał na twarzy.

- Czy przejrzy pan te dokumenty, panie prezydencie?

- Zostaną dokładnie zbadane przez ekspertów. W tej chwili może mógłbyś pokrótce powiedzieć, co zawierają...

- To informacje o niemieckim ataku na Rosję i plany ataku japońskiego imperium na flotę USA przy końcu tego roku.

Kennedy ze zdziwieniem stwierdził że prezydent nawet nie jest zaskoczony; przeciwnie, Roosevelt patrzył na niego z lekkim, uśmiechem.

- Jeśli Japończycy zaatakują Stany Zjednoczone, to rozumie się samo przez się, że Niemcy - jako sprzymierzeńcy Japończyków - znajdą się z nami w etanie wojny...

- I właśnie Hess chciał zapobiec tej katastrofie... Stany Zjednoczone powinny wystąpić przeciwko, brytyjskim imperialistom i sowieckim ateistom!

Roosevelt uniósł brwi.

- Przeciwno faszystowskiemu Niemcom, Joe i japońskiemu Imperialistom.

Kennedy poczuł dreszcz na plecach.

- Znajdziemy się po złej stronie! - powiedział ostro. - Po prostu Brytyjczycy kończą się. Widziałem to, gdy byłem w Londynie.

- Londyn nie wygląda tak źle...

- Panie prezydencie, jako ambasador USA w Wielkiej Brytanii opisywałem, sytuację tak, jak ją widziałem. Nie będę wyświadczał przysług brytyjskiemu rządowi po to tylko, by byli ze mnie zadowoleni!

- To stare żale, Joe, wróćmy do tematu naszej rozmowy. Według ciebie Brytyjczycy powinni dogadać się z Niemcami?

- Hess określił sposób, w jaki miało się to stać, nie zaopatrywani przez nas zrezygnują z walki na rzecz pokoju, a później ich wojska ruszyłyby wraz z Niemcami na Rosję, flota zaś popłynęłaby przeciw Japonii...

Roosevelt uśmiechnął się. - Rozumiem, Joe: dwa imperia zniszczą się w wojnie na morzu, Niemcy zaleją Rosję i zniszczą komunizm... A USA? Jaką rolę odgrywałby arsenał demokracji w tym wielkim planie, Joe?

- USA przeprowadziłyby negocjacje z Japończykami i pozostałyby neutralne.

- To czyste przypuszczenia, Joe...

- Tylko jeden człowiek stoi im na przeszkodzie.

Roosevelt wyciągnął z pudełka cygaro; obcinając jego koniec powiedział:

- I któż to jest, Joe?

- Pan wie kto, panie prezydencie - Winston Churchill, w 1940 roku prowadził walkę do ostatniego Francuza, teraz chce walczyć do ostatniego Amerykanina!

Roosevelt zapalił cygaro i jedną ręką skierował swój wózek w stronę okna. Kennedy obserwował jego profil, ostro zarysowaną szczękę, chude policzki i łagodne usta. Prezydent powoli zaciągnął się wonnym dymem.

- Joe, Stany Zjednoczone dążą do wejścia w tę wojnę...

Kennedy spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Po tym, jak został pan wybrany z ramienia antywojennego stronnictwa? Po tym, jak głosiłem, że jest pan przeciwnikiem wojny? Po tym, jak dostarczyłem panu te dokumenty? I pan mi mówi, że dążymy do wojny?!

Roosevelt pochylił się w swoim wózku.

- W styczniu usunąłem cię, ponieważ chciałem zlikwidować izolacjonistów, ale mogę ci przyrzec, że pomyślę znów przy nominacjach na 1944, co ci zaproponować. Co teraz zrobisz, Joe? Czy chcesz stracić tę szansę? Nie chcesz zostać prezydentem?

Kennedy milczał.

- No, Joe?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi, panie prezydencie...

- Jeśli wystąpisz przeciwko mnie podczas wojny, nie zdobędziesz poparcia w przyszłych wyborach.

- Nie widzę potrzeby występowania przeciwko panu. Jeśli chce pan dobrze dla Ameryki, zaakceptuje pan moją propozycję... Niemcy muszą stać się buforem pomiędzy Związkiem Radzieckim a nami!

- Nie te Niemcy, Joe - cena byłaby zbyt wysoka, jak mawia jego Przewielebność.

- Jeśli wejdziemy w tę wojnę jako przeciwnicy Niemiec, to za dziesięć lat Związek Radziecki stanie się potęgą!

- Być może za dziesięć lat będzie to problem, w tej chwili jednak nie to jest największym problemem...

- W takim razie co?

Ogniste oczy badały twarz Kennedy'ego.

- Co jest dla nas problemem, panie prezydencie?

- Upadek ekonomiczny Stanów Zjednoczonych, Joe.

Kennedy zastygł z otwartymi ustami.

- Nie więcej niż czterech ludzi w moim rządzie wie o tym Joe, ale New Deal nie wypalił. Nie będzie tego jeszcze widać w tym roku ani w następnym, ale nie wypalił. Na bruku może się znaleźć dwanaście milionów ludzi, o dwa miliony więcej niż przed moim przejściem tego urzędu w 1933 roku. Jeśli nie chcemy kryzysu, Mr Kennedy, musimy przystąpić do tej wojny!

- Pan uważa, że amerykański przemysł potrzebuje tej wojny?

- Uważam, że Ameryka jej potrzebuje. Jeśli powstrzymasz w tej chwili USA przed przystąpieniem do wojny, Joe, być może znajdziesz się w Białym Domu. w 1944 roku, ale wówczas Ameryka nie będzie pierwszą potęgą na świecie, nie będzie w ogóle potęgą, a Związek Radziecki z tych samych powodów może stać się najpotężniejszym narodem na świecie.

Podjechał do stołu.

- Oczywiście, przekażę te papiery naszemu sztabowi, a Stalin zostanie o tym poinformowany, ale my powstrzymamy się przed podjęciem jakichkolwiek kroków zabezpieczających nas przed atakiem Japończyków. Zrobimy za to wszystko, by nasze kontruderzenie było

piorunujące! W każdym przypadku na pewno zniszczy to nastroje izolacjonizmu w naszym narodzie na długie lata... - rozłożył ręce. - Wybór należy do ciebie, Joe. Możesz wystąpić publicznie przeciwko mnie albo wrócić do Hyannis i czekać na wybory. Możesz zachować swoją siłę do 1944 roku, by przewodzić najbogatszym, najbardziej zdyscyplinowanym narodem na świecie, a w dodatku narodem zwyciężskim!

Uścisnęli sobie dłonie.

- Zrobię tak, panie prezydencie - powiedział Kennedy. - Ale żeby zachować twarz, potrzebuję jakiejś pozycji w administracji, powiedzmy gubernatora...

- Gdy tylko przystąpimy do wojny, Joe, na razie trzymaj się od tego z daleka. Sam zobaczysz, co się stanie, kiedy zawołamy: „Chłopcy, na front!”

Kiedy Kennedy ruszył do drzwi, usłyszał za sobą ruch. Już z ręką na klamce odwrócił się i zobaczył, że Roosevelt podjeżdża w jego stronę.

- Zapomniałeś o czymś, Joe...

Kennedy spojrzał na jego okulary w stalowej oprawie.

- Gdzie on jest, Joe? Ten oficer Luftwaffe, który dostarczył ci te dokumenty?

Kiedy Joseph F. Kennedy opuścił Okrągły Pokój, bocznymi drzwiami wszedł sekretarz stanu, Cordell Hull. Prezydent powoli wypuszczał dym ustami; oparcie jego fotela na kółkach było opuszczone do tyłu.

- To businessman! - powiedział do Hulla, potrząsając głową. - Wszyscy oni myślą, że jeśli rozumieją pieniądze, to rozumieją też ludzi! Na arenie politycznej Joe Kennedy po prostu się skończył...

Cordell Hull czekał w milczeniu.

- Pan wie, że mówił mi, jakoby jest wspaniale przygotowany do nominacji podczas zeszłych wyborów - powiedział z przekąsem Roosevelt. - No i został wykopany! Dobrze, że ma takich wspaniałych synów... Sam nigdy do niczego nie dojdzie i tak, ale oni?... Kto wie? Robert może tak, jeśli tylko jest graczem...

- Na kogo postawiłby pan w czasie elekcji w 1944 roku?

Roosevelt uśmiechnął się.

- Jestem doświadczonym graczem, Cordell. W 1944 roku postawię na s i e b i e!

*

SOBOTA, 17 maja, godzina 14.30.

Zapis rozmowy telefonicznej, wykonany przez FBI.

J. Edgar Hoover do inspektora Dolyackiego.

/kopię przekazać do prywatnej kartoteki Dyrektora/

HOOVER Dolyacki, dzwonił prezydent. Zdobył informację na temat naszego człowieka. Jest w Cape Cod, a dokładnie w willi wynajmowanej przez Mr J. Kennedy'ego, między Hyannis a Chatham.

DOLYACKI Wyruszam natychmiast, sir.

HOOVER Chcę, żeby pan tam poleciał i Dolyacki, muszę mieć pewność, że Brytyjczycy będą trzymanii od tej sprawy z daleka...

/część zapisu została w oryginale wymazana przez FBI/

16

Po obiedzie wieczorne słońce już nie grzało, ale czysty piasek na długiej, pustej plaży był gorący i parzył w stopy. Morze szumiało monotonna. Horn i Kay wracali właśnie piechotą z miasta, gdy znaleźli to miejsce. Spędzili popołudnie chlapiąc się w wodzie, goniąc i przewracając na tym piasku jak dzieci.

Stojąc na szczycie wydmy, Horn spoglądał na otwarty Atlantyk. Za nim szumiała linia poskręcanych drzew. Spojrzał w dół: Kay leżała na piasku z rękami pod głową i machała, by zszedł do niej. Kiwnął głową i po raz ostatni spojrzał na ocean. Tak, jak ludzie, jego fale były zmienne: dziś był spokojny i przyjazny, jutro mógł z furią rozbijać statki i zalewać wybrzeża. Kiedy zszedł do Kay, ta wstała, i znów razem pobiegli do wody, rozpryskując piasek gołymi nogami. Czuli się szczęśliwi.

*

W Moskwie minęła już północ. Chłodna mgła ogarniała już miasto, wypełzając z wąwozów ulic na Plac Czerwony. Jednak nawet o tej godzinie ciągle jeszcze płonęły światła w kilkunastu oknach Kremla. W swoich biurach czekali ministrowie - jedni drzemali, inni grali w szachy lub popija; gorącą kawę. Wszyscy byli zmoczeni, ale wszyscy czekali na telefon. Józef Wissarionowicz Stalin, cierpiący na bezsenność, potrafił wzywać ich kilka razy w ciągu nocy.

Głęboko pod czerwonymi murami kremlowskiej twierdzy, w podziemnym gabinecie stał człowiek, na którego słowa czekali wszyscy. Jego osobisty sekretarz, Poskrobszew, siedział przy małym biurku.

- Czy coś jeszcze, towarzyszu Stalin? - zapytał Poskrobszew, unosząc głowę.

Stalin zamyślił się na sekundę.

- Nie, ty już nie musisz tu siedzieć, Sasza. Ja poczekam jeszcze na towarzysza Bierię.

Kiedy sekretarz wyszedł, Stalin wyłączył elektryczny zamek przy jedynych drzwiach, do tego pomieszczenia i zaczął powoli przechadzać się po pokoju, rozmyślając nad sytuacją międzynarodową. Niepokoili go ciągle Japończycy, miał wątpliwości w stosunku do Roosevelta i bardzo duże w stosunku do Churchilla. Czuł, że rozumie tylko tego jednego człowieka, bo byli tak do siebie podobni - on i Adolf Hitler.

Po kilku minutach zapaliło się ostrzegawcze światelko i usłyszał znajomy głos z gruzińskim akcentem. Przywitani się ciepło i Stalin od razu zapytał:

- Co byś z tym zrobił? - wskazał na leżące na biurku tajne raporty.

- Sorge?

- Tak.

Beria przeczytał kilka linijek, potem przejrzał je ponownie. Wiedział doskonale, że Richard Sorge, niemiecki komunista, korespondent FRANKFURTER ZEITUNG w Tokio jest najlepszym wywiadowcą Związku Radzieckiego.

- Niemiecka inwazja... - powiedział wolno Beria.

Stalin kręcił swojego wąsa.

- Czy sądzisz, że to prawda?

- Trudno powiedzieć...

Stalin usiadł ciężko przy biurku. Chciał wierzyć nowinom Sorge'a o pułapce Hitlera, ale było w tym wiele sprzeczności. Stuknął palcem w inny dokument, który leżał przed nim.

- Mamy też wiadomość od Churchilla.

Beria spojrział ze zdumieniem.

- On też ostrzega nas przed niemieckim atakiem, zna nawet jego kryptonim - BARBAROSSA.

Popatrzył na Bierię, czekając na jego komentarz.

- Są dwie możliwości... Pierwsza, że te informacje są na pewno prawdziwe...

Stalin popatrzył na niego, spod przymkniętych powiek.

- Po drugie, Churchill mógł podrzucić te informacje Sorge i teraz obaj przekazują nam to samo fałszywe ostrzeżenie, a Niemcy nie zamierzają nas atakować...

Stalin kiwnął głową, zgadzając się z tymi argumentami i Beria kontynuował swoje rozważania:

- Ale dlaczego Churchill miałby to robić?

- Powody mogą być różne - powiedział Stalin.

Beria czekał na decyzję.

- Możemy odwołać Żukowa z Mongolii, przesunąć - powiedzmy, jakieś trzydzieści dywizji - na granicę niemiecką, zająć pozycje, zbudować linie obronne... Możemy uprzedzić atak i zgnieść ich jednym uderzeniem!

Dostrzegł, że Beria patrzy na niego z otwartymi ustami.

- Cóż zatem zrobimy? - szepnął.

Stalin usiadł i znów spojrział na wiadomość od Churchilla.

- Nic. Jak mówiłem, powody mogą być różne i być może tego właśnie oczekuje Churchill... - spojrział na Bierię. - Rozważ jeszcze to dokładnie.

Potem skinął ręką i Beria odszedł. Stalin poczuł się po prostu samotny; przez chwilę myślał, czy nie wezwać ministrów, ale właściwie nie byli mu potrzebni, nawet Beria to niewielka pomoc. Wiedział, że decyzję musi podjąć sam. Cóż zatem należy robić?

Znów zaczął chodzić po pokoju, unosząc ciemne brwi. To mogła być pułapka przygotowana przez Churchilla. Jeśli to Rosja przesunie swoje armie nad granicę niemiecką, Hitler zinterpretuje to jako agresję, a o to może właśnie chodzić Churchillowi - napuści ich na siebie, a sam na tym skorzysta...

Żukow i armie pozostaną na wschodzie.

*

Wśród niskich, lesistych wzgórz Prus Wschodnich w ciągu kilku tygodni tysiące robotników wybudowało kompleks bunkrów. Miejsce to znajdowało się niedaleko Kętrzyna. Jedyne najwyżsi oficerowie wiedzieli, że ma tu być nowa kwatera główna Fuhrera - Wolfsschanze, WILCZY SZANIEC.

W małej łazience w centralnym bloku sam Wilk oglądał w lustrze swoją twarz. Przeciągnął ręką po policzkach - czuł się coraz gorzej i choć wszyscy lekarze mówili mu, że nic mu nie jest, że jest zupełnie zdrowy, potrafił zauważyć drżenie rąk, gdy wsłuchiwali się w

odgłosy pracy jego serca. Bez wątpienia było coraz gorzej... A przecież horoskop z 1933 roku, kiedy został Kanclerzem mówił wyraźnie, że uda mu się dożyć osiemdziesiątki... Teraz miał dopiero lat pięćdziesiąt!

*

Hitler wszedł do pokoju i spojrział na oficerów Naczelnego Dowództwa, stojących wokół map, rozłożonych na centralnie umieszczonym stole. Generał-pułkownik Jodl, szef sztabu operacyjnego, generał Franz Halder, szef Sztabu Generalnego, feldmarszałkowie von Leeb, von Bock i von Rundstedt, generał Warlimont, zastępca Jodla i von Thoma, szef sił pancernych. Skinął im głową i podszedł do stołu, zaplatając ręce na plecach.

- Panowie...

Oficerowie rozsunęli się i Hitler wpatrywał się w mapy przez kilkadziesiąt sekund, a wreszcie podniósł głowę.

- Wystarczy jedynie uderzyć w drzwi, a cały ten gmach się rozleci...

Von Thoma spojrział na mapy zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczył.

- To będzie wojna unicestwiająca - kontynuował Hitler, pokazując ręką na mapy. - Nie może być żadnych pytań na temat sojuszu z Rosjanami. Sowieci są podludźmi!

- Czy to znaczy, że decyzja została już podjęta? - zapytał von Rundstedt.

Hitler spojrział na niego. Gerd von Rundstedt był typowym przedstawicielem dawnego korpusu oficerskiego, miał w tej chwili sześćdziesiąt sześć lat - i jeszcze nigdy nie udało się nikomu pokonać go w bitwie. Syn arystokraty z rodziny wojskowych, miał w sobie niezaprzeczną wielkość i dumę.

- Decyzja?

- Wprowadzenia w życie BAREAROSSY - wyjaśnił von Rundstedt

Hitler odwrócił się i zaczął spacerować wzdłuż ściany. Zdawał sobie sprawę z głównego celu tego spotkania - Jod wyraźnie stwierdził, że muszą wreszcie podjąć decyzję oraz określić dokładnie datę rozpoczęcia, aby zdążyć przed zimowymi mrozami. Odwrócił się w kierunku stołu.

- Jaka jest sytuacja? - zapytał..

Von Thoma wystąpił krok naprzód.

- Siedem z dziewiętnastu pancernych i trzy z dwunastu zmotoryzowanych dywizji skierowaliśmy na Bałkany - powiedział spokojnie.

- Ile to nam daje razem czołgów?

- W ciągu miesiąca możemy rzucić dwa tysiące pięćset czołgów na Schwerpunkt.

Hitler pochylił się nad mapą, ale myślami był gdzie indziej. Gdyby Goering dotrzymał swej obietnicy i rzucił Anglię na kolana albo gdyby Churchill zgodził się na honorowy pokój i połączył swoje siły z niemieckimi przeciw bolszewikom, wszystko byłoby łatwiejsze... I jeszcze jedno pytanie go dręczyło.

- A co z Hessem? - powiedział jakby sam do siebie.

- Trzeba i to wziąć pod uwagę - powiedział von Rundstedt. - Stellvertreter wiedział o BARBAROSSIE i mógł przekazać w pierwszym rzędzie, tę wiadomość Brytyjczykom, a oni oczywiście powiadomiliby Stalina.

- Jednak widać, że tak się nie stało - powiedział Haider.

- Nasze ostatnie rozpoznanie wykazało bardzo małe ruchy r.a całej naszej granicy z Rosją.

Hitler uśmiechnął się; operacja BARBAROSSA się rozpocznie, niemiecki wilk rzuci się na rosyjskiego niedźwiedzia.

*

Wrócili do willi w momencie, gdy zadzwonił telefon i Horn szybko przeszedł przez hall, by go odebrać. Podniósł słuchawkę - to był Joe Kennedy.

- Obiecałem zadzwonić do pana, kapitanie, gdy tylko wrócę.

- Biorę samochód i zaraz będę u pana - powiedział Horn.

Kennedy umilkł na chwilę.

- To był męczący dzień, kapitanie... Lepiej będzie, jeśli przyjedzie pan jutro.

Coś w głosie Kennedy'ego zaalarmowało Horna.

- Mr Kennedy, to zbyt poważna sprawa, by ją odkładać - powiedział chłodno.

Kennedy milczał.

- Dziś wieczorem, Mr Kennedy...

- Co pan chce osiągnąć, spiesząc się tak bardzo, kapitanie Horn? - w głosie Kennedy'ego dało się wyczuć zaniepokojenie.

- Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy informacje o planach Japończyków będą wykorzystane do pokojowych negocjacji.

- Myślę, że tylko prezydent Stanów Zjednoczonych mógłby na to pytanie udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

- A Rosja? - w głosie Horna brzmiał gniew.
- Związek Radziecki zostanie poinformowany o planach Hitlera.
- Jest pan o tym w pełni przekonany?
- Jestem.
- Czyli i z Japonią nie będzie wojny? - upewnił się Horn.
- Któż to może wiedzieć?
- Myślałem, że pan może! - wybuchnął Horn. - Tak właśnie, po to powierzyłem panu te dokumenty!
- Zrobiłem wszystko, co mogłem, kapitanie Horn. A teraz proszę wybaczyć, ale mam zamiar iść spać. Ten długi lot do Waszyngtonu i z powrotem jednego dnia... Dobranoc.

Horn odłożył słuchawkę i usiadł na sofie przy Kay.

- Kay, kochanie - nigdy jeszcze nie użył tego słowa. - Sądzę, że powinnaś wrócić do domu.

Odwróciła się do niego.

- Chcesz odjechać w nocy?

- Sądzę, że natychmiast. Rozmawiałem z Kennedym...

- Słyszałam.

- Politycy odcięli się od tego, Kay...

- Chcę zostać z tobą, a przede wszystkim chcę zostać z tobą tej nocy.

- Bez względu na to, jak bardzo chcemy tego oboje, wydaje ci się to zbyt niebezpieczne...

- Co chcesz zrobić?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem... To dziwne, ale pierwsze, co mi przyszło do głowy, to Max Bishop. Chciałbym się z nim zobaczyć...

- Przyjechał ze mną do Waszyngtonu...

- Muszę się też jeszcze raz zobaczyć z Kennedy'm. Muszę wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło, gdy przekazał te informacje w

Białym Bomu.

Kay wstała i wyciągnęła ręce w kierunku ognia.

- Jeśli mam wracać do Waszyngtonu już zaraz, to może wynająć pokój w jakimś hotelu i poczekać tam na ciebie? - popatrzyła w dół na złote i niebieskie płomyki, tańczące na w pół zwęglonych kłodach.

Odwrócił ją twarzą do siebie.

- Myślę, że oboje wiemy, jak jest między nami... Czy tak?

Patrzyła na niego, wreszcie skinęła głową.

- Myślałam, że jestem już ponad te rzeczy. Myślałam, że mój wiek mnie ubezpiecza...

Wziął jej włosy między palce i pocałował ją, a potem z uśmiechem odsunął się.

- Chciałbym, żebyś wróciła z powrotem do Waszyngtonu, co Ralpha. Chcę, byś była z nim, blisko niego, żebyś była zupełnie bezpieczna.

- A ty?

- Max Bishop. Są gorsze rzeczy w tej wojnie niż obóz jeniecki w Kanadzie. Weź już samochód, Kay, jedź prosto do Waszyngtonu i staraj się przekonać tych wszystkich cholernych tropicieli z FBI, że interesujesz się tylko Ralphem!

*

Konwój wozów, prowadzonych przez Doliackiego, wyruszył z posiadłości Kennedy'ego i skierował się na wschód. Dolyacki siedział w pierwszym z nich z mapą na kolanach.

- Willa jest już niedaleko - powiedział. Piętnaście, a najwyżej dwadzieścia minut.

*

Nie patrząc na niego przekręciła kluczyk w stacyjce i wrzuciła bieg. Nie odwracając głowy, przez lzy wymamrotała pożegnanie. Reflektory oświetliły ogród i wóz potoczył się do bramy.

- Kiedy wojna się skończy, Kay... - usłyszała jeszcze jego słowa, ale ucięła krótko tę nadzieję.

- Kiedy wojna się skończy, nawet jeśli Ameryka przyłączy się do niej - powiedziała do siebie - będę miała na pewno ze czterdzieści lat, więc tak czy tak zegnamy się już na zawsze!

Wykręciła na drogę i, nie zważając na bezpieczeństwo jazdy, wdukała do oporu pedał gazu. Drzewa umykały w świetle reflektorów. Połowa jej duszy siedziała teraz w samochodzie, a druga połowa została z nim.

Weszła w zakręt, opony zapisały żałośnie, a samochód zaczął się ślizgać, po czym wyskoczył na pobocze i przesunął się między wydmi, rozpryskując fontanny piasku. Gdy konwój Dolyackiego przejeżdżał tędy dwie minuty później, żaden z jego ludzi nie zauważył śladów wypadku.

*

Horn przeszedł przez ogród, potem przez ciemny pas szosy i wszedł na jedną z wydmi, spoglądając na znikające w oddali światła samochodu Kay. Z tej odległości nie mógł oczywiście dostrzec jej sposobu prowadzenia samochodu, ale poczuł dreszcz, gdy światła zniknęły i zacisnął szczęki: czekał, aż wyłonią się zza następnej wydmy. Jeśli się nawet rozbiła, nic nie usłyszał, a wiatr i szum morza nie mogłyby zagłuszyć odgłosów katastrofy.

Zaczął iść w tamtą stronę. Kiedy w pewnej chwili utknął w jakiejś dziurze, zasypanej piaskiem w okolicy, gdzie samochód Kay zniknął mu z oczu, dostrzegł reflektory czterech czy pięciu maszyn.

Nie było wątpliwości co do tego, gdzie się kierują - ta droga prowadziła tylko do willi... Pomyślał, że Kay zobaczyła zbliżające się wozy i zjechała pomiędzy wydmy, by ukryć swój wóz, teraz była już bezpieczna i mogła jechać do Hyannis, a potem dalej na południe, do Nowego Jorku i Waszyngtonu, stał przez chwilę, patrząc na światła samochodów. Zastanawiał się, czy to może nie jednak Joseph Kennedy... Stał na wydmie, wiatr szarpał mu ubranie. Wiedział, że musi uciekać, ale nie miał pojęcia, gdzie... Nie wiedział, czy w ogóle istnieje miejsce, gdzie mógłby uciec. Za nim falujące morze lizało piasek plaży. Kay była w drodze do Waszyngtonu... Zastanawiał się, czy warto jeszcze walczyć, kiedy i tak wszystko było już przegrane...

Odwrócił się i zaczął wracać w stronę bramy. Samochód prowadzący zjeżdżał właśnie na pobocze i jego światła oświetliły twarz Horna. Zanim zdążył zejść z linii światła, szczęk rewolweru i strzał; kula przeleciała mu nad głową. W tym momencie odezwał się w nim instynkt i skoczył w ciemność między samochodami, przebiegł przez drogę i zniknął pomiędzy wydmi po drugiej stronie. Usłyszał jeszcze kilka wystrzałów, ale jego reakcja była tak szybka, że nikt nie zdążył dobrze wycelować. Pięć sekund po pierwszym wystrzale Alfred Horn zbiegł już na plażę.

*

Siedziała nie poruszając się, gdy refleksy światła padały na jej twarz. Wiedziała, że te samochody jadą do willi i trzeba jakoś ostrzec Alfreda. Zapaliła silnik i zaczęła cofać samochód. Tylne koła zabuksowały w piasku, po kilku sekundach samochód zapadł się po podwozie, silnik ryczał, lecz maszyna nawet nie drgnęła. Wyłączyła silnik starając się opanować oddech. Czowała cienki strumyczek krwi na twarzy - chyba skaleczyła sobie czoło. Siły ją opuściły. Przypomniała sobie, że Horn kupił małą butelkę, kiedy jechali z Waszyngtonu. Odszukała ją pod siedzeniem, odkręciła nakrętkę i pociągnęła dwa duże łyki. Poczuła się o wiele lepiej.

*

W willi Dolyacki przeniósł telefon na środek pokoju i ustawił go na stoliku. Kiedy rozmawiał, przesuwając palcem po mapie, na którą spoglądało dwóch stojących obok agentów.

- Jeśli mógłby pan wysłać kilka grup z reflektorami w rejon kanału, pułkownik, będziemy go mieli... - Jego palec zatrzymał się na skrawku lądu, graniczącego z jednej strony z otwartym oceanem, a z drugiej oddzielonego od kontynentu szerokim kanałem.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do jednego z agentów:

- Zarządź natychmiast blokadę na szosach 6 i 28 w miejscu, gdzie przecinają kanał. Powiadomcie Straż Przybrzeżną, by zwracała uwagę na samotne łódzie. A tutaj, na tym małym lotnisku...

- Myślisz, że może chcieć odlecieć?

- Czemu nie? To niezły pilot...

Agent przejął telefon; kiedy zaczął rozmawiać, spojrział na twarz Dolyackiego: była czerwona z napięcia, wyglądało, że zaraz może zacząć płakać. Usta poruszały się, jakby coś mówił. Agent skrzywił się i powrócił do swojej rozmowy.

*

Na zewnątrz samochodu wiatr gwizdał na wystających, metalowych częściach; na niebie nadciągały deszczowe chmury. Nie miała pojęcia, jak długo będzie musiała tu jeszcze pozostać, ale czuła się lepiej. Miała ochotę wracać do willi piechotą, ale na co mogła się tam teraz przydać? Te cztery samochody na pewno dotarły już do willi... No, ale może uda się jej chociaż dowiedzieć, co się tam stało?

Gdzieś daleko na szosie błysnęły reflektory i znikły. Sekundę później błysnęły znowu i zaczęły zbliżać się do niej - samochód nadjeżdżał z przeciwnej strony, niż znajdowała się willa. Wynikało z tego, że nie jest to żaden z tych, które widziała poprzednio. Oślepiąca światłami, zamknęła oczy; słyszała, że samochód się zatrzymał, i otworzyły się drzwi, wreszcie ktoś otworzył drzwi jej samochodu i głos z angielskim akcentem wymówił jej imię. Otworzyła oczy i zobaczyła Maxa Bishopa; z prawdziwym niepokojem pomógł jej wyjść z samochodu.

- Jesteś ranna?

- Nie, wszystko w porządku - potrząsnęła głową.

Stała na silnym wietrze i w deszczu, a on wsiadł do jej samochodu i wyprowadził go na szosę. Po chwili wrócił, poprowadził ją do swego wozu. Kiedy wsiadli zauważyła, że w dalszym ciągu trzyma butelkę whisky i podała mu ją; rzucił butelkę na tylne siedzenie.

- Gdzie on jest? - zapytał.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak, wielkie znaczenie...

Milczała.

- Inspektor FBI, prowadzący tę sprawę, ma rozkaz zabić Alfreda - powiedział łagodnie; usłyszał, jak Kay westchnęła przeciągle. - Jesteście dziećmi, czego innego oczekiwaliście? Fair play?

- Już nie - zaczęła płakać.

- Więc gdzie on jest?

- Zostawiłam go w willi. Cztery policyjne wozy przejechały obok mnie w tamtą stronę dziesięć- piętnaście minut temu...

Samochód skoczył do przodu. Nie bacząc na ulewny deszcz Bishop gnał całą mocą silnika. Kay szlochała, łzy płynęły strumieniami po jej policzkach. Kiedy dojechali do otwartej bramy, Bishop zatrzymał wóz. Zobaczyła biegnących ku nim dwóch ludzi i moment potem drzwi od strony kierowcy otworzyły się, szarpnięte gwałtownie i młody agent wycelował broń w Bishopa.

- Dobra, a teraz wylaź!

Pochylił się nieco do przodu i nagle znieruchomiał.

- Czy to nie major Bishop? - widział go już z Dolyackim.

- Co się dzieje? - zapytał szybko Bishop. - Dostaliście tu Horna?

- Nie, sir, uciekł nam. Wygląda na to, że pobiegł gdzieś w dół plaży. Inspektor zabrał resztę grupy na poszukiwania. Tamten nie może być daleko. Z tej plaży, jak zauważył inspektor, są tylko dwa wyjścia. Na pewno go dostaniemy!

- Okay.

Bishop zamknął drzwi, wyciągnął z powrotem butelkę z tylnego siedzenia; kiedy odkręcił nakrętkę, powiedział:

- Teraz twoja kolej.

- Nie rozumiem?

- Spróbuj postawić się na miejscu Alfreda. Biegiesz teraz w dół plaży... Jaką drogę wybierzesz? Co zamierzasz robić?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Ten człowiek, Dolyacki, zastrzeli go jak psa! Gzy chcesz tego?

Wstrząsnęła się i sięgnęła po butelkę.

- Pomyśl, Kay!

Wypiła trochę.

- Dolyacki ma rozkaz go zamordować? - zapytała.

- Tak.

- A jakie ty masz rozkazy?

- Takie same - wzruszył ramionami.

Odwróciła się twarzą do niego.

- I ty mówisz, że chcesz mu dać szansę?

Odebrał jej butelkę, zakręcił i rzucił na siedzenie.

- Tak - powiedział spokojnie. - I powtarzam, że jeśli ja odnajdę go pierwszy, to dam mu szansę.

- Latarnia morska - powiedziała i wskazała na plażę. - Dokoła są tylko rybackie domki, a latarnia stoi samotnie i jest pusta; oglądaliśmy ją dziś wieczorem. Nie mogę powiedzieć dlaczego, ale sądzę, że on tam pójdzie.

- Zostań tu, Kay.

Chciała zaprotestować, ale nachylił się nad nią i otworzył drzwi po jej stronie. Wiatr prysnął deszczem na jej twarz; wygramoliła się z wozu i ze złością zatrzęsła z powrotem drzwi. Obserwowała, jak Bishop nawraca samochód. Młody agent PBI podszedł do niej.

- Niech pani wejdzie lepiej do środka.

Przez chwilę patrzyła jeszcze na znikające światła samochodu Bishopa, wreszcie odwróciła się i poszła za tym mężczyzną, który najwyraźniej nie miał pojęcia, kim ona jest.

- Czy można zadzwonić? - zapytała.

- Oczywiście.

- Mam nadzieję, że nie będzie za późno, by wezwać taksówkę z Chatham.

Dolyacki stał na plaży; używając potężnych reflektorów, jego ludzie przeszukiwali wydmy. Wiedział, że jego położenie nie jest zbyt dobre - na tym pustkowiu w ciemnościach, samotny człowiek mógł niezauważony poruszać się po piaskach. Kiedy ludzie zawrócili, Dolyacki spojrział na białe chatki rybaków - i tam błyskały reflektory, stał samochód i kręcili się ludzie. Dolyacki zacisnął zęby i sprawdził mapę. Nie było tu żadnej szosy prócz wąskiej drogi, prowadzącej... Na mapie jej nie było. Rozejrzył się dookoła, odszukał wzrokiem drogę. Dokąd ona prowadzi? Nagle zobaczył; w oddali błysnęło światło samotnej, morskiej latarni.

*

Bishop zatrzymał wóz u stóp latarni morskiej, zgasił silnik i wysiadł. Nad nim wznosiła się na wysokość kilkudziesięciu metrów potężna, kamienna wieża. Zaczął iść w kierunku drzwi, obserwując uważnie małe okienka w murze... Nie dostrzegł nic. Zawołał głośno, ale wiatr zagłuszył jego słowa. Był już przy drzwiach; w świetle padającym z reflektorów latarni dostrzegł klamkę i nacisnął ją.

Kamienna sala przypominała gotycką katedrę.

- Alfred! - zawołał. - Alfredzie! Tu Max Bishop!

Jego głos odbił się echem po ciemnym wnętrzu. Gdzieś na górze, na spiralnych schodach wyczuł ruch. Wyciągnął latarkę i zapalił ją - Alfred Horn stał i patrzył w dół, jego sweter był mokry, na czole miał opatrunek.

- Jesteś sam, Max?

- Teraz tak, ale nie na długo. Nie wyglądasz na zdziwionego tym spotkaniem?

- Nie. Wiem od Kay, że przybyłeś mnie odszukać, widziałem cię też przy jej mieszkaniu w Waszyngtonie. Co się z nią stanie, Max?

Bishop oparł się o mur i opuścił latarkę. Horn ponownie znalazł się w ciemności.

- Nie mogę być pewny, ale jeśli będzie milczeć, to raczej nic. Jest obywatelką amerykańską, a to różnica...

- A ze mną?

- Mam rozkaz upewnić się, że już nigdy nic nie powiesz.

- A więc masz mnie zabić?

- Tak.

Horn zszedł na dół i usiadł na ostatnim stopniu schodów.

- Masz papierosa? - zapytał.

Bishop wyciągnął z kieszeni paczkę i podał ją Hornowi, a potem wyciągnął rękę z zapalniczką.

- Cóż, mamy raczej mało czasu, Max - powiedział Horn. - I, jeśli umrę, Kay będzie pierwszoplanowym zagrożeniem...

- Dla kogo?

- Dla rządu brytyjskiego, rządu amerykańskiego i dla każdego, kto jest w to zamieszany. Dopóki żyję, nie mają powodu, by ją prześladować. Z tego wynika, że muszę żyć, by ją chronić...

Bishop milczał i wpatrywał się w kamienne płyty podłogi latarni.

- Przrzekam ci, Alfredzie, że użyję całej swojej mocy, aby chronić Kay - powiedział wreszcie.

- Z tego wynika, że podjąłeś już decyzję...

- Decyzję?

- Musisz trzymać się swoich rozkazów i zabić mnie.

- Nie. Nie potrafię tak... Nie mogę cię zabić, Alfredzie i ty o tym wiesz, ale nie masz już żadnego wyjścia. Dolyacki, ten z FBI, odnajdzie cię najpóźniej jutro rano...

- Jeśli nie możesz mnie zabić, Max... Jeśli nie wykonasz swoich rozkazów, to dlaczego tu przyszedłeś?

Bishop sięgnął do kieszeni, wyjął rewolwer i położył na podłodze pomiędzy nimi.

- Daję ci szansę... Jesteś oficerem, nie mogę cię zastrzelić jak psa.

- Honorowa śmierć - powiedział Horn z ciemności w głosie słychać było ironię.

- Tak, jeśli tego chcesz.

Horn pochylił się do przodu i wziął broń.

- Sądzę, że powinienem ci podziękować Max ale sam wiesz o tym, nie jestem jakoś w nastroju...

- Tak.

- Żegnaj, Max.

Bishop kiwnął głową i odwrócił się w stronę drzwi. Już z ręką na klamce i opuszczoną głową powiedział jeszcze:

- Przrzekam ci, Alfredzie, przekażę że ona nic nie wie. Przekażę to tak, by jej pomóc...

Wyszedł na zewnątrz, na wiejący wiatr.

*

Światło latarki Dolyackiego objęło postać w jasnym płaszczu, idącą w kierunku samochodu. W pierwszej chwili myślał że to Alfred Horn, ale ruchy tamtego były spokojne, zbyt spokojne. Człowiek podszedł bliżej i Dolyacki zrozumiał swoją pomyłkę. Podbiegł i chwycił Bishopa za rękaw płaszcza.

- Co ty tu robisz, do diabła? - wiatr zatykał mu usta.

Bishop wyszarpnął rękaw.

- Uspokój się, Dolyacki. Zostawiłeś mnie na lodzie, teraz nie mam obowiązku ci się tłumaczyć.

- On tam jest? - Dolyacki wskazał latarnię.

- Tak.

- Zostawiłeś go samego?! - zaczął biec w kierunku drzwi.

- Dolyacki! - krzyknął Bishop.

Kiedy Dolyacki odwrócił się w jego stronę, z wieży dobiegł do nich odgłos wystrzału, Dolyacki wykrzywił twarz.

- Wy cholerne oficerki... - powiedział powoli.. - Wy cholerne, honorowe oficerki!

Odwrócił się i pobiegł do latarni. Czając się z pistoletem w dłoni, skoczył do środka. Potężne światła oświetlały pomieszczenie.

Rozejrzał się wokoło: na podłodze leżał rewolwer, po Alfredzie Hornie nie zostało nawet śladu.

Kiedy Bishop wszedł do środka, Dolyacki obracał w rękę rewolwer, szczęki miał zaciśnięte.

- Wy oficerki... - wyszeptał. - Wy pieprzone oficerki...

Uniósł rewolwer i wycelował w stronę stojącego bez ruchu Bishopa; kiedy naciskał spust, jakaś część jego umysłu zdecydowała, że ten Anglik zostanie zabity przez Alfreda Horna.

*

Stał wzburzony nad zatoką. Czuł się dogłębnie okłamany. Wszystko zostało skończone tam, w samotnej latarni na Cape Cod, gdy Max Bishop położył przed nim rewolwer. Wiedział, że jego życie zostało złamane bardziej przez ślepy romantyzm Rudolfa Hessa niż przez zimne ambicje Josepha Kennedy'ego, czuł ogarniającą go chęć powrotu do walki, ale nie widział drogi. Nie było też drogi, by odzyskać Kay...

Od dzieciństwa wierzył w żołnierskie credo: DULCE ET DECORUM EST PRO PATRIA MORI - ŚMIERĆ ZA OJCZYZNĘ JEST NAJWYŻSZYM HONOREM, ale teraz gniewnie ją odrzucił. Ojczyzna nie była żadnym powodem. Spojrzał na ciemne fale. Za sobą słyszał zbliżające się krzyki i światła latarek. Ruszył w stronę wody, a kiedy fale obmyły mu stopy, zaczął biec. Wielkie fale rozstąpiły się przed nim łagodnie, przyjmując jego ciało. Wiedział z mapy, że tutaj prąd oceaniczny płynie poza przylądek, na środek Atlantyku i, jeśli trafi na główny nurt, jego ciało nie zostanie nigdy odnalezione.

Był pewien, że jeśli będzie istniała choćby najmniejsza szansa, że Alfred Horn żyje nadal, nigdy nie zagrozą Kay, ale wiedział też, że robi to przede wszystkim dla siebie. Dla Hessa, Churchilla, Roosevelta i Kennedy'ego był zawsze tylko pionkiem, łatwym do zbicia. Bardzo dobrze, teraz za to zapłacą... Nigdy się nie dowiedzą, co stało się naprawdę z Alfredem Hornem: czy żyje, ciągle zagrażając tym, co wie, czy umarł i umilkł na wieki. Nigdy nie będą pewni tego swojego miejsca, które wywalczyli w historii.

Powoli odpływały od niego wszelkie myśli, gdy wzgórza ciemnych fal pchały go coraz dalej od brzegu. Wreszcie poczuł pierwszy dotyk wielkiego prądu, niosącego go na otwarty Atlantyk.

EPILOG

TEN ATAK JEST NIESPODZIANKĄ TCHÓRZA! TA DATA NA WIEKI PRZYPOMINAĆ BĘDZIE O NIESŁAWIE! - Franklin Delano Roosevelt o japońskim ataku na Pearl Harbour, 7 grudnia 1941 roku.

DZIĘKI NIECH BĘDA BOGU, WYGRALIŚMY TĘ WOJNĘ - Winston Churchill na wiadomość o Pearl Harbour, 7 grudnia 1941.

JEŻELI HESS JEST SZALONY, TO CAŁY ŚWIAT JEST SZALONY I TYLKO HESS MÓGL TEN ŚWIAT OCALIĆ - Goering przy końcu swego życia.

Joseph F. Kennedy, najbardziej niepopularny ambasador USA przy dworze świętego Jerzego, nigdy już nie powrócił na poprzednią pozycję. Przez całą wojnę prezydent Roosevelt nie dopuszczał go do oficjalnych urzędów. Powrót do życia politycznego udał się dopiero jego synowi Johnowi Fitzgeraldowi, który został wybrany na urząd prezydenta w końcu 1960 roku.

Świat nigdy nie zrozumiał, o co chodziło doktorowi Karlowi Diemowi, gdy organizował olimpiadę w 1936 roku - być może dlatego, że cała rzecz była trzymana w sekrecie. Cóż, świat wierzył, że według starej tradycji biegacze przyniosą Ogień Olimpijski, ale Ogień Olimpijski zgasł, a wybuchł ogień wojny. Geniusz propagandy wprowadził na szczyty faszyzm i Hitlera, a w 1936 roku świat wierzył w pokój.

Dla Rudolfa Hessa 10 maja 1941 roku był ostatnim dniem wolności. W 1971 roku został przewieziony do Spandau Castle Prison, gdzie zmarł w roku 1987.

Kapitan Kay Hampton zginęła w czasie działań wojennych. Stało się to 30 grudnia 1944 roku w bitwie o Bulge, podczas ataku czołgów na dowództwo okręgu, gdzie służyła. Dowódcą sił niemieckich na tym odcinku był generałpułkownik Karlheinz Horn, wuj Alfreda Horna.